tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 20 (1119) ROK XXII 20 MAJA 1979 R. CENA 3 zł

STRAŻNICY LABIRYNTU

KONRAD FREJDLICH: Witam panów, rozpoczynając „Odgłosową" dyskusję na temat stanu ochrony zabytków w Łodzi. Wzajemne przedstawianie się w tym gronie jest już tylko formalnością. Wojciech Walczak, konserwator zabytków miasta Łodzi, dyrektor Mieczysław Praczuta z Pracowni Konserwacji Zabytków oraz publicyści — Jerzy Urbankiewicz i Andrzej Majer.

Dalszy ciąg na str. 8–9

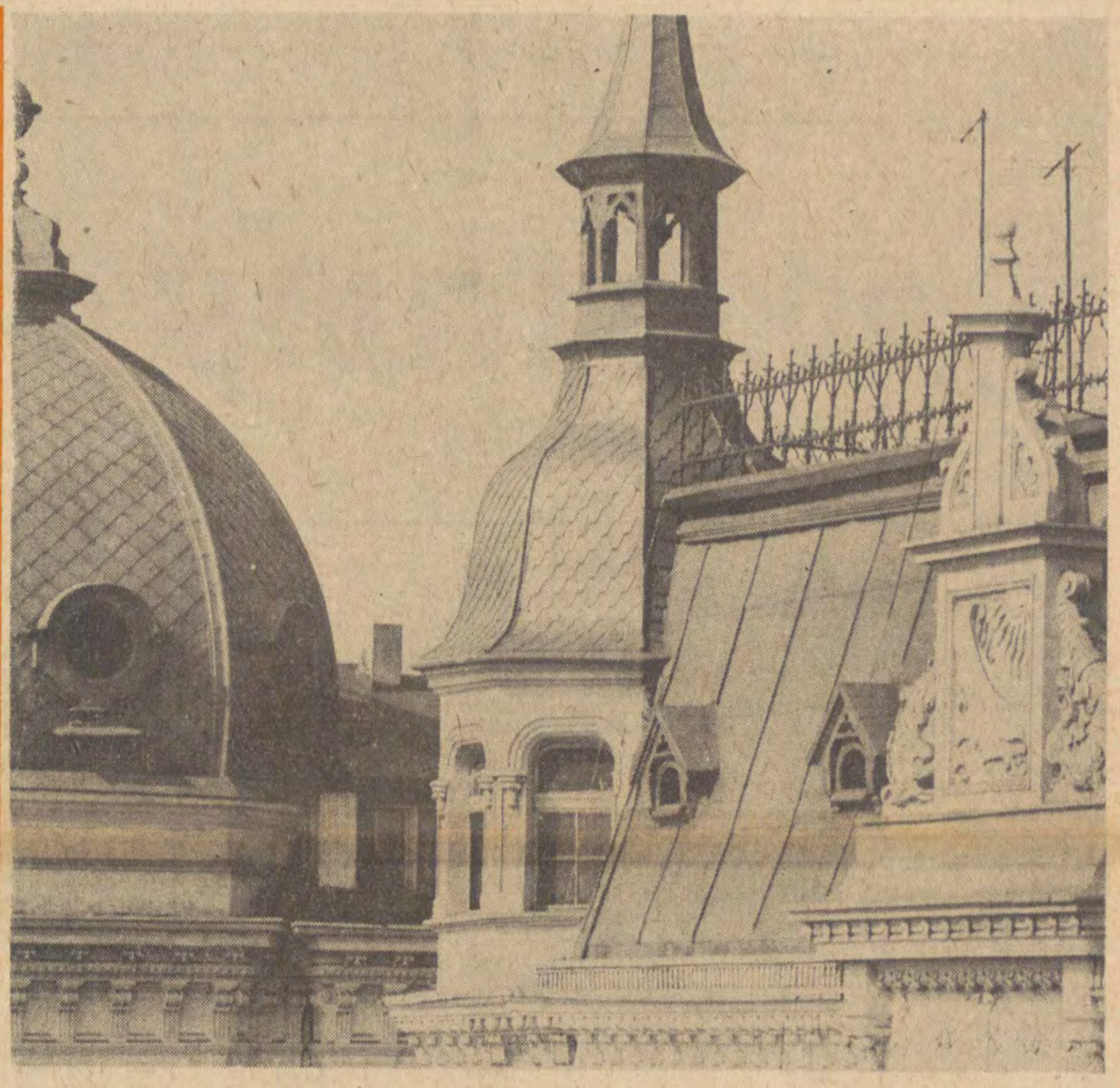

Helmy wieżyczek ulicy Piotrkowskiej

Foto: A. Wach

W NUMERZE:

Człowiek z epoki DDT

„Istnieje specjalnie spreparowana ziemia, którą podaje się pacjentowi do jedzenia. Antidotum to skuteczne jest jednak w wypadku podania w okresie do 90 minut od wprowadzenia trucizny do organizmu. Potem jeszcze w okresie kilku pierwszych godzin chorego uratować może sztuczna nerka. Przypomnieć jednak trzeba, że pierwsze niepokojące objawy występują dopiero po kilku dniach. Z reguły więc jest zawsze za późno".

Przybysze z Kosmosu?

„Poszukiwacz cennych metali z Portland, nazwiskiem Johnson, przebywając w Górach Kaskadowych w Oregonie, zauważył na niebie dziwne odbicia światła. Przyglądając się im dokładniej, dostrzegł około pół tuzina tarczowatych tworów, o średnicy około 10 metrów. Zaczął je obserwować przez posiadany teleskop i zobaczył, że mają ogony i że poruszają się w sposób nieskoordynowany. Nie dochodziły od nich jednak żadne dźwięki, takie jak normalnie towarzyszą poruszającym się samolotom. Jednocześnie Johnson zauważył, że igła jego kompasu ręcznego wykonywała gwałtowne ruchy to w jedną, to w drugą stronę".

Zaczęło się nad Oką

„Gdy jesienią 1941 r. w rejonie Buzułuku formowała się podporządkowana rządowi londyńskiemu armia polska generała Andersa, Świerczewski prosił Boga, by go nie posłano do Buzułuku (modlitwy nie były potrzebne, bowiem radzieckich dowódców do Andersa nie posyłano)".

Strażnicy labiryntu

„Plac Wolności zaczęto niszczyć już w XIX wieku. Proces ten rozpoczęli dwaj posesjonaci, którzy w niskiej zabudowie wznieśli dwa budynki wysokie, aby osiągnąć większe zyski z kamienicy. A my zaaprobowaliśmy ten proces łamania kanonów rządzących społeczną uczciwością. Poszliśmy ich śladem".

PONADTO:

Listy w sprawie „Pod szyldem"

Wywiad z Edwardem Hartwigiem „Załącznik"

16 STRON

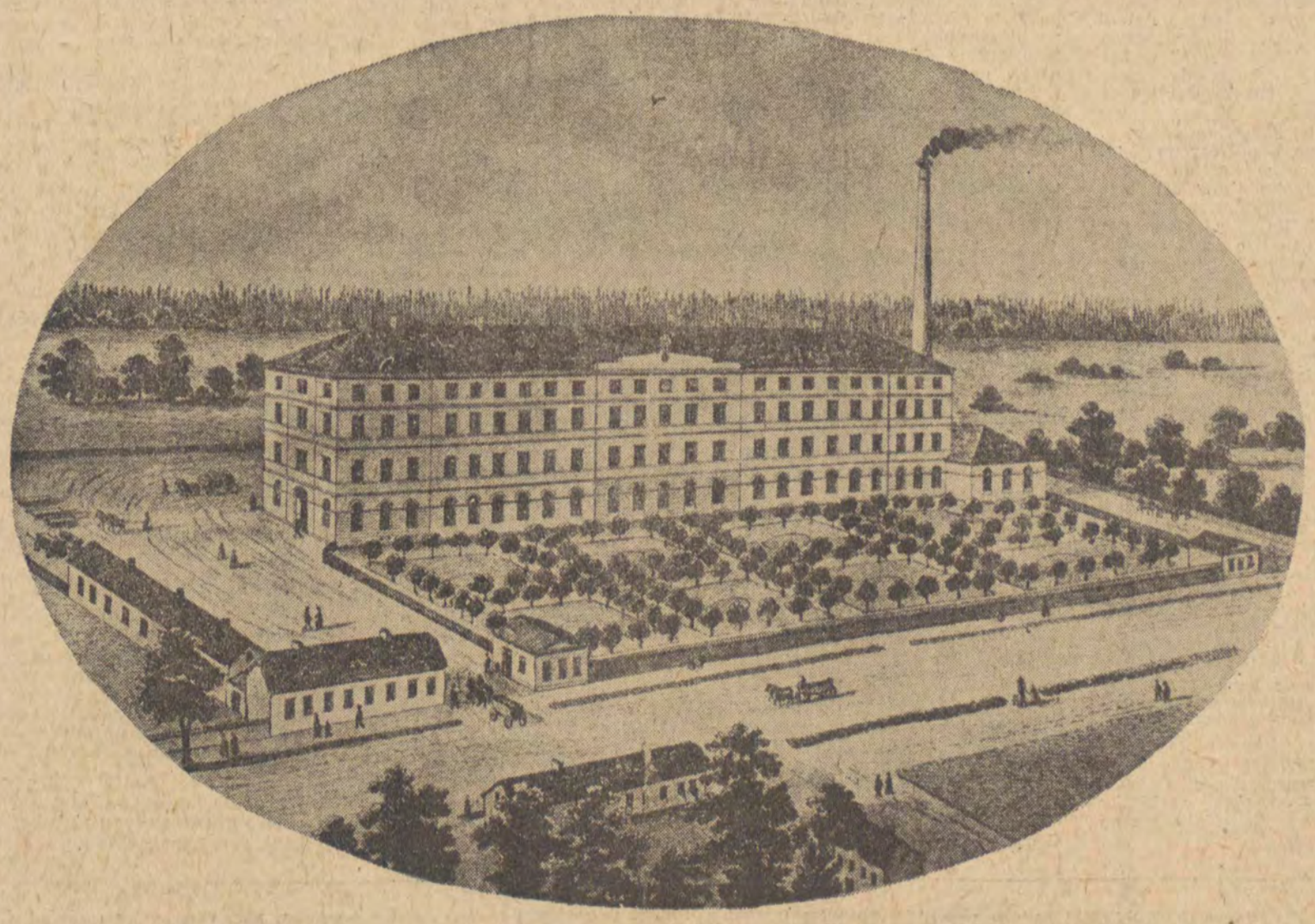

TOMASZ SOLDENHOFF

POWRÓT

Mury tu grube, z solidnej cegły, ale miarowy stukot przenika przez nie i brzmi podobnie jak przed stu laty. Gdy słucham jak drżą od niego słuchawki na widełkach telefonów, pamięć przywołuje barwny opis ze wspomnień piewcy tego miasta: *„Ogromne turbiny przędzalni lnu rozdygotały ziemię pod sobą głuchym, głębokim basem, ryczą gremple, trzaskają czesalnie niby wielkie kastaniety, ostrymi głosami zawodzą prząśnice, cicho nucą motaczki. W tkalni maszyna parowa nadaje rytm krosnom: buch-buch-buch..."*

Ten rytm w starej tkalni gładkiej żyrardowskiej fabryki nie zmienił się od z górą stu lat. I tylko dla wciąż nowych ludzi staje się on rytmem życia. Ale gdyby wsłuchać się uważniej, okazałoby się, że nie wszędzie w dzisiejszym „Żyrardowie" fabryczna „muzyka" brzmi tak samo jak dawniej. Bo czy coś jeszcze łączy stłumione dźwięki dobywające się z automatycznych krosien w nowo wybudowanej tkalni z tym *„ogłuszającym rykiem i trzaskiem"*, o którym w „Moim Żyradowie" pisał Paweł Hulka?Laskowski?

Z zasłuchania wyrywa mnie i przenosi we współczesność donośny głos sekretarki. Przypomina mojemu rozmówcy o czekającym go jakimś ważnym zebraniu. Teraz bardziej jasna staje się przyczyna pewnego napięcia, które wyczytałem wcześniej z twarzy siedzącego naprzeciw młodego inżyniera.

Inżynier przeprasza i wychodzi, a ja tu, w pokoiku nad halą starej tkalni, oczekuję wyników zebrania, na którym społeczny kolektyw decyduje właśnie o losach przydzielonych wydziałowi mieszkań. Nie kryję swej ciekawości: nabrzmiałe problemy mieszkaniowe miasta są mi znane, a z cytowanej już książki

Dalszy ciąg na str. 3

SLADEM NASZYCH PUBLIKACJI

„POD SZYLDEM"

Szanowny Panie Redaktorze.

Zwracam się do Pana z prośbą o interwencję i sprostowanie informacji podanych w Waszym piśmie przez red. J. Katarasińskiego w artykule „Pod szyldem".

Rozumiem intencję artykułu, gdyż sytuacja w Domu Środowisk Twórczych wymagała już dawno generalnego rozrachunku, ale dlaczego tak bezwzględnie obszedł się autor artykułu z programem poświęconym pamięci polskich sportowców — ofiar hitlerowskiego faszyzmu, pt. „Rapsod Olimpijski"? Czyż mało było już materiału dowodowego? Zbierając materiały o działalności DST, red. J. Katarasiński dał się ponieść niepotrzebnie emocjom i wciągnąć w sieć intryg i rozgrywek indywidualnych. Godnym ubolewania jest fakt, że zamiast recenzji red. Daneckiego, nie dołączył swojej opinii o programie. Posłużył się jedyną i tendencyjną recenzją z Expressu Poznańskiego, tworząc niejako motto dla swego artykułu (...)

Na początku moich wyjaśnień posłużę się (podobnie jak red. J.K.) recenzją o „Rapsodzie Olimpijskim", oglądanym w tej samej formie i obsadzie, co red. Danecki — przez z-cę red. naczelnego „Gazety Zachodniej" w Poznaniu. W artykule z dn. 26. II. 1979 r. nr 44 pt. „DWA DO... JEDNEGO" m. in. napisał: „...Tego samego dnia, tuż po premierze w Teatrze Nowym ukazały się dwie recenzje z wystawianego przez Teatr Refleksji widowiska „Rapsod Olimpijski" W „Expressie" spektakl oceniono bardzo krytycznie, w pochlebnym tonie omawiano go na łamach „Głosu". Mówiąc językiem kibiców sportowych wytworzyła się sytuacja remisowa. Zaintrygowana tak skrajnymi opiniami, postanowiłam obejrzeć wspomniany program, by wysondować kto miał rację. (...) „Rapsod Olimpijski" obejrzałam na scenie Domu Kultury Drukarza. Muszę przyznać, że wywarł na mnie duże wrażenie emocjonalne. Tego wieczoru widownię zapełniła młodzież z Zasadniczej Szkoły Zawodowej przy ZPG „Goplana". Podczas spektaklu panowała pełna skupienia cisza, a kiedy zapaliły się światła, na wielu twarzach widać było wzruszenie. (UKA)

Autorowi artykułu „Pod szyldem" nie są więc znane inne recenzje. Przytoczył tylko tę, która pomogłaby mu w generalnym ataku na DST. Zapomniał jednak, że „Rapsod Olimpijski" jest programem politycznym — hołdem dla ofiar faszyzmu — nie może być argumentem w takich brudach, jakie przedstawiał. Przytaczanie tak kontrowersyjnej i tendencyjnej recenzji red. Daneckiego na początku swojego artykułu, wobec opisanych później afer finansowych DST — budzić może niesmak i ogólne oburzenie.

Impreza, o której pisze red. Danecki, odbyła się w specyficznych warunkach. Na zaproszenie Klubu Dziennikarzy Sportowych i olimpijczyków w Poznaniu zespół „Rapsodu" zgodził się wystąpić społecznie w Teatrze Nowym 19 lutego. Przez całą niedzielę trwała daremna walka o dostanie się do Poznania. Drogi były nieprzejezdne, pociągi i autobusy odwołane. W dniu imprezy część zespołu dostaje się po uciążliwej i całodziennej jeździe pociągiem, do Poznania. (...) Tylko z góry wrogie nastawienie p. red. Daneckiego do programu (lub inne może względy?) zmusiły go do recenzowania tego właśnie pokazu, mając możliwości obejrzenia go w innym terminie.

„Rapsod olimpijski" grany jest już ponad 300 razy, prawie w całej Polsce i wszędzie miał pochlebne recenzje. (Do wglądu kronika Teatru)... Może zdarzyć się również i taki fakt że program się jakiemuś redaktorowi nie spodoba, takie jego prawo. (...)

Nie „haracz" był powodem, że zmieniono obsadę (...) Zmiana obsady, jeszcze bardziej podniosła rangę artystyczną i polityczną spektaklu. Program ten oceniony b. pozytywnie przez komisję artystyczną, został zakupiony przez ZPR Warszawa i grany jest nadal z powodzeniem.

Karygodne wręcz było podawanie przez red. J.K. nie sprawdzonych i bez podania źródła informacji, jakoby reżyser żądał „haraczu" od aktorów dla organizatorów. Podanie nazwiska kilka razy skłaniało wyraźnie do tego, aby była to rozgrywka personalna. Nie będę trudził się w udowadnianie mojej niewinności, ustali to lepiej postępowanie sądowe. Będzie więc musiał red. Katarasiński ponieść konsekwencje za podawanie nie sprawdzonych faktów i tendencyjne ich interpretowanie (...)

Żadne podstępy i akty zemsty nie zniechęcą mnie do dalszej działalności artystycznej i politycznej za którą posiadam wiele odznaczeń państwowych i nagród. Nie można tak lekkomyślnie i bezkarnie „niszczyć" człowieka i jego dorobku. Wyrządzić krzywdę jest bardzo łatwo, trudniej jednak ją naprawić... Przykro mi, że naruszono przy tym prestiż Waszego pisma, znanego ze śmiałych, ale rzetelnych informacji.

Z poważaniem
WIESŁAW SZCZOTKOWSKI

Od redakcji:
Znane są nam inne recenzje. Oto poniżej najistotniejszy fragment tej, na którą powołuje się (UKA) z „Gazety Zachodniej". Czy wobec lapidarnego stwierdzenia, że „przedstawienie jest pozbawione wartości artystycznych", można stwierdzić wynik remisowy w spotkaniu z recenzją Daneckiego?

W liście p. W. Szczotkowskiego pominęliśmy fragmenty dotyczące osób trzecich, zawierające pomówienia i oczywiste nieścisłości.

* * *

(...) „Troje wykonawców przypomina w godzinnym występie różne fakty (w tym sporo nieznanych ciekawostek) z historii igrzysk. Nawiązują — według scenariusza Wiesława Szczotkowskiego — nie tylko do blasków, lecz i do cieni olimpijskich zawodów, które zarysowały się szczególnie w Berlinie (w 1936 roku) i w Monachium (w 1972). Ze sceny mówi się o olimpiadach, które się nie odbyły z powodu wojen oraz o mało znanych igrzyskach, rozegranych w obozach jenieckich w latach 1940 i 1944. Teksty publicystyczne przeplatane są wierszami o tematyce olimpijskiej, sportowej.

Całość wieńczy hołd poległym polskim olimpijczykom. W sumie przedstawienie, mimo że **pozbawione wartości artystycznych** (a określone jest przez autora t e a t r e m faktu), okazało się ciekawe ze względu na walory informacyjne". (...) (gh)

(„Głos Wielkopolski", 20.II.1979 r.)

* * *

W związku z artykułem red. Jerzego Katarasińskiego „Pod szyldem", zamieszczonym w 15 numerze Waszego pisma, w którym jestem bez nazwiska wymieniona pośród mistrzów olimpijskich oszukanych przez kierownictwo zespołu „Rapsod olimpijski", jeżdżącego w listopadzie, grudniu 1978 oraz w styczniu 1979 roku pod pieczą Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych" w Łodzi **potwierdzam wyłudzenie ode mnie przez p. Gruszczyńskiego i reż. Szczotkowskiego kwoty 15.000 zł.** Pieniądze te, na gorącą prośbę p. Szczotkowskiego, pożyczyłam p. Gruszczyńskiemu w sierpniu 1978, kiedy „Rapsod olimpijski" był jeszcze zespołem Stowarzyszenia Muzyki Estradowej. Po wielokrotnych moich upomnieniach o zwrot pożyczki usłyszałam wreszcie, 22 grudnia 1978, w drodze do Pionek, leżących na III trasie zespołu firmowanego już przez Dom Środowisk Twórczych w Łodzi, że nie dostanę zwrotu pożyczki, ponieważ jest to haracz należny kierownictwu za mój udział w dotychczasowych imprezach „Rapsodu", w których występowałam wraz z innymi mistrzami olimpijskimi w wywiadach przeprowadzanych z nami na scenie przez dziennikarzy. Jednocześnie zażądano ode mnie dalszego płacenia określonej sumy (ponad 10 proc.) od każdej wypłaty, na co się nie zgodziłam. (...)

Konsekwencją naszej odmowy i powiadomienia o tym Dyrekcji DST i dyr. Rogackiego było w ostateczności... zwolnienie mnie w końcu stycznia 1979 roku z zespołu „Rapsod olimpijski". Tak więc, jeżeli chodzi o mnie, z sumy 17.000 zł, jaką zapracowałam występami, wyłudzono ode mnie prawie wszystko.

Podobnie wyłudzono sporą kwotę od znanego działacza sportowego p. Cichockiego, pracownika Ośrodka Wychowania Fizycznego w Płocku i do chwili obecnej nie zwrócono jej (...)

Takich oszukanych ludzi w ten lub inny sposób, jest więcej. Są to zarówno złoci medaliści olimpijscy (Krzyszkowiak, Szczepański) jak i dziennikarze sportowi, jak Mieczysław Kaleta z kieleckiego „Słowa Ludu", z którymi p. Sabina Gruszczyńska, kierownik zespołu, działająca jako etatowy pracownik w imieniu Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych" podpisała umowę na 500 zł od występu, a któremu Stowarzyszenie DST wypłaciło tylko po 200 zł. Nie dotrzymanie umowy, a więc oszukanie nas nie jest prywatną sprawą między kierownikiem zespołu a występującymi w imprezach olimpijczykami czy dziennikarzami, jak utrzymuje Dyrekcja DST, na pracy bowiem naszej zarabiało Stowarzyszenie, otrzymując swój wysoki narzut od każdej imprezy. Również z oszustwa dokonanego przez p. Gruszczyńską, Dom Środowisk Twórczych odniósł korzyści finansowe, sumy bowiem wynikłe z obniżenia nam, wbrew umowie, wypłat wpływały do kasy Domu Środowisk Twórczych.

A istnieje przecież zarządzenie nr 29 Ministerstwa Kultury i Sztuki z dnia 13 marca 1970 roku mówiące, że w wypadkach uzasadnionych wysokimi kwalifikacjami wybitnych fachowców w swej dziedzinie, ustala się stawkę od 250 do 500 zł za występ. I taką właśnie stawkę, 500 zł, w myśl tegoż zarządzenia wypłacało nam Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, pod egidą której jeździliśmy z „Rapsodem", zanim przeszliśmy pod szyld Domu Środowisk Twórczych. I taką stawkę będą otrzymywali dalej mistrzowie olimpijscy i dziennikarze w zespole „czystych rąk" stworzonym przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej dla krzewienia idei olimpijskiej, idei szlachetnego sportu.

Dodam przy tym, że ja mogę występować społecznie, nie biorąc za to grosza, co bardzo często robię, ale nie godzę się, by mnie oszukiwali i nabierali pełnomocnicy tak znanej instytucji, jak „Dom Środowisk Twórczych", czy jakakolwiek inna ona by była. A na dobitkę tego wszystkiego dodać trzeba, że Dom Środowisk Twórczych nie wypłacił wielu z nas kosztów podróży. Tak wygląda moja współpraca z Domem Środowisk Twórczych".

JADWIGA WAJS-MARCINKIEWICZ

P.S. Jedno, co zadziwia uczciwych ludzi, to fakt, że pp. Gruszczyńscy, na których meldunki do milicji złożone zostały dnia 12 lutego br. (a odpisy poszły do Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi) jeżdżą bezkarnie do tej pory, podobno (?) pod opieką Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych, a artyści, członkowie SPATiF, w pełni uświadomieni o ich nadużyciach, popierają ich swym udziałem w „Rapsodzie olimpijskim".

J. W.-M.

* * *

Artykuł Jerzego Katarasińskiego z dnia 15.4. br. pt. „Pod szyldem" mówił m. in. o widowisku „Rapsod Olimpijski" i dziwnych praktykach osób związanych z tą imprezą.

Brałem udział w tym widowisku. Sądzę, że mam prawo zabrać głos na temat samej imprezy i osoby ją organizującej.

W połowie października ub.r. zadzwonił do mnie niejaki pan Gruszczyński, przedstawiając się jako kierownik widowiska pt. „Rapsod Olimpijski", zorganizowanego ku czci pomordowanych przez hitlerowców polskich olimpijczyków. Widowisku temu — oświadczył pan Gruszczyński — patronuje Polski Komitet Olimpijski. Ponadto oświadczył, że działa jako oficjalny przedstawiciel Estrady i Teatru Refleksji oraz że ma pełnomocnictwa potrzebne do zawierania umów wg stawek zagwarantowanych także przez GKKFiT. Dalej — oświadczył pan Gruszczyński — w widowisku biorą udział zawodowi artyści teatralni oraz gościnnie olimpijczycy lub trenerzy olimpijscy. Jest już zapewniony udział słynnej światowej znakomitości olimpijskiej, a do mnie pan Gruszczyński zwraca się z polecenia innej gwiazdy olimpijskiej.

Tak się składało, że przez kilka lat przebywałem na drugiej półkuli, przygotowując do kolejnych olimpiad olimpijczyków Kuby, potem Meksyku, następnie Chile. Ponieważ za granicą reprezentowałem Polski Komitet Olimpijski, uznałem, że nie wypada odmówić, więc zgodziłem się, podczas 10 dni mojego urlopu, w końcu października ub.r., wziąć udział w proponowanym przez pana Gruszczyńskiego widowisku, w Płocku i większych miastach płockiego województwa.

W Płocku pan Gruszczyński podpisał ze mną umowę według stawek — jak twierdził — zaakceptowanych przez GKKFiT. Zapytałem pana Gruszczyńskiego, dlaczego na umowie nie ma pieczątki instytucji, którą reprezentuje. Pan Gruszczyński oświadczył, że wystarczy jego osobista pieczątka i podpis. Dowiedziałem się jeszcze, że p. Gruszczyński jest „dyrektorem" imprezy, a sprawy „sprzedawania" widowiska zakładom pracy, „bo tylko to się opłaci", załatwia jego organizacyjny agent. Ile będzie osób i kto, nieważne. Grunt, że impreza sprzedana. Argumentacja była mętna i nieprzekonywająca. Miałem obawy co do typu widza i słuchacza-odbiorcy tak specyficznego widowiska i co do frekwencji.

Smutna rzeczywistość potwierdziła moje obawy. Pierwsze spektakle „Rapsodu Olimpijskiego" w Płocku zaszczyciło kilkanaście osób oraz garstka dzieci, które w czasie, gdy mówiono o wyczynach i męczeńskiej śmierci polskich olimpijczyków, goniły po wielkiej, pustej sali. Tego rodzaju „załatwianie" imprezy wydało mi się profanacją pamięci olimpijczyków, którzy złożyli ojczyźnie życie w ofierze i dla których „Rapsod Olimpijski" miał być i powinien być hołdem. Powiedziałem p. Gruszczyńskiemu, co o tym myślę. Odparł, iż ubolewa nad tym, lecz nie może nic poradzić, gdyż jego agent organizacyjny jest hochsztaplerem, pijakiem, łobuzem i naciągaczem. Cały zespół był zażenowany i przygnębiony.

Sytuację uratował wicedyrektor Wydziału Kultury w Płocku, p. Andrzej Cichocki. Dzięki swemu stanowisku i znajomościom załatwił z dyrektorami szkół udział młodzieży w widowisku. Ostatniego dnia w Płocku były nadkomplety. W terenie to samo, co w Płocku. Tam, gdzie organizowała spektakle tzw. „dyrekcja" i „agencja dyrekcji" — żenująca klapa. W pustych salach po kilkanaście osób (w tym zdarzały się i nietrzeźwe) i kupa niesfornych dzieci. I znowu p. Cichocki ratował honor imprezy, zabiegając u władz partyjnych i dyrektorów szkół o udział młodzieży w widowisku. W efekcie, np. w Kutnie pięć spektakli w ciągu jednego dnia. Reakcja młodzieży? Zainteresowanie, skupienie, zrozumienie i aplauz na wszystkich spektaklach.

Ostatnie spektakle organizowane przez „dyrekcję" były więcej niż żenujące. Kilka dorosłych osób i rozbawione dzieci, śmiejące się głośno w tragicznych momentach widowiska, to upokorzenie dla występującego zespołu i obelga dla pomordowanych olimpijczyków.

W ciągu 10 dni występów osoby występujące w widowisku ostrzegały mnie, bym przypadkiem nie pożyczył „dyrektorowi" pieniędzy „tylko na kilka dni", gdyż jest on już winien różnym osobom kilkanaście tysięcy złotych. Jeśli zaś chodzi o wpisaną w moją umowę stawkę za występy, to jest ona fikcją bez pokrycia, gdyż ten pan żadnych pełnomocnictw na takie stawki nie ma i w ten sposób nabiera ludzi już od dłuższego czasu. „Jeśli pan dostanie — mówiono mi — 1/3 obiecanej stawki, to będzie dobrze; i to niepewne".

Po 5 miesiącach otrzymałem nieco powyżej 1/3 obiecanej stawki.

Z poważaniem
WŁODZIMIERZ PUZIO,
Warszawa

* * *

Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu artykułu „Pod szyldem" w nr 15 „Odgłosów" pomyślałem sobie, że ja też powinienem parę słów na ten temat napisać.

W kwietniu 1978 roku przyszli do mnie panowie: Wiesław Szczotkowski i Bohdan Gruszczyński i zamówili u mnie trzydzieści diapozytywów, w trybie pilnym, do przedstawienia „Rapsod Olimpijski".

Z uszczerbkiem dla innych prac, zarywając noce, zamówienie wykonałem w terminie, i do tej pory nie otrzymałem ani grosza!!!

Wielokrotnie dzwoniłem do pana Wiesława Szczotkowskiego, ale on zawsze odsyłał mnie do pana B. Gruszczyńskiego, a ten był po prostu nieuchwytny.

Zwróciłem się więc o zapłacenie należności do Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych", rozumując, że skoro „DST" czerpie z eksploatacji „Rapsodu Olimpijskiego" korzyści finansowe, a tym samym z mojej pracy, jest więc niejako wspólnikiem, będąc prawnym zwierzchnikiem zatrudnionych przez siebie ludzi.

W odpowiedzi napisano mi, że p. B. Gruszczyński nie jest etatowym pracownikiem Stowarzyszenia, tylko jego żona..., a jeśli mam jakieś finansowe roszczenia w stosunku do tych panów, to powinienem wystąpić na drogę sądową z oskarżenia prywatnego.

Ponadto pan Wiesław Szczotkowski oświadczył w Stowarzyszeniu, jakoby tylko jeden z zamówionych przez spółkę W. Szczotkowski — B. Gruszczyński diapozytywów został wykorzystany w przedstawieniu.

Pan Wiesław Szczotkowski uważa najwidoczniej, że jest w porządku, bo korzysta tylko z jednego wypranowanego przeze mnie diapozytywu, a nie z kilkunastu, czuje się w zgodzie z moralnością, bo nabił mnie w butelkę nie na parę tysięcy zł, a zaledwie na kilkaset.

Chciałem więc zapytać pana Wiesława Szczotkowskiego, ile sobie ceni swoją moralność. Jeśli na 100—200 zł, chętnie ją od niego kupię.

Pan Wiesław Szczotkowski z p. B. Gruszczyńskim zamówili również ów osławiony plakat „Wiesław Szczotkowski" „Poland", za który również do tej pory nie zapłacili.

Z poważaniem
RYSZARD KARASIŃSKI
Pabianice

* * *

Panie Redaktorze!

Spodziewałem się, że po opublikowaniu w „Odgłosach" artykułu Jerzego Katarasińskiego pt. „Pod szyldem", dotyczącego nieprawidłowości w działaniach Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych" w Łodzi, zostanie zwołana natychmiast Komisja Rewizyjna, której jestem członkiem, a która nie zbierała się od niepamiętnych czasów. Czas mija, a członkowie komisji nadal nie mają wglądu w działalność Stowarzyszenia.

Z poważaniem
JERZY KWIECIŃSKI

* * *

Redaktor Naczelny
Tygodnika Społeczno-Kulturalnego „ODGŁOSY"

Nawiązując do artykułu red. Jerzego Katarasińskiego POD SZYLDEM („Odgłosy" z dnia 15. IV. 1979 r.), poddającego ocenie działalność Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych". Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi informuje, iż decyzja Prezydenta Miasta Łodzi ob. Zenon Rogacki zawieszony został w czynnościach dyrektora Biura DST.

Zarząd Stowarzyszenia podjął uchwałę, przyśpieszającą termin Walnego Zebrania Sprawozdawczo-Wyborczego.

Na zebraniu, które odbędzie się w dniu 25 czerwca br., w oparciu o przygotowane przez Zarząd analizy oraz wnioski i zalecenia pokontrolne, podjęte zostaną uchwały, ustalające zasady dalszej działalności Stowarzyszenia „Dom Środowisk Twórczych".

Zastępca dyrektora wydziału
mgr RADOSŁAW SUROWIEC
Łódź, dnia 8 maja 1979 r.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

POWRÓT

Widok nowej tkalni

Dalszy ciąg ze str. 1

Hulki-Laskowskiego pamiętam opis *„bezprzykładnego głodu mieszkaniowego"*, jaki jeszcze w latach międzywojenych prześladował żyrardowian. Przez wiele lat domy dla robotników budowała fabryka, ale od roku 1928 — kiedy zarząd przejęło francuskie konsorcjum — nie postawiono w tym mieście żadnego nowego budynku mieszkalnego. Wstrzymano nawet zaczętą wcześniej — jeszcze pod polskim, państwowym zarządem — budowę domu.

Mieszkania na długie lata stały się więc w Żyrardowie jednym z podstawowych problemów. I chociaż w ciągu ostatnich 35 lat wzniesiono w Żyrardowie kilka nowych osiedli, spora część mieszkańców żyje jeszcze w budynkach pamiętających czasy pierwszego właściciela tutejszych zakładów — Dittricha.

Dlatego nie dziwi odpowiedzialność, z jaką społeczna komisja pochyla się nad bez mała 70 podaniami, które wpłynęły ostatnio. Dwa mieszkania trzeba dziś rozdzielić, ale tylko jedno podanie nie podlega dyskusji. Mieszkanie dostaje wieloletnia tkaczka, matka czworga dzieci uczących się w przyzakładowej szkole włókienniczej. Wraz z nimi i z chorym na gruźlicę mężem mieszkała dotąd w jednej izbie...

Dla mojego rozmówcy — 27-letniego kierownika wydziału tkalni inż. Janusza Grzesiaka jest to zaledwie jedna ze spraw, w których rozwiązywaniu uczestniczy na co dzień. Ale bez tego uczestnictwa, bez zaangażowania w niemal wszystkie, ludzkie i produkcyjne sprawy, trudno sobie wyobrazić kierowanie tkalnią — tym największym spośród trzech wiodących wydziałów w największych zakładach lniarskich w Polsce. W tkalni pracuje 1250 ludzi. Ponad 80 procent — to kobiety.

MIĘDZY DWIEMA TRADYCJAMI

Bogata historia żyrardowskich zakładów mogłaby zapewne dostarczyć wielu ciekawych przykładów jednostek, których życie splecione było z lnem w nierozerwalny węzeł. Do takich ludzi należał choćby ojciec Pawła Hulki-Laskowskiego, którego — jak to wspomina syn — jeszcze *„w kołysce do fabryki nosili"* i który *„półszósta roku miał jak zaczął szpulki snowaczom podawać"*... A i dzisiaj nie są w Żyrardowie zjawiskiem rzadkim domy, w których pod jednym dachem żyją z lnu trzy pokolenia.

Choćby u Grzesiaków. Przy krosnach większość swego życia spędziła sędziwa dziś, 84-letnia babka. W lnie pracował przed wojną dziad (zginął w Niemczech w czasie okupacji), po wojnie zaś — siostry ojca i matka Janusza. Kiedy w domu najważniejszą sprawą stała się przyszłość syna, właśnie matka namawiała go najbardziej na włókienniczy fach i powrót między mury, z którymi historia rodziny splotła się tak silnie.

Podkreślam te fakty, bo z dziedziczeniem rodzinnej tradycji bywa dziś w Żyrardowie — ale czy tylko tutaj? — bardzo różnie. Młodzi żyrardowianie przestali być już „skazani na len", jak ich dziadkowie i ojcowie. W ciągu powojennych lat wyrosła dla lnu konkurencja. W samym tylko Żyrardowie: zakłady bawełniane, odzieżowe, pończosznicze, tkanin technicznych, remontu obrabiarek, wytwórnia płyt paździeżowych... A w województwie, w jego stolicy — Skierniewicach, a w Warszawie?

Wybór zawodu i drogi życiowej był więc w wypadku Grzesiaka mniej lub gardziej świadomym wyborem między dwiema tradycjami: tą dobrą, rodzinną, i tą „złą", którą narzuca młodym żyrardowianom współczesny obyczaj.

Na tle obyczajowych przemian współczesnego Żyrardowa — tak charakterystycznych dla ośrodka, w którym przez długie lata dominował jeden typ produkcji — losy Janusza Grzesiaka wymykają się typowości, zarówno tej jaką niosą życiorysy starych żyrardowian, jak i tej, która wynika z powszechnego pędu młodych: uciec jak najdalej od rodzinnego miasta... Żyrardów — największy, powtórzę, ośrodek lniarski w kraju — o stu pięćdziesięcioletniej tradycji. Daje pracę niemal pięciu tysiącom ludzi, a trzeba było aż dwudziestu powojennych lat, aby wychował on sobie pierwszego, urodzonego w tym mieście inżyniera. Trwało to długo, zbyt długo — tak to ocenia się dzisiaj w fabryce.

W czym tkwi źródło faktu, że wśród żyrardowskiej młodzieży traktuje się dzisiaj zawód włókiennika jako mniej atrakcyjny, o mniejszym prestiżu? Czy tylko w tak powszechnym pędzie do łatwego, a dużego zarobku, w marzeniach o „wielkim świecie", który zaczyna się dopiero poza granicami rodzinnego miasta, w kompleksach albo w odziedziczonej po przodkach niechęci do *„ceglanych murów"*? Trzeba będzie cofnąć się w przeszłość, bo wydaje mi się, że podtrzymywaniu niepopularności włókienniczego fachu służyło — i to przez lata całe — słabe, a okresowo wręcz nie istniejące, szkolnictwo włókiennicze.

Paweł Hulka-Laskowski pisze w swoich wspomnieniach, że już pierwszy, XIX-wieczny właściciel zakładów — Niemiec, Karol Dittrich *„miał na widoku stworzenie w Żyrardowie nawet szkolnictwa zawodowego, które dostarczałoby fabryce wykwalifikowanych fachowców"*. Także i przez sześć lat po odzyskaniu niepodległości — kiedy to zakłady znajdowały się pod państwowym zarządem — ich dyrektor, inż. Władysław Srzednicki interesował się rozwojem oświaty dla robotniczych i urzędniczych dzieci, a nawet — nawiązując do planów Dittricha — zainicjował szkolnictwo fachowe. Jednakże w 1930 roku szkołę tkacką zamknięto. Stało się to za rządów Francuzów, a ściślej za ówczesnego dyrektora — Jana Waśkiewicza. *„Nowy zarząd posługujący się z premedytacją wyłącznie siłami zagranicznymi, krzywym okiem spoglądał na szkołę tkacką (...) Zgoła niepotrzebnie wyrzucano 80.000 złotych na utrzymywanie biur w Warszawie, ale nie umiano zdobyć się na wydatek kilkunastu tysięcy dla utrzymania szkoły, którą władze państwowe zamierzały przejąć na własny etat"* — komentuje ten fakt autor „Mojego Żyrardowa".

Po II wojnie przez długie lata ludzi dla żyrardowskiego lnu kształciła na miejscu jedynie przyzakładowa szkoła zasadnicza. Technikum organizowano powoli: najpierw wieczorowe, a od pięciu lat dopiero — dzienne. W międzyczasie jednak opinię najlepszej szkoły w Żyrardowie zdobyło sobie — istniejące od wyzwolenia — technikum elektryczne. Powstało liceum medyczne, nowoczesny zespół szkół zawodowych, a mieszcząca się w murach starej Resursy Zasadnicza Szkoła Włókiennicza utrwaliła się w świadomości młodzieży jako niezbyt — przyznajmy — pedagogiczny straszak. Mówiono, że ze szkoły podstawowej szli do niej najsłabsi uczniowie...

Zdarzało się, w dawnych latach co prawda, że na studia włókiennicze do Łodzi wyrywał się z Żyrardowa ten i ów maturzysta. Żaden nie wrócił już jednak do rodzinnego miasta. Młodych kusiły nowe zakłady, oferujące stypendia, pracę w lepszych warunkach, mieszkania, czyli to, czego przez długie lata nie mógł dać włókiennikom zaniedbany Żyrardów. Inna rzecz, że włókiennictwo na Politechnice Łódzkiej przeżywa okres „mody" (są lata, kiedy na jedno miejsce przypada pięciu chętnych, ale są również i takie, gdy chętnych brak) i że tkactwo jest specjalnością wybieraną dość rzadko. Na ogół też studiują ją kobiety, a te po dyplomie wybierają raczej małe, a lepiej wyposażone zakłady w dużych miastach (np. Cepelii).

Wśród wielkich ośrodków lniarskich w kraju właśnie Żyrardów najsilniej chyba odczuwał brak ludzi z dyplomami szkoły wyższej. Skutki tego stanu trwają do dziś.

Dla rozmiłowanych w przedmiotach ścisłych kolegów z klasy Janusza Grzesiaka, którzy — podobnie jak on (zachęceni dopiero w 1970 roku po raz pierwszy wprowadzoną do żyrardowskiego liceum preorientacją zawodową w dziedzinie włókiennictwa) — wyjechali na studia do Łodzi, były one początkiem drogi w „wielki świat", choćby nawet kończył się on — tak jak istotnie bywało — w Bielsku-Białej, Wałbrzychu czy Opocznie...

Tymczasem Janusz Grzesiak, zachęcony przez matkę, zdecydował inaczej. Wybrał najtrudniejszą specjalizację: tkactwo i ku zaskoczeniu kolegów złożył u dziekana podanie o pozwolenie na odbycie praktyk w rodzinnym mieście. Dwie praktyki, a także ufundowane przez dyrekcję „Żyrardowa" stypendium, pogłębiły w studencie IV roku chęć powrotu. I na nic zdały się „dobre rady" znajomych, którzy ostrzegali go, że jako ten, który był najpierw „nic nie umiejącym praktykantem", nie będzie — już jako „pan inżynier" — miał najmniejszych szans na zdobycie autorytetu... Proroctwa te okazały się nieprawdą i dzisiaj, po pięciu latach młody inżynier nie żałuje swego wyboru.

ROŚNIE RAZEM Z FABRYKĄ

Gdy w 1975 roku Janusz zjawił się z dyplomem w kieszeni w macierzystej fabryce, wychodziła z fundamentów nowa hala dla tkalni: gładkiej i żakardowej. O niej mówiło się wtedy w zakładach najwięcej. Miała zastąpić halę-staruszkę, do której po usunięciu maszyn (część z nich co prawda świetnie nadawała się na eksponaty...) — zamierzano wprowadzić Muzeum Lnu.

Z tą nową tkalnią związał się inż. Grzesiak od początków pracy w fabryce. Od chwili, gdy po trzymiesięcznym stażu objął stanowisko jedynego na wydziale tkalni technologa...

— *W tym pierwszym okresie* — wspomina dzisiaj — *nie próbowałem niczego zmieniać, poprawiać czy ulepszać. Starałem się tylko dużo obserwować i notować w pamięci. Chodziłem podczas stażu krok w krok za jednym z doświadczonych mistrzów, podpatrując jak organizuje sobie pracę, jak naprawia maszyny. Stopniowo poznawałem technologię, organizację produkcji, mentalność ludzi.*

Ten „chrzest" nie mógł jednak trwać długo. Rok 1977: w nowej hali ruszają pierwsze krosna. Inż. Grzesiak zostaje szefem jednego z dwóch oddziałów nowej tkalni — tkalni żakardowej.

— *To był trudny okres. Pracowały już maszyny, a jednocześnie trwał nabór ludzi i szkolenie, wprowadzano też trzecią zmianę. O części maszyn — dotąd u nas w ogóle nieznanej — mistrzowie, którzy przychodzili ze starej tkalni, mieli dość mgliste pojęcie. Musieli teraz oduczać się starych nawyków, poznawać tajniki obsługi nowoczesnych krosien.*

W nowej tkalni nabierają dzisiaj materialnego kształtu te wszystkie wyroby, z których już w końcu ubiegłego wieku słynął w Europie Żyrardów. A więc obrusy, serwety, zasłony, pościel, ręczniki, makaty, a od niedawna jeszcze — tapety.

Hala jest samowystarczalna. Posiada wszystkie urządzenia od magazynu przędzy do magazynu tkaniny surowej (skąd wędruje ona do wykończalni). Pracuje tu trzysta krosien (cały wydział ma ich 650), polskich na licencji szwajcarskiej; na nich zaś — 540 ludzi. Sto maszyn wyposażono w jugosłowiańskie maszyny Jacquarda.

Nad „muzealną" tkalnią nowa góruje — trzykrotnie — wielkością produkcji. Daje też lepsze warunki pracy: jest cichsza, ma dobrą klimatyzację, silniejsze oświetlenie, pełne zaplecze socjalne.

Dla wszystkich: inżynierów i tkaczy pierwsze dwa lata pracy tkalni to był okres intensywnej nauki. Dla 25-letniego kierownika dodatkowo czas pierwszej, samodzielnej już pracy z dużym zespołem ludzi. Czas sprawdzania się w pionierskich — jak na „Żyrardów" — warunkach. I — wyzwalania własnej inicjatywy.

Taktyka „wrzucenia na głęboką wodę", zastosowana — zdaje się — przez dyrekcję zakładów wobec świeżo upieczonego inżyniera, miała wszakże przynieść dobre owoce. Minęły dwa lata. Pod kierownictwem Grzesiaka oddział tkalni żakardowej osiągnął w terminie planowaną moc produkcyjną. W 1979 roku — piątym roku pracy Janusza — do Centralnego Laboratorium Przemysłu Lniarskiego przechodzi dotychczasowy szef wydziału tkalni i Janusz Grzesiak zajmuje jego miejsce.

Pracując przez poprzednie lata na wydziale, Janusz był świadkiem jego ewolucji. Obserwował pracę zmieniających się co rok kierowników. Wszyscy oni górowali nad młodym inżynierem wiekiem i stażem pracy. I chociaż — jak dzisiaj przyznaje — nauczył się od nich organizowania produkcji, kierowania ludźmi, wielu technologicznych „kruczków" — znalazł się teraz w sytuacji wcale nie łatwiejszej. Przypadła mu największa i najnowocześniejsza część zakładów. Przejął ją z całym „dobrodziejstwem inwentarza": poznawaną dopiero technologią, niepełną załogą...

Jak zapobiec nadmiernej fluktuacji pracowników? — na to pytanie musiał zaraz odpowiedzieć. Wiadomo, że sam Żyrardów dawno już przestał być źródłem rąk do pracy dla tutejszego włókiennictwa. Większość kobiet, także tych z tkalni, wywodzi się z okolicznych wsi. Do pracy przychodzą albo po szkole zasadniczej, nabite wprawdzie teorią, lecz nie obeznane z nowoczesną techniką, albo też całkiem „świeże", a nawet nierzadko zupełnie nie zorientowane w charakterze swojej przyszłej pracy. Dla tych, okres adaptacyjny w fabryce musi trwać dłużej, częściej też przynosi zawiedzione nadzieje i rozczarowania. Tym ludziom zakład musi przyjść z konkretną pomocą. Za żadną cenę nie można pozwolić im odejść!

I tu jest pole do działania dla szefów poszczególnych wydziałów. Muszą być łącznikami między wymaganiami wielkiej produkcji i aspiracjami jednostek. Przyczyny zmiany miejsca pracy bywają nieraz bardzo prozaiczne (ot, choćby uczulenie na wkładki chroniące uszy przed hałasem...). Na ogół też zupełnie wystarczająca jest zmiana stanowiska, w ostateczności zaś — wydziału. Ta pomoc musi jednak nadchodzić w porę; trzeba więc wsłuchiwać się na co dzień w rytm życia i pracy na wydziale, mieć jasność co do oczekiwań i predyspozycji pracowników. Dlatego — wnet po objęciu nowego stanowiska — wprowadził inż. Grzesiak zwyczaj indywidualnych rozmów z przyszłymi pracownikami, jeszcze przed umową. Uważa, że taka pierwsza rozmowa sprzyja zaufaniu, pomaga lepiej poznać ludzi, a także daje pretekst do jej kontynuowania — podczas pracy w fabryce.

NIE BĘDĘ JUŻ SAM

Nie wiem, czy sprawił to przykład inż. Grzesiaka, który jako pierwszy urodzony w Żyrardowie inżynier wrócił do rodzinnego miasta, ale faktem jest, że na tym samym wydziale kilka osób podjęło w ostatnim czasie studia zaoczne na PŁ.

Z każdym rokiem coraz więcej młodych ludzi idzie też z Żyrardowa na studia włókiennicze. Systematyczną preorientację zawodową prowadzi dziś żyrardowskie liceum — przy współudziale zakładów. Stwarza to szansę, że przynajmniej część przyszłych inżynierów — włókienników wróci do Żyrardowa.

Ostatnio — po części skutkiem namowy inż. Grzesiaka — przyszło do zakładów kilku absolwentów Politechniki Łódzkiej. Dostali ciekawą pracę, mieszkanie, są chyba zadowoleni. Z wolna, różnymi drogami, powiększa się w „Żyrardowie" grono specjalistów.

Inż. Janusz Grzesiak, po powrocie do gniazda, przez pewien czas uczył technologii tkactwa w Szkole Włókienniczej. Zachęcał wówczas swoich uczniów do dalszej nauki i studiów. Kilkakrotnie też — dzięki inicjatywie dyr. Borkowskiego z LO — spotykał się z młodzieżą „swojego" liceum. Pamiętając o tym, że i jemu jako licealiście pomogli starsi koledzy w wyborze zawodu, namówił już niejednego do studiów na włókiennictwie. I to na przekór niechętnym wobec tego zawodu nastrojom...

Chociaż fakt powrotu do rodzinnego miasta doceniła w pełni dyrekcja i POP „Żyrardowa", Janusz Grzesiak nie czerpał nigdy z niego specjalnych profitów. Przeskakując kolejne stopnie tego tak typowego w sumie dla nowoczesnego przemysłu, a przecież — dla Żyrardowa — bezprecedensowego awansu, zachował skromność; w swej drodze widzi wyraz tych samych tendencji, które w ciągu ostatnich lat tak bardzo odmłodziły żyrardowski len, czyniąc z półtora wieku liczących zakładów ośrodek na miarę współczesnych ambicji miasta i województwa.

— *Kiedy wróciłem do rodzinnego miasta* — mówi dzisiaj — *było naturalne, że podkreślano ten fakt. Miałem satysfakcję, że udało mi się przełamać niechlubną tradycję. Pamiętam moment, kiedy przedstawiono mnie załodze tkalni. Dyrektor powiedział wtedy: Nareszcie kierownikiem tkalni został inżynier z naszego miasta...*

— I co na to załoga?

Janusz uśmiecha się: *Większość to Żyrardowianie...*

No właśnie, mieliby nie pomóc swemu krajanowi?

TOMASZ SOLDENHOFF

Foto: L. Włodkowski

inż. Janusz Grzesiak

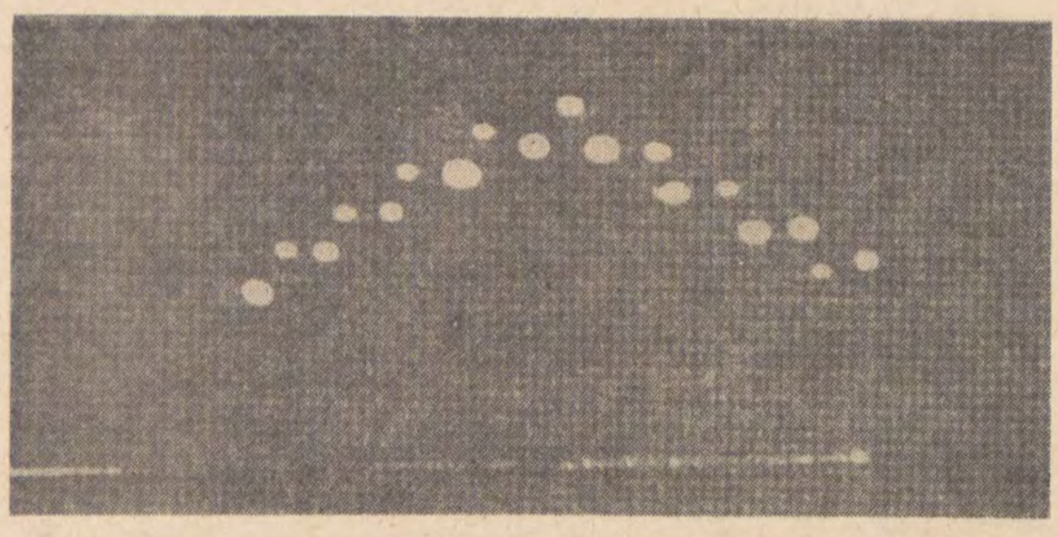

Głośne światła w Lubbock

OLGIERD WOŁCZEK

PRZYBYSZE Z KOSMOSU?

Falę gwałtownego zainteresowania tzw. latającymi spodkami i ich rozgłosu zapoczątkowało wydarzenie, które nie było ani specjalnie widowiskowe, ani tym bardziej dramatyczne. W dniu 24 czerwca 1947 roku amerykański przemysłowiec z Boise w stanie Idaho, Kenneth Arnold, odbywał podróż swoim prywatnym samochodem na trasie z Chehalis do Yakima w stanie Washington. Kiedy zbliżał się do jednego z najwyższych szczytów Stanów Zjednoczonych — Mt. Fainer i przyglądał mu się, zauważył łańcuch niezwykłych obiektów przelatujących blisko góry.

„Mogłem dostrzec zupełnie wyraźnie ich zarysy — powiedział później Arnold — kiedy zbliżały się do szczytu. Leciały one bardzo blisko wierzchołków; wprost z południa na południowy wschód, wzdłuż grzbietu łańcucha, poruszając się niby gęsi ukośną linią, podobną do łańcucha, jak gdyby były ze sobą połączone. Znajdowały się one w odległości około 20 czy 25 mil (32—40 km) i nie mogłem dostrzec tylnej części klucza. Przyglądałem się przez mniej więcej trzy minuty łańcuchowi przedmiotów podobnych do spodków, długimi na co najmniej 5 mil (8 km), odchylającemu się to w jedną, to w drugą stronę od wysokich szczytów górskich. Były płaskie jak patelnia i tak błyszczące, że odbijały światło słoneczne jak zwierciadło. Nigdy przedtem nie widziałem czegoś poruszającego się tak szybko".

Zgodnie z oceną Arnolda obiekty były nieco mniejsze od samolotu pasażerskiego DC-4, który przypadkowo znalazł się w okolicy i z którym można je było porównać. Natomiast trudno przyjąć, że leciały one z prędkością 1200 mil/h (około 2900 km/h), jak podał obserwujący je przemysłowiec. Biorąc pod uwagę, że w ciągu trzech minut obserwacji nie mogły one przebyć odległości większej niż mniej więcej 25 mil (40 km), dochodzi się do wniosku, że ich prędkość wynosiła raczej około 800 km/h. W tamtych czasach była to jednak szybkość raczej niezwykła.

Arnold po zakończeniu podróży podzielił się z otoczeniem informacjami o niecodziennym wydarzeniu, jakiego stał się świadkiem. Reakcja prasy była początkowo wstrzemięźliwa i nawet wyśmiewano całą historię. Przemysłowiec odczuwszy przykro krytyczne stanowisko prasy zdenerwował się i powiedział: *„Niech mnie nazwą Einsteinem, Błyskiem Gordonem*", *czy po prostu narwańcem, lecz jestem absolutnie pewny tego, co widziałem".* Oświadczył on następnie, że cokolwiek jednak zobaczyłby w przyszłości na niebie, *„nawet gdyby to był dziesięciopiętrowy budynek lecący w powietrzu, zamknie oczy i zupełnie go zignoruje".*

Komentarz naukowy do obserwacji Arnolda jest nader prozaiczny. Prof J. Allen Hynek, w owych latach astrofizyk z Uniwersytetu Stanowego Ohio, oświadczył, że to nie było żadne zjawisko astronomiczne. Stwierdził on natomiast, iż tajemniczymi obiektami mogły być po prostu samoloty. Znacznie jednak prawdopodobniejsze wydaje się tłumaczenie podane przez wybitnego astronoma z Uniwersytetu Harvarda w Cambridge w stanie Massachussetts, prof. D. Menzla:

„Spędziłem wiele czasu w wysokich Górach Skalistych w Colorado. Z Obserwatorium Wysokościowego Uniwersytetu Harvarda i Uniwersytetu Colorado w Climax niekiedy przyglądałem się przez lornetkę lub mały teleskop kłębiącym się porywom śniegu wznoszącym się jak balony z wierzchołków grzbietów. Powietrze występujące nad jakimkolwiek grzbietem górskim jest bowiem często w stanie silnych ruchów burzliwych. Owe przesuwające się szybko i przechylające chmury śniegu odbijają światło słoneczne jak lustro. A kołysanie powierzchni tych chmur wywołuje efekt wahania się całego łańcucha, podobny do falowania, przy czym na moment tylko dostrzega się odbicie światła od każdego grzbietu takiej fali.

Jest jednak jeszcze inna możliwość. W spokojny, pogodny dzień atmosfera Ziemi może zawierać jedną lub kilka ostro odgraniczonych warstw aerozolu lub pyłu. Warstwa taka jest prawie niedostrzegalna od dołu. Jednakże zauważa się ją wyjątkowo wyraźnie z pokładu samolotu znajdującego się blisko niej. Mgła lub aerozol mogą w pewnych warunkach odbijać światło słoneczne prawie tak jak zwierciadło.

Warstwa tego rodzaju mogła z wielkim prawdopodobieństwem występować podczas słynnego lotu Arnolda. Jednakże znajdując się nad postrzępioną granią ulegała przechyłom, rozrywaniu i skręcaniu przez gwałtowne prądy powietrzne, tak iż mogła wywołać zaobserwowany fakt".

Od chwili zajścia wydarzenia, zaobserwowanego przez Arnolda, doniesienia o latających spodkach, pomimo raczej negatywnego początkowo stanowiska prasy, zaczęły się mnożyć jak grzyby po deszczu. Tego samego dnia co przemysłowiec z Boise, zastępca gubernatora stanu Idaho, Donald S. Whitehead, dostrzegł tajemniczy obiekt, podobny do komety, zawisły nisko na zachodnim niebie. Wskutek ruchu obrotowego Ziemi zsunął się on w końcu poniżej linii horyzontu. Profesor Hynek wyraził później przypuszczenie, że owo dziwne zjawisko mogło być po prostu planetą Saturn lub Merkurym, obserwowaną przez delikatną warstwę chmur pierzastych.

W odpowiednich okolicach, gdzie niebo jest czyste — powietrze pozbawione pyłów i aerozolu — pewne zjawiska niebieskie można dostrzec nawet w pełnym blasku Słońca. Na tzw. Dalekim Zachodzie Stanów Zjednoczonych czy w miejscach sąsiadujących z amerykańskimi obserwatoriami wysokogórskimi planeta Wenus jest dobrze widoczna w takich warunkach. Rzecz charakterystyczna, wiele osób nie potrafi skupić swojego wzroku na odległym przedmiocie. Zamiast jasno świecącego ciała niebieskiego widzą jedynie rozmyty, błyszczący krążek. Jeśli wtedy jeszcze na jego tle przesuwają się szybko obłoki pierzaste, odnosi się wrażenie, że krążek ów leci z ogromną prędkością po niebie. Łatwo wtedy o doniesienie o pojawieniu się latającego spodka.

Takie nieoczekiwane dostrzeżenie Wenus w ciągu dnia w znanym laboratorium amerykańskim Los Alamos, gdzie prowadzi się prace nad konstrukcją i doskonaleniem broni jądrowych stało się przyczyną poważnego alarmu jeszcze w sierpniu 1945 roku. Nie strzelano wprawdzie do zaobserwowanej planety, ale nie potrafiąc zidentyfikować jej widoku, ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo Los Alamos byli w wielkim kłopocie.

A oto inne charakterystyczne wydarzenie, które dziwnym zbiegiem okoliczności nastąpiło tego samego dnia jak owa historyczna już obserwacja Kennetha Arnolda. Poszukiwacz cennych metali z Portland, nazwiskiem Johnson, przebywając w Górach Kaskadowych w Oregonie, zauważył na niebie dziwne odbicia światła. Przyglądając się im dokładniej dostrzegł około pół tuzina tarczowatych tworów, o średnicy około 10 metrów. Zaczął je obserwować przez posiadany teleskop i zobaczył, że mają ogony i że poruszają się w sposób nieskoordynowany. Nie dochodziły od nich jednak żadne dźwięki, takie jak normalnie towarzyszą poruszającym się samolotom. Jednocześnie Johnson zauważył, że igła jego kompasu ręcznego wykonywała gwałtowne ruchy to w jedną, to w drugą stronę.

Prof. Menzel sądzi, że zaobserwowane przez Johnsona obiekty stanowiły jasne odbicia światła słonecznego od odpowiednich chmur. Natomiast dziwne zachowanie się kompasu tłumaczy on drżeniem ręki podekscytowanego poszukiwacza. Jest to oczywiście wyjaśnienie najprostsze i najbardziej prawdopodobne, naukowo uzasadnione. Nie możemy wprawdzie pretendować do tego, iż wszystko już wiemy o polu magnetycznym i sposobach jego użytkowania. Wydaje się jednak bardzo mało prawdopodobne, by móc oddziaływać takim polem na odległość, jaka dzieliła dostrzeżone przez Johnsona obiekty od niego samego.

Doniesienia o zauważeniu dziwnych obiektów latających zaczęły się mnożyć. Wkrótce znalazły się w czołówkach gazet — rozpoczęła się reakcja łańcuchowa. Latające spodki pojawiały się to tu, to tam — dostrzegane przez pojedynczych ludzi i przez całe ich grupy. Sprawa nabrała takiego rozgłosu, że zajęły się nią władze wojskowe. Amerykańskie siły powietrzne przystąpiły do realizacji tzw. Projektu „Spodek" („Saucer"). Prof. Allen Hynek został jego konsultantem jako astronom.

Krytyczne podejście do obserwowanych zjawisk umożliwiło wykrycie całego szeregu przyczyn naturalnych, wprowadzających w błąd wielu ludzi. I tak, dr W. Schaefer z General Electric w Schenectady w Stanie Nowy Jork doniósł, że *„zaledwie przed kilku miesiącami jeden z pracowników w naszym pomieszczeniu meteorologicznym zawołał mnie, bym spojrzał na osobliwy obiekt unoszący się pod podstawą chmury kłębiastej. Zdawał się on wykonywać bardzo szczególne manewry. Skorzystawszy z teleskopu stwierdziliśmy, iż jest to bardzo duży arkusz papieru wibrujący w prądzie wstępującym ciepłego powietrza, ukazujący wpierw swą krawędź, a potem pełny kształt, gdy tak trzepotał we wznoszącym się gazie. Kiedy mu się przyglądałem, papier nagle zniknął wepchnięty do wnętrza obłoku na wysokości większej niż 1500 metrów nad poziomem powierzchni Ziemi. Zaniedbując staranną analizę z pewnością dodalibyśmy jeszcze jeden spodek do pęczniejącego stosu akt sił powietrznych".*

Wiele zamieszania wprowadziły w tamtych czasach balony meteorologiczne. Właśnie mniej więcej wtedy rozpoczęto ekspolatację balonów zupełnie nowego typu, wykonanych ze sztucznego tworzywa — polietylenu. Dzięki znacznej jego wytrzymałości, przewyższającej wydatnie wytrzymałość dotychczasowych materiałów, uzyskano sukcesy bez precedensu. Nowe balony mogły bez trudu osiągać wysokość 30—40 kilometrów nad powierzchnią Ziemi i utrzymywać się w górze przez wiele dni. Niekiedy były one nawet zdolne do kilkakrotnego okrążenia naszego globu. Oświetlone przez promieniowanie słoneczne mogły przedstawiać niecodzienny widok. Ze względu zaś na znaczne wzniesienie nad powierzchnię planety, były dostrzegane przez dłuższy czas po zachodzie słońce lub przed jego wschodem.

Oczywiście, istnienie balonów polietylenowych przez szereg lat stanowiło pilnie strzeżoną tajemnicę wojskową. Ludzie donosili o spostrzeżeniach latających spodków, a w archiwach amerykańskich sił powietrznych odnotowywano skrzętnie trasy, jakimi poruszały się polietylenowe obiekty meteorologiczne.

Innym powodem pojawiania się tajemniczych obiektów latających mogą być szczególne warunki meteorologiczne i naziemne źródła światła. Wspomniany już dr V. Schaefer, spacerując kiedyś wieczorem wzdłuż słonych moczarów w New Jersey, naprzeciw Nowego Jorku, ujrzał na niebie, mogących uchodzić za latające spodki kością w kierunku południowo-wschodnim. Gdy zaczął uważnie przyglądać się temu zjawisku, pojawił się drugi dysk, a potem znikł. Powietrze było wówczas niezwykle przezroczyste. Dr Schaefer znalazł wyjaśnienie zjawiska, kiedy był w stanie popatrzeć na miasto. Okazało się wówczas, iż warstwa cienkich chmur warstwowych była chwilami oświetlana od dołu przez bardzo silny reflektor, którym poruszano szybko, ale raczej chaotycznie. W przezroczystym powietrzu nie dostrzegało się zwykłej smugi powstającej wskutek rozpraszania światła reflektora przez cząstki kurzu czy aerozolu. Rzecz charakterystyczna, następnego rana nagłówki gazet nowojorskich brzmiały: „Latające spodki widziane w Jersey".

I jeszcze inna historia — tym razem z miasta Lubbock w Teksasie. Nabrała ona rozgłosu, gdyż wydarzenie było nietypowe, powtarzało się przez kilka następujących po sobie nocy i zostało nawet potwierdzone zdjęciami. Światła z Lubbock stanowią też jeden z najlepiej udokumentowanych przypadków. Otóż 25 sierpnia 1951 roku aż trzech profesorów z Koledżu Technicznego Teksasu, stojąc razem, jednocześnie i niezależnie dostrzegli szybkie i bezgłośne pojawienie się błysków świetlnych na niebie w nieregularnym układzie. W kilka nocy później 18-letni student Carl Hardt sfotografował dziwne obiekty, które tym razem tworzyły regularny układ przypominający klucz dzikich gęsi.

Istnieją oczywiście racjonalne tłumaczenia świateł w Lubbock. Mogły to być po prostu odbicia świateł domów, rzędu latarni ulicznych czy reflektorów samochodowych od pofalowanej, niskiej warstwy niedostrzegalnej mgły. Mogły to być również podświetlane przypadkowo od dołu klucze ptaków. Samo zdjęcie nie stanowi też dowodu naukowego. Tego rodzaju obrazy rzekomych „nieziemskich" statków mogą powstawać również i wskutek wady soczewki aparatu fotograficznego, błędów w kliszy, niewłaściwej jej obróbki lub wręcz świadomego fałszu, na przykład naniesienia na nią odpowiednich plamek. Wypada tu przypomnieć, że profesorowie teksaskiego koledżu dostrzegli jedynie nieregularnie pojawiające się światła, a nie ich klucz.

Jest wiele różnych innych źródeł zjawisk na niebie, mogących uchodzić za latające spodki niż omówione. Należą do nich najrozmaitsze zjawiska meteorologiczne, takie jak obłoki soczewkowate, jak różnego rodzaju światła związane z występowaniem ponad powierzchnią Ziemi kryształków lodu i oświetleniem ich przez światło słoneczne (słońce pozorne, słupy ogniste itd.). Do tajemniczych obiektów należą pioruny kuliste, stanowiące, jak się sądzi, szczególne skupienie plazmy, będącej mieszaniną naładowanych elektrycznie cząstek dodatnich i ujemnych (elektronów). Źródłem nieporozumień mogą być również różnego rodzaju światła wywołane pojawieniem się silnych pól elektrycznych, takie jak tzw. ognie św. Elma.

Nie wprawionych obserwatorów mogą wprowadzać w błąd również meteory. Niekiedy two-

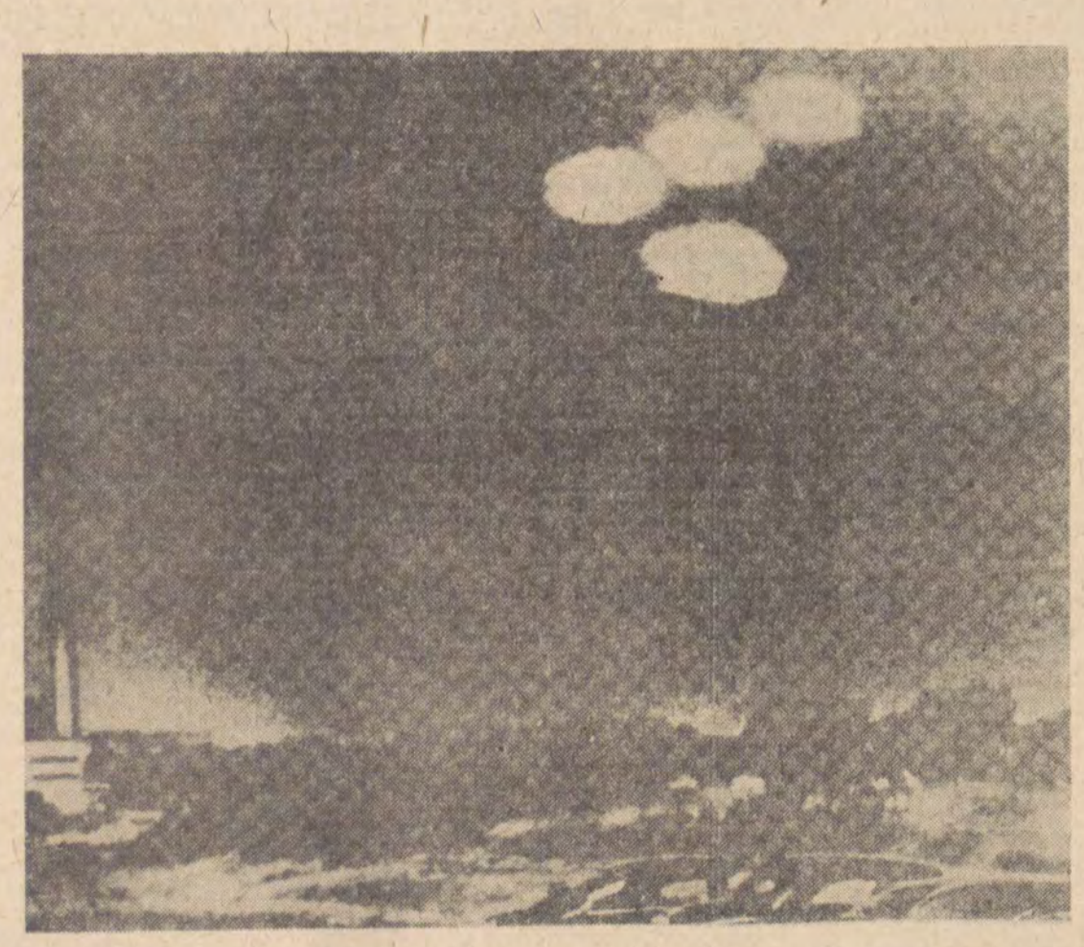

Klucz latających spodków — tajemnicze zjawisko, błąd kliszy fotograficznej czy oszustwo?

rzą one zespoły, które pojawiają się kolejno po sobie. Do szczególnie widowiskowych należała tzw. wielka procesja meteorów, zaobserwowana 9 lutego 1913 roku. Kilka grup meteorów pojawiło się na nocnym niebie Kanady, w okolicach Toronto, jedna za drugą, jakby defilowały klucze niezwykłych statków.

Do świateł, które mogą przybierać rozmaite kształty i naśladować nieziemskie obiekty, należą zorze polarne. Wywołały one wiele zamieszania jeszcze na długo przed wydarzeniem, które zaobserwował Kenneth Arnold w roku 1947. Do szczególnie głośnych i dobrze udokumentowanych przypadków należy zjawisko, jakie nastąpiło nocą 17 listopada w 1882 roku. Był to tzw. „wielki latający spodek", który, pomimo że śledzony przez różnych wybitnych uczonych, okazał się szczególnie trudny do wytłumaczenia. Do jego badaczy należeli m. in. E. W. Maunder — astronom z Obserwatorium w Greenwich w Wielkiej Brytanii, bardzo zasłużony w studiach Słońca i profesor Zeeman — fizyk, który później otrzymał nagrodę Nobla za wkład w poznanie zjawisk magnetycznych.

Prof. Maunder tak opisywał całe zdarzenie:

„... Był to spokojny i bardzo jasny wieczór późnej jesieni, a pora — prawie dwie godziny po zachodzie Słońca. Księżyc znajdował się prawie w pierwszej kwadrze i przeszedł przez południk przed nieco więcej niż pół godziną. Tak więc niebo było dość dobrze oświetlone i były na nim wyraźnie widoczne najjaśniejsze gwiazdy.

Znajdowałem się w Królewskim Obserwatorium w Greenwich, a ponieważ przed południem o godz. 10,15 wybuchła gwałtowna burza magnetyczna, spodziewałem się pojawienia zorzy polarnej. Dlatego też zająłem stanowisko w pobliżu „Kopuły Sheepshanksa", na „Ołowianych Dachach Biblioteki", jak wówczas nazywano płaski dach nad małym księgozbiorem. Miałem stąd swobodny widok we wszystkich kierunkach z wyjątkiem południowo-wschodniego, gdzie się znajdowała wielka kopuła. Moje oczekiwania nie zawiodły, ponieważ kiedy zgasły zorze po zachodzie Słońca, w kierunku zachodnio-południowo-zachodnim, rozlała się w kierunku północno-zachodnim różowa poświata, początkowo trudna do odróżnienia od nich. Jej blask stopniowo wzmagał się, aż około 17,30 z horyzontu na północy wystrzelił jasny płomień, głównie o takiej samej barwie czerwonej czy różowej, lecz zawierający zielonkawą żyłę, i dosięgnął zenitu...

Potem, gdy zjawisko zdawało się zanikać, nagle nisko na niebie, w kierunku wschodnio-północno-wschodnim pojawiła się wielka, okrągła tarcza zielonego światła, jakby właśnie wzeszła i przesuwała po niebie tak równo i nieustannie, jak poruszają się Słońce, Księżyc, gwiazdy i planety, lecz prawie 1000-krotnie szybciej. Kolowość jej kształtu dostrzegano początkowo stanowiła w sposób widoczny efekt skrótu perspektywicznego, ponieważ w miarę, jak się poruszała, ulegała wydłużeniu, a kiedy przeszła przez południk i przesunęła się tuż ponad Księżycem, przybrała kształt prawie bardzo wydłużonej elipsy, a różni obserwatorzy mówili, że miała postać „cygara", „podobną do torpedy" lub „wrzeciona", albo „czółenka". Gdyby ten wypadek zdarzył się w następnym stuleciu, bez wątpienia wszyscy wybraliby takie samo porównanie — byłoby to określenie „zupełnie podobna do sterowca". Po przejściu przez południk, jej długość wydawała się zmniejszać, a w końcu zjawisko zniknęło gdzieś na południe od kierunku zachodniego. Całkowite jego przejście od wzejścia do zapadnięcia za horyzont trwało mniej niż dwie minuty...

*„Torpeda"... była znacznie jaśniejsza niż nawet Wielka Kometa (z roku 1882), wówczas widoczna wczesnym rankiem na niebie i miała wyraźnie określony zarys, lecz gładką i jednolitą powierzchnię. Największa długość zjawiska wynosiła około 30 stopni, a szerokość od dwu do trzech stopni. Jednakże barwa światła „torpedy" była wyraźnie taka sama jak zorzy polarnej na północy, a w spektroskopie ujrzałem znaną „cytrynowo-zieloną" linię zorzową, która w pełni nadawała kolor zjawisku i uważaną obecnie za pokrywającą się z wydatną linią w widmie kryptonu.**)".*

Inni obserwatorzy też stwierdzili występowanie wyraźnej linii zorzowej w świetle owego „wielkiego latającego spodka". Jednakże wielu z nich zaobserwowało przewagę światła białego, które mogłoby nie mieć związku ze zjawiskami zorzowymi. Oceniono też wysokość, na jakiej przebiegało zjawisko. Wynosiła ona około 200 km. W takiej odległości od powierzchni Ziemi mogą występować i pojawiać się też zorze polarne.

Pewne szczególne cechy „wielkiego latającego spodka" skłaniają do snucia przypuszczeń, że wystąpiły tu także dodatkowe czynniki. Prof. Menzel sądzi na przykład, że zjawiska zorzowe mogły się skomplikować na skutek równoczesnego spadku meteorytu. Wtargnięcie materii kosmicznej przyczyniło się do zintensyfikowania procesów świecenia i do przybrania przez nie szczególnego kształtu.

(cdn.)

(„Astronautyka")

*) Bohater komiksów fantastyczno-naukowych z drugiej połowy lat trzydziestych.

**) Obecnie wiadomo, że zielona linia zorzowa pochodzi od tlenu.

człowiek z epoki DDT

LESZEK RUDNICKI

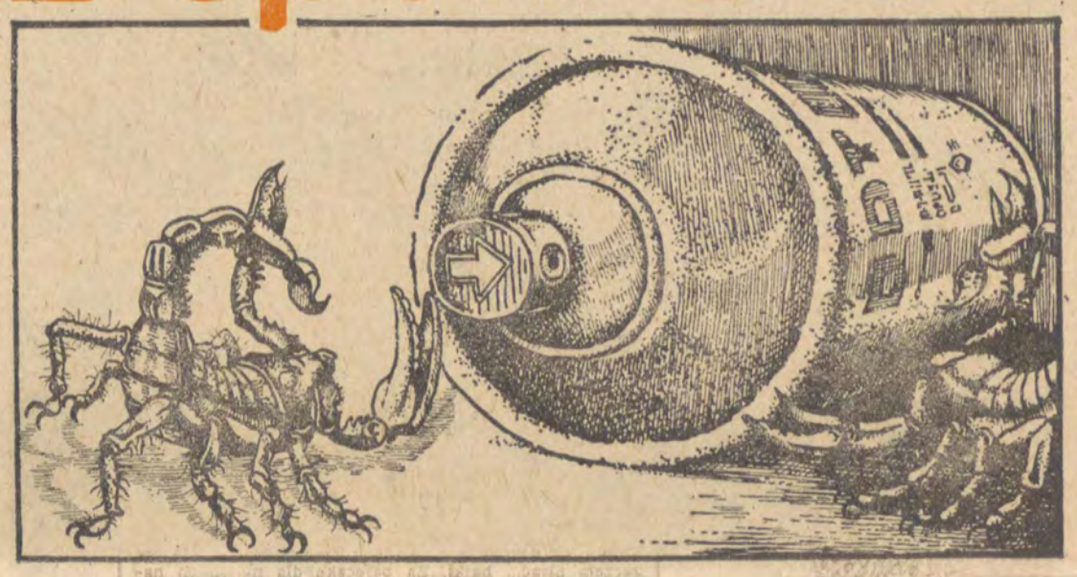

Rys. K. Wieczorek

Archeolodzy, którzy za trzysta lat będą chcieli zrekonstruować warunki życia codziennego naszego pokolenia, znajdą się w niemałym kłopocie. Jak tu ochrzcić ten okres? Czy była to epoka maszyn parowych, atomu, wczesnego podboju kosmosu? Obawiam się, że po wnikliwym przestudiowaniu przesłanek nadadzą nam całkiem inne miano — ludzi z epoki DDT!

Kiedy Paul Herman Mueller, wyróżniony potem Nagrodą Nobla biochemik z Bazylei, wynalazł w roku 1939 właściwości owadobójcze azotoxu, na pewno nie przypuszczał, że zapoczątkował niezwykle burzliwy okres w rozwoju chemii. A właściwie tej jednej dziedziny, która zajmuje się straszliwymi w swym działaniu truciznami.

Dwuchlorodwufenylotrójchloroetan, czyli DDT, dla ludzkości nękanej przez insekty, owady, wszelkie możliwe odmiany wszy, pluskiew, karaluchów, much i co tam tylko matka Natura wymyśliła, okazał się wręcz zbawieniem. Według raportów Światowej Organizacji Zdrowia, czterdzieści lat temu prawie połowa ludzkości żyła na tereneach malarycznych. Na malarię chorowało rocznie około 3 milionów ludzi. Po zastosowaniu DDT opanowano ogniska malaryczne. Od 90 do 100 procent zmniejszyła się ilość zachorowań. Śmierć na skutek malarii stała się już tylko wyjątkiem.

Dzięki środkom owadobójczym opanowano całkowicie 27 różnych chorób o epidemicznym charakterze. Podczas pierwszej wojny światowej, tylko na terytorium Rosji zanotowano 5 milionów przypadków duru plamistego. Co może DDT, sprawdziło się podczas następnej zawieruchy wojennej, kiedy to na terytorium całej Europy, Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej, Korei i Japonii razem odnotowano tylko niespełna 500 przypadków tej choroby. Statystycy amerykańscy twierdzą wręcz, że dzięki środkom chemicznym na przestrzeni ostatnich lat uratowano życie 5 milionom ludzi, a blisko 100 milionów uchroniono przed zachorowaniami.

W grę nie wchodzi już DDT, ale szeroki wachlarz preparatów chemicznych, wyspecjalizowanych, służących do niszczenia owadów, insektów, chwastów, szkodników zwierzęcych, pasożytów człowieka, roślin i zwierząt. Jednym słowem — pestycydów! Zaczynając posypywać azotoxem kartoflane liście zarażone stonką ziemniaczaną, weszliśmy na drogę, z której nie ma już odwrotu. W ciągu jednego roku ulega zniszczeniu na skutek „pracy" owadów i gryzoni około 33 milionów ton zbóż i ryżu. Jest to ilość która pozwoliłaby wykarmić w tym samym czasie ponad 150 milionów ludzi. Mimo ogromnych sum wydatkowanych na świecie dla zapobiegania rozmnażaniu się owadów — szkodników leśnych, szkody ponoszone w drzewostanie są każdego roku większe od tych, jakich przysparzają nam pożary lasów.

Chemiczna wojna, jaką człowiek wydał szkodnikom nie jest bezowocna. Jak wynika z raportu Organizacji do Spraw Wyżywienia ONZ, dzięki stosowaniu pestycydów, a przede wszystkim środków ochrony roślin, zbiory ziemiopłodów oraz efekty produkcji zwierzęcej zwiększyły się w skali świata o 60 do 80 procent. Kiedy więc zestawić wszystkie te dane razem, nikogo już nie zdziwi, że DDT wywołało swego rodzaju światową euforię. Stało się środkiem dobrym prawie na wszystko. Popadano przy tym w absolutną skrajność stosując trujący proszek wszędzie tam, gdzie był potrzebny i tam, gdzie nie powinien się znaleźć. Ale wkrótce specjaliści poczęli bić na alarm. DDT, a więc truciznę, znajdowano w żywności i w komórkach organizmu ludzkiego. Zaczęły się mnożyć groźne w skutkach zatrucia. Rozpoczęto więc poszukiwania następnych preparatów, rodzina pestycydów poczęła się rozmnażać w tempie nieprawdopodobnym.

Wraz z pestycydami coraz szerszym frontem wtargnęły w życie ludzkie inne środki chemiczne. Z produktami chemii spotykamy się dzisiaj już właściwie na każdym kroku. Popatrzmy choćby na ręce naszych pań po wielkim praniu. Gdzie są czasy balii, szarego mydła i fabryki? Odczyny alergiczne, dokuczliwe wysypki i temu podobne są dzisiaj chlebem codziennym wszystkich szpitali. Zwykłemu mieszczuchowi wydaje się czasem, że jest tak daleko od wszystkich tych trucizn. Nic podobnego! Wystarczy czasem ugądlenie zwykłej osy, by zdumieć największy w Łodzi szpital potężnym obrzękiem alergicznym powiększającym się niczym nadmuchiwany gwałtownie balon.

Nauka zadbała jednak o człowieka. Stosowanie środków ochronnych ujęto w ściśle określone ramy. Dla każdego preparatu wyznaczono precyzyjnie okresy karencji, to znaczy okresy, jakie powinny upłynąć od momentu zastosowania środka, do chwili zbioru i przeznaczenia do spożycia. Nieprzestrzeganie okresów karencji i narażenie na szwank zdrowia konsumentów — pamiętajmy, że chodzi o naprawdę silne środki toksyczne — grozi niezmiernie surowymi karami. Ministerstwo Rolnictwa i Instytutu Ochrony Roślin pracują w tej dziedzinie niezwykle skrupulatnie.

Nawet najlepszy system może jednak zawieść. Ot, chociażby tak jak było tej zimy w przypadku pomarańcz zakupionych w Hiszpanii. Idą wtedy w eter komunikaty radiowe, ostrzeżenia, wycofuje się całe partie towaru.

Fakt pozostaje faktem. Pestycydy są nadal jednym z najgroźniejszych wrogów dzisiejszego człowieka. W naszej codziennej walce o chleb, wykorzystujemy bowiem trucizny, o jakich nie śniło się nawet Lukrecji Borgii.

Żeby nie być gołosłownym, przykład. Jest nim jeden z najlepszych na świecie herbicydów, jakie znalazła chemia. Mniejsza o nazwę, po co nam to. Znana jest doskonale, ale mało kto wie, w jaki sposób ten niewinny na pozór preparat chwastobójczy działa na organizm ludzki, gdy się doń dostaje. Jest właściwie wykluczone, by dostał się do organizmu poprzez rośliny. Wysiany na polu zabija chwasty błyskawicznie i po przedostaniu się do gleby zostaje natychmiast zneutralizowany. Istnieje jednak ogromne niebezpieczeństwo wprowadzenia go do organizmu w sposób przypadkowy, chociażby podczas nieudolnych prac polowych, podejmowanych przez amatorów.

Profesor dr Tadeusz Bogdanik z Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi scharakteryzował ten najlepszy z herbicydów w sposób następujący:

— Po wprowadzeniu do organizmu jest w sposób skuteczny wydalany przez nerki, jednak w tym czasie uszkadza ten niezwykle ważny narząd prowadząc do całkowitego zatrzymania ich działalności. Jednocześnie zaczyna odkładać się w płucach i po upływie tygodnia rozpoczyna się śródmiąższowe zapalenie płuc. Potem wszystko nabiera tempa. Występują zwłóknienia tkanki płucnej, narastające stosunkowo bardzo szybko i pacjent umiera dusząc się. Straszliwą ironią tej trucizny jest to, że lekarz nawet w tym ostatnim momencie nie jest w stanie ulżyć choremu. Można by to zrobić podając tlen, ale właśnie w obecności tlenu ten chemiczny „wampir" uaktywnia się i zabija w sposób błyskawiczny.

Jak każda trucizna, także i ta ma swoją odtrutkę. Przypomnijmy, że herbicyd ten błyskawicznie neutralizuje się w glebie: istnieje więc specjalnie spreparowana ziemia, którą podaje się pacjentowi do jedzenia. Antidotum to skuteczne jest jednak w wypadku podania w okresie do 90 minut od wprowadzenia trucizny do organizmu. Potem jeszcze w okresie kilku pierwszych godzin chorego uratować może sztuczna nerka. Przypomnieć jednak trzeba, że pierwsze niepokojące objawy występują dopiero po kilku dniach. Z reguły więc jest zawsze za późno.

Nie mam zamiaru nikogo straszyć. Chodzi mi po prostu o zwrócenie uwagi na ostrożność i bezpieczeństwo przy stosowaniu różnych środków ochrony roślin. A nie jest to sprawa wcale błaha.

Kto z czytelników wie na przykład, ile pozycji zawiera specjalny rejestr środków toksycznych będących u nas w użyciu? Rejestr taki sporządzony został właśnie w łódzkim Instytucie Medycyny Pracy i służy jako pogotowie alarmowe we wszystkich bardziej skomplikowanych przypadkach zatruć na terenie kraju, który na szczęście nie zalicza się jeszcze do światowych potęg chemicznych. Zawiera on ponad 26 tysięcy pozycji. Oznacza to, że w użyciu tak w produkcji jak i konsumpcji, znajduje się ponad 26 tysięcy substancji trujących lub co najmniej szkodliwych dla zdrowia ludzkiego. Każdego roku lista ta powiększa się o kilkaset pozycji, bowiem rokrocznie do praktyki wprowadza się kilka tysięcy różnych nowych substancji chemicznych, z czego co najmniej setka należy do trujących lub co najmniej szkodliwych, przy czym istnieje jeszcze kilka klas owej szkodliwości.

W latach 1977—1978 wprowadzono w Polsce do obrotu handlowego 66 nowych pestycydów. W tym jest 8 trucizn, cztery następne o I klasie toksyczności, osiem w II klasie, a reszta niewiele łagodniejsza. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że wszystkich 66 jest trujących.

Są to fakty przerażające. Na pociechę można jednak powiedzieć, że na terenie rzeczywistego potentata chemicznego, jakim są Stany Zjednoczone, analogiczna jak w łódzkim Instytucie lista środków toksycznych obejmuje nie 26 tysięcy, ale blisko pół miliona pozycji, a każdego roku do praktyki przemysłowej i konsumpcyjnej wprowadza się tam kilkadziesiąt tysięcy nowych substancji chemicznych. Ile jest w tym trucizn — trudno nam powiedzieć! Natomiast łatwo stwierdzić, że sytuacja, w jakiej jesteśmy, jest w porównaniu z USA jednak nieco lepsza. Mała to jednak pociecha.

Przypadki zatruć pestycydami zdarzają się i u nas dostatecznie często, by problem ten postawić w sposób poważny. Aby się o tym przekonać, wystarczy odwiedzić Klinikę Ostrych Zatruć Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi, którąś z takich klinik w innych ośrodkach kraju, a wreszcie porozmawiać rzeczowo z internistami wszystkich chyba szpitali. Sprawa pestycydów nie ogranicza się bowiem jedynie do ewidentnych, ostrych zatruć. Zjawiskiem coraz częstszym w praktyce medycznej są schorzenia o podłożu alergicznym, w bardzo wielu przypadkach groźne dla życia, których przyczyną są właśnie pestycydy i różnego rodzaju środki używane w rolnictwie.

Do jednego z łódzkich szpitali trafił pacjent. Przyczyną schorzenia był niewinny na pozór środek ochrony roślin, jakim posłużył się w pracach na swej ukochanej działce. Pacjenta, acz z trudem, udało się przywrócić do zdrowia. Po opuszczeniu szpitala czym prędzej pośpieszył na działkę. Gdzież ma być bowiem miejsce rekonwalescenta, jeśli nie na słoneczku w altance. Niestety, zasiadł w foteliku nie opodal otwartego worka z tymże środkiem chemicznym. Pacjenta nie udało się już uratować.

Problem pestycydów nie zamyka się bowiem w przemyślanym, przemysłowym poniekąd użyciu dla potrzeb produkcji rolnej. W tej dziedzinie system kontroli i ochrony nadzorowany przez Ministerstwo Rolnictwa i Instytut Ochrony Roślin oraz służby rolne, jest w pełni sprawny. Problem leży w niekontrolowanym, całkowicie dowolnym zakupywaniu, przechowywaniu i stosowaniu pestycydów. A, niestety, ten sposób dystrybucji, poczynając od drobnych gospodarstw rolnych, a kończąc na ogródkach działkowych, jest najpowszechniejszy. Aby kupić w aptece truciznę, trzeba mieć specjalną receptę, specjalnie oznakowaną, zarejestrowaną w punkcie sprzedaży. Kupujący będzie szczegółowo instruowany o sposobie przechowywania, użycia i odpowiedzialności przy dostaniu się jej w ręce niepowołane.

Tymczasem pestycydy kupuje się w sklepach gminnych i rolniczych. W samym centrum Łodzi mamy ich co najmniej kilkanaście. Puszki lub worki z tego rodzaju środkami poniewierają się poza tym w najmniej odpowiednich czasem, najmniej spodziewanych miejscach. Dostęp do nich mają prawie wszyscy, a przede wszystkim dzieci, które nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zresztą w takich przypadkach można stwierdzić z pełnym przekonaniem, że dorośli też nie mają o nim najmniejszego pojęcia. Chyba, że jest to już kwestia absolutnej bezmyślności i lekceważenia.

Pestycydy są więc jednym z najlepszych sprzymierzeńców człowieka w jego walce o chleb, ale są jednocześnie wrogiem. Wrogiem bezlitosnym, czasem podstępnym. Zaprzęgnięte w sprawnie działający system, służą nam, oddając usługi nieocenione. Mogą jednak także zabijać i... zabijają. Wykorzystując więc zdobycze nauki, wypada lepiej nieco niż dotychczas dbać o ochronę przed skutkami niepożądanymi lub tragicznymi.

Istniejący dotychczas system dystrybucji pestycydów jest niezadowalający. Nie załatwią sprawy umieszczone na ulotkach informacyjnych małe czerwone napisy: „Ostrożnie — środek szkodliwy". Nie pomoże też trupia główka, jeśli nie będzie jej towarzyszyła rzetelna, wszechstronna informacja, instrukcja i nadzór nad sposobem wykorzystywania.

Sprawom ochrony przed szkodliwymi skutkami używanych w praktyce środków chemicznych poświęca wiele uwagi środowisko medyczne. Instytut Medycyny Pracy organizuje na przykład specjalistyczne sympozja. W kwietniu 1979 roku odbyło się takie sympozjum, na którym zapoznano kilkuset lekarzy z dwojaką rolą spełnianą właśnie przez pestycydy. Przygotowywane jest następne na temat środków żrących, za rok — rozpuszczalników. Są to jednak działania w wąskim i specjalistycznym kręgu. Nam potrzebne są działania wychodzące daleko szerzej, aby każdy mógł być świadom grożącego niebezpieczeństwa i umiał ustrzec się przed nim.

ZACZĘŁO SIĘ NAD OKĄ

W. KARDIN

Drukujemy kolejny fragment książki. W. Kardina „Jak długo trwają półwiecza?" Tym razem radziecki autor opisuje spotkanie gen. Karola Świerczewskiego z formującym się w Sielcach nad Oką wojskiem polskim. Ale nim Karol Świerczewski znajdzie się nad Oką, musi odbyć rozmowę z dowódcą Frontu — generałem Gieorgijem Żukowem.

— Jak wy, Świerczewski, doszliście do tego?

Generał armii stał odwrócony do niego plecami, spoglądał na rozwieszoną na ścianie mapę, a pytania zadawał przez ramię. Świerczewski widział jego potężną łuchwę, rzadkie włosy nad posiwiałymi skroniami.

— Jak doszliście? — powtórzył Żukow i sam sobie odpowiedział z niszczącą ironią:

— Pieszo... Pieszo deptał. W butach frycowych...

Kiedy w Głównym Dziale Kadr poinformowano Karola Świerczewskiego, że wzywa go natychmiast dowodzący Frontem Zachodnim generał armii Gieorgij Żukow, nie spodziewał się niczego dobrego. Lecz ten ton, szerokie plecy zwrócone do rozmówcy mroziły, nie pozwalały zebrać myśli. Stojąc wyciągnięty, meldował bez przekonania.

Krótkie, rzucone przez ramię repliki, przekonywały, że Żukow słucha. Gdy Świerczewski unikał jakiegoś, ważnego dla Żukowa, tematu, ten, bezceremonialnie przerywał.

— Zajmując rubież Dniepru, dywizja mogłaby odeprzeć atak wroga?

— Prawdopodobnie, tak.

— Mnie nie zadowala taka odpowiedź. Tak czy nie?

— Mając dostateczną pomoc artylerii — tak.

— Dlaczego nie pytacie o siły przeciwnika?

— Powinienem je znać. Sztaby armii i frontu także miały obowiązek informowania mnie.

— Miały. Lecz ich błędy was nie usprawiedliwiają.

Świerczewski pomału chwytał bieg myśli Żukowa: dowódca chce prawdopodobnie wyjaśnić czy można było uniknąć okrążenia pod Wiaźmą. Świerczewski nie jest zapewne pierwszy, na którym Żukow sprawdza swoje hipotezy. W miarę swoich sił Świerczewski będzie starał się mu w tym pomóc, nie troszcząc się o to, jak zostaną przyjęte jego wyjaśnienia.

Pomiędzy twardym dowódcą frontu i przygnębionym podwładnym powstało coś w rodzaju zrozumienia. Żukow zmiękł.

— Siadajcie, w nogach prawdy nie ma.

Stał bokiem do Świerczewskiego przenosząc wzrok to na niego, to na mapę.

— Wiedząc o zamiarach przeciwnika, można przeciwstawić mu swój kontrplan.

— Żeby zrealizować kontrplan, towarzyszu Świerczewski, konieczne są siły, rezerwy... Lepiej odpowiedzcie: do kiedy waszą dywizja utrzymała zdolność bojową?

— Do dziesiątego, jedenastego października.

— Nie pytam o datę. Do jakiego momentu okrążenia dywizja była aktywną jednostką bojową?

— Dopóki była amunicja i dowódcy.

— A dowódcy nie potracili głów?

— Dowódca nie ma prawa tracić głowy

— Elementarne prawdy przekazujecie swoim podwładnym. Na jakie miejsce obecnie pretendujecie?

— Na ławę oskarżonych.

Żukow z niechęcią odwrócił się ku Świerczewskiemu.

— Biczowanie się nie jest metodą uniknięcia odpowiedzialności.

I nagle się uśmiechnął.

— Sprawą waszego przydziału zajmie się Główny Dział Kadr, ja potrzebuję pisemnego wyjaśnienia. Bez zbędnych detali i... samokrytycznych ozdobników.

Świerczewski dotknął klamki, kiedy ponownie rozległ się ochrypły głos dowódcy:

— Do waszej wiadomości: generał Kalinin pozytywnie ocenia kontrataki 248 dywizji w rejonie Hołm Żirkowska. Nie jest to, oczywiście, powód by spocząć na laurach. Stiepan Andrejewicz to dobra dusza. Nie para dla mnie.

Wyjaśniające pismo Karol Świerczewski pisał w szpitalu. W tym samym szpitalu lefortowskim, gdzie leczył się w dwudziestym roku. Wówczas — ranny czerwony komisarz, dziś — generał duszony astmą, powalony zapaleniem płuc, gnębiony przez niewesołe myśli...

* * *

Las wznosił się nad piaszczystą płyciną Oki i ciągnął się w kierunku Szatury, Jarosławla, Kostromy, do Zawołża. Sosnową gęstwinę upiększały wyręby, brzozowe zagajniki polne drogi. Ponad nimi majaczyły wieże triangulacyjne i słupy wysokiego napięcia.

Stara nazwa — Sielce — obiecywała wiejskie zacisze. Przystanek Diwowo znajdziesz jedynie na mapie o dokładnej podziałce.

Dojeżdżając do Diwowa Karol Świerczewski przeglądał się w lusterku wprawionym w drzwi przedziału: mundur z naszytymi kieszeniami, srebrny galon na mankietach, pagonach i furażerka z białym orłem.

Miał na sobie mundur polskiego generała i starał się pamiętać, że na powitanie, gdy go będą spotykać na dworcu należy unieść do skroni nie mocno ściśniętą dłoń, lecz jedynie dwa palce. Zgodnie z polskim ceremoniałem wojskowym.

Tu, w głębi odwiecznej Rusi, rodzinnym kraju Jesienina, rodziło się ludowe Wojsko Polskie. Do sieleckich obozów napływali Polacy pozbawieni ojczyzny i rozrzuceni po całym ZSRR. Pilśniowe kapelusze, kraciaste cyklistówki, berety, tiubitiejki, wojłokowe kazachskie panamy...

Przyjął raport, uścisnął ręce. Przestrzegając formalności bardziej interesował się nieogolonymi ludźmi siedzącymi obok podniszczonych walizek i skleconych skrzynek. Ślady braku dachu nad głową i wędrówek tak wyraźne, że nie ma o co pytać. Chyba jedynie samego siebie: ile potrzeba wysiłku by zrobić z nich żołnierzy?

W pyle wiejskiej drogi od Diwowa do Sielc „willys" zastępcy dowódcy 1 korpusu Wojska Polskiego wyprzedził nie tylko tłum z walizkami i przerzuconymi przez ramię workami ale i zwarty szereg śpiewający po polsku „Katiusze".

Żołnierska praca szła pełną parą, przekształcając cywila w żołnierza.

Na punkcie zbornym przy moście pontonowym przez Okę poborowych wypytywano o zawód cywilny i kierowano do pododdziałów. Oficer czołgista, nie bardzo rozumiejący po polsku, częstował papierosami trójkę warszawskich metalowców przybyłych tu z Kraju Krasnojarskiego.

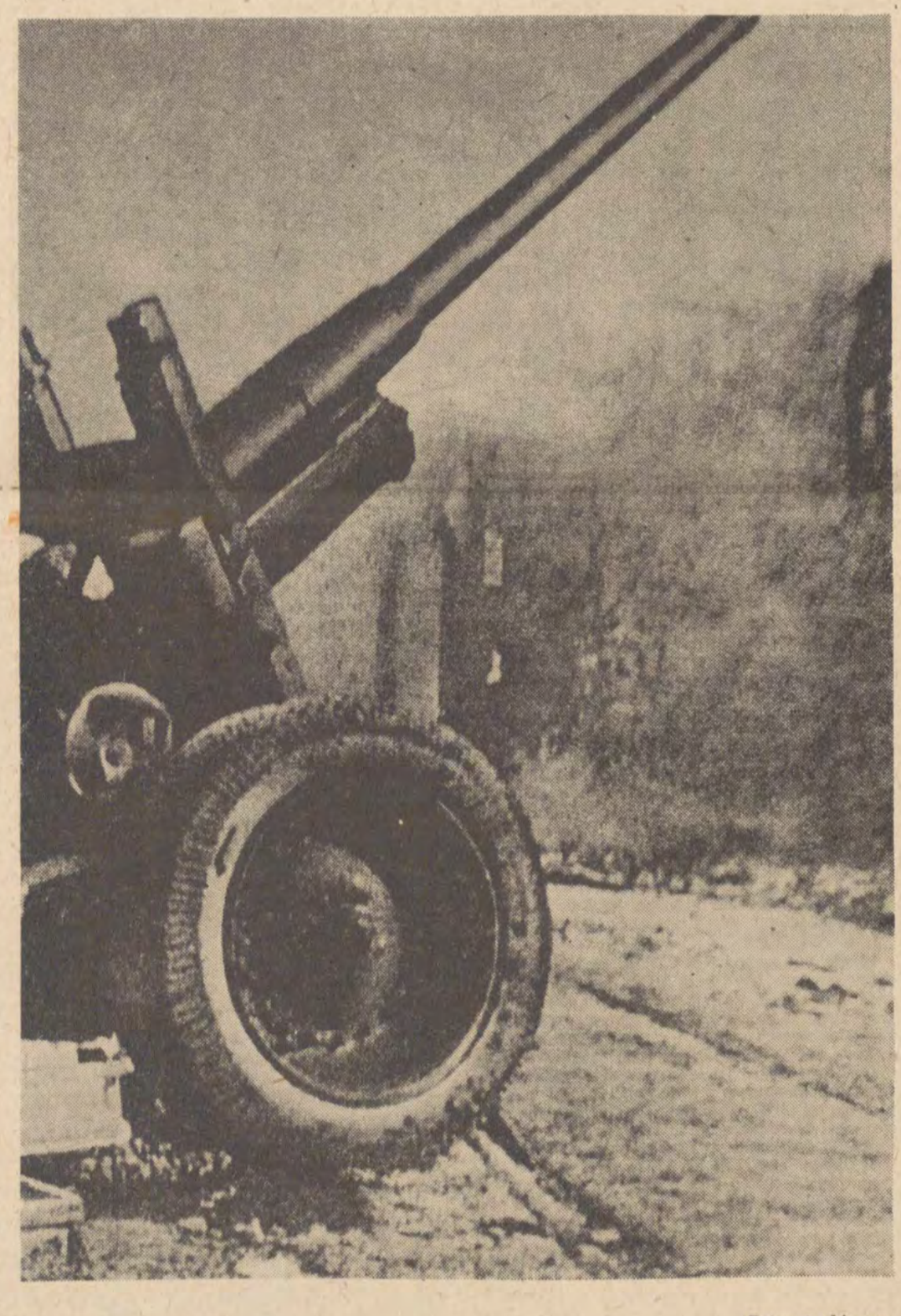

Foto: Archiwum

Pod sosnami bieliły się namioty. Przed namiotami — gazony ogrodzone wetkniętymi w ziemię prętami, piastowskie orły z białych kamyków, triumfalne bramy z girland sosnowych.

Świerczewski doświadczał złożonych uczuć. Niepewność, lęk przed nieznanym. Lęk wywołany tym, że to nieznane zawierało źdźbło wiadomego lub przeczuwanego. Nie był przecież nowicjuszem.

Gdy jesienią 1941 r. w rejonie Buzułuku formowała się podporządkowana rządowi londyńskiemu armia polska generała Andersa, Świerczewski prosił Boga by go nie posłano do Buzułuku (modlitwy nie były potrzebne, bowiem radzieckich dowódców do Andersa nie posyłano).

O niektórych oficerach andersowskich miał określone opinie i domyślał się, że im razem nie po drodze. Los tej armii był dlań obojętny, a odmowa jej udziału w walkach na froncie radziecko — niemieckim wcale go nie zdziwiła.

Girlandy, wyjaśniono mu, zachowały się od czasów święta 15 sierpnia. Świerczewski nie dał poznać po sobie: on nic a nic nie wie o takiej dacie. Na szczęście oprowadzający go rumiany oficer nie oczekiwał pytań.

15 sierpnia obchodzono w Polsce święto żołnierza ustanowione w czasie radziecko — polskiej wojny w 1920 roku. Wśród dowództwa oraz w oddziale oświatowo-kulturalnym prowadzono dyskusję: czy wypada nowemu Wojsku Polskiemu obchodzić uroczyście daty przedwojennej armii polskiej. Górę wzięli zwolennicy Dnia Żołnierza. Lecz obchodzono go po nowemu — nie z nienawiścią do Rosji Radzieckiej lecz z wierną przyjaźnią.

Te poglądy podzielał także generał Zygmunt Berling przedwojenny polski podpułkownik, dowodzący teraz 1 Dywizją im. T. Kościuszki i jednocześnie 1 Korpusem Wojska Polskiego.

Świerczewski w duchu zgadzał się z Berlingiem. Jedynie pomyślał: skoro święto Dnia Żołnierza wywołuje spory, to jakie problemy są rozstrzygane bez konfliktów?

Na naradzie Karol Świerczewski ujrzał we wspólnych szeregach i w jednakowych mundurach komunistów, pracowników aparatu kulturalno-oświatowego odbywających kary w więzieniach sanacyjnej Polski, a także oficerów uczciwie i z wiarą jej służących. Niejednym z kulturalno-oświatowych pasowałaby kurtka komisarza. W oczach niektórych kadrowych dowódców czytało się bez trudu: Polska demokratyczna — proszę bardzo, ale czy nie można, proszę pana, bez marksizmu?

W tym samym sztabowym namiocie siedzieli także radzieccy dowódcy — instruktorzy w swoich zwykłych mundurach, w ogóle nie rozumiejący po polsku i mgliście wyobrażający sobie ten kraj na podstawie piosenki „o psach atamanach" i o „polskich panach".

Świerczewski był jeden w trzech osobach: „towarzysz generał", „panie generale", „obywatelu generale". Mowę polską przeplatał rosyjskimi słowami, rosyjską — polskimi. Mówca i tłumacz w jednej osobie usiłujący być zrozumiałym przez wszystkie kategorie oficerów obserwujących go z jednakowym zaciekawieniem.

To zaciekawienie wypływało nie tylko z legendy o „generale Walterze", lecz i z nadziei, że on, który przeszedł przez trzy wojny, urodzony w Warszawie, ukończył akademię w Moskwie, członek Kominternu pojmie — bezstronnie i mądrze — potrzeby młodego Wojska Polskiego. Chciał ziścić te nadzieje, pozwalał wypowiadać się: żarliwej „kurtce komisarza" i ceremonialnemu „proszę pana" i tym, którzy nie byli ani „kurtką" ani „proszę pana".

Interesowało go wszystko, dosłownie wszystko. I opracowany trzymiesięczny program szkolenia, i próba „trzydziestek czwórek" w pułku czołgów im. Bohaterów Westerplatte, i konflikty w kobiecym batalionie, im. Emilii Plater...

Wszystko jest skomplikowane, istna łamigłówka. Lecz prostsze, niźli spleciona dziesiątkami nici sfera wzajemnych stosunków pomiędzy sztabem a oddziałem kulturalno-oświatowym, dowództwem a Związkiem Patriotów Polskich, oficerami, podoficerami, żołnierzami reprezentującymi prawie wszystkie partie przedwojennej Polski...

Ponad tymi wszystkimi wątpliwościami i sprzeczkami, ponad wieczornymi obozami płynęła majestatyczna „Rota" ze słowami napisanymi przez Marię Konopnicką u schyłku XIX wieku, a także zrodzony tu „hymn sielecki" — „Oka" (śpiewali także „Białe orły" i najstarszą, najukochańszą „Pytała się Kasia o swojego Jasia...").

* * *

Przez pierwsze dni Zygmunt Berling bacznie obserwował swojego zastępcę: czy aby nie nasłali mu komisarza? Świerczewski prężył się służbiście, trzaskał obcasami. Demonstrował, jak przyznał się przed Aleksandrem Zawadzkim, „lojalną zależność". I nie mniej uważnie przyglądał się Berlingowi: przecież nie tak dawno był szefem sztabu jednej z dywizji andersowskich. Lecz umiał zdusić w sobie wątpliwości, docenił komisarza dywizji, któremu sądzone było być jednocześnie komisarzem korpusu, to znaczy własnym przełożonym.

Zdarzyło się, że był świadkiem jak drzwiczki samochodu zmiażdżyły Berlingowi palce. Ani krzyku, ani jęku. Generał poprosił o zabandażowanie ręki i wsiadł do samochodu...

Berling wyczuł, że jego zastępca najmniej jest skłonny komisarzyć, nie unika ciężkiej pracy liniowej, posiada dar organizatorski i takt polityczny.

Świerczewski znajdował wspólny język z komunistami kierującymi oddziałem kulturalno-oświatowym. Natomiast oni sami, co dziwiło i martwiło, nie zawsze znajdowali wspólny język pomiędzy sobą. Niezmordowanie dyskutowali o charakterze działalności oświatowej, metodach propagandy politycznej, stopniu wpływu partyjnego na wojsko.

Miał obowiązek zrozumieć, kto ma rację i na ile. W rozmowach za stołem rozwiązywały się języki i Świerczewski, odstawiwszy szklankę (Czemu nie pijesz? Pij!), słuchał. Przejść na „ty" było łżej (w Hiszpanii rzadko mu się to udawało), niźli wniknąć w sedno różnicy zdań.

Wówczas przypomniała mu się roztropna rada, otrzymana w czasach hiszpańskich: znajdź pewną orientację i nie tracąc samodzielności, sprawdzaj się podług niej.

Świerczewski wsłuchiwał się, przypatrywał się. Krąg był szeroki — rejon wokół Oki: Sielce — Diwowo — Bełoomut, gdzie rozlokowały się jednostki korpusu Moskwa, gdzie znajdował się zarząd Związku Patriotów Polskich i gdzie Aleksander Zawadzki tworzył Centralne Biuro Komunistów Polskich.

Wybór Świerczewskiego pada na Alfreda Lampe, przyjeżdżającego do Sielc z Wandą Wasilewską lub Aleksandrem Zawadzkim.

Wasilewska i Zawadzki występowali przed żołnierzami. Lampe, w cyklistówce wciśniętej na wygoloną czaszkę, nie przemawiał. Chodził powoli, ciężko oddychał. Z nim szeptała Wasilewska przed wystąpieniem, szeptem pytała także później: „Alfredzie, dobrze?".

To, co usłyszał Świerczewski od Lampego, kazało mu się zamyślić. Lampe rozpatrywał rodzące się nad Oką wojsko jako początek odrodzenia narodu. Zespolenie ludzi różnych poglądów, lecz zgodnych w dążeniu ku demokratycznej, niepodległej ojczyźnie, wydawało się mu przepowiednią jutrzejszej Polski.

— Siły jednoczące są potężniejsze od sił antagonistycznych.

I zaraz uściślił:

— W dzisiejszych warunkach.

Uściślenie wydało mu się niepełne.

— W warunkach tragicznych.

Ale i to wyjaśnienie go nie zadowoliło.

— Antagonizm socjalny nie zniknie sam z siebie. W żadnych warunkach. Jednakże elastyczne, wyrozumiałe kierownictwo partii proletariackiej... Trzeba szukać, myśleć... I nie tylko o granicach, sytuacji wewnętrznej Polski, lecz i o granicach Polski, które na Zachodzie, mam nadzieję, pobiegną gdzieś wzdłuż Odry, Nysy...

Świerczewski nie wierzył własnym uszom: Polska pod okupacją, a Lampe rozwodzi się o granicach.

— Nie, nie za wcześnie, Karolu. O tym trzeba zawczasu. Nowe granice zaciążą na wewnętrznych problemach i na wzajemnych stosunkach Polski ze światem zewnętrznym...

Przełożył: EUGENIUSZ IWANICKI

NIE SPEŁNIONE OBIETNICE

Światowa, w tym także amerykańska, opinia publiczna zdecydowanie protestuje przeciwko rozkręcanej przez USA spirali zbrojeń, które mogą sprowadzić ludzkość na skraj katastrofy jądrowej. Upór, z jakim prezydent Jimmy Carter ubiega się o zwiększenie budżetu wojskowego, jest odejściem od zobowiązań, które wziął na siebie podczas prezydenckiej kampanii wyborczej w 1976 roku, obiecując narodowi amerykańskiemu zredukowanie wydatków wojskowych o 5—7 miliardów dolarów.

Zwiększając docelowo, w 1980 roku finansowym, budżet wojskowy o 13 miliardów dolarów i jednocześnie redukując asygnacje na cele publiczne o 15 miliardów dolarów, rząd USA wykazuje lekceważenie potrzeb narodu. Ponadto, niezależnie od rozbudowy wojskowej machiny we własnym kraju, rząd Stanów Zjednoczonych zwiększa asygnowania na uzbrajanie sojuszników, bo przecież płaci za to naród amerykański. Tymczasem, podczas gdy Stany Zjednoczone lokują coraz więcej środków w sferze wojskowej, Zachodnie Niemcy, Japonia i inne rozwinięte kraje Zachodu rozbudowują silne cywilne gałęzie przemysłu i zapełniają rynki USA swymi towarami. Dziś Stany Zjednoczone znalazły się w nader kłopotliwej sytuacji: ich byli wojenni przeciwnicy przewyższają USA niemal we wszystkich ekonomicznych wskaźnikach.

Jak podaje na przykład amerykańskie pismo „US News", zgodnie z danymi Biura Statystyki Pracy, roczny przyrost produkcji przemysłowej w Stanach Zjednoczonych jest najniższy w historii USA, niższy nawet, niż w jakimkolwiek innym przemysłowo rozwiniętym kraju Europy czy Japonii. I tak, w latach 1960—1977 przyrost produkcji przemysłowej w Japonii wyniósł 8,8 proc., w RFN — 5,5 proc., we Włoszech — 6,3 proc. we Francji — 5,5 proc., natomiast przyrost produkcji przemysłowej w USA stale spada, ponieważ Pentagon coraz łapczywiej pożera kadry naukowo-badawcze.

Każde zwiększenie budżetu wojskowego przedstawia się Amerykanom jako życiową konieczność niezbędną dla bezpieczeństwa kraju. Amerykańscy specjaliści z dziedziny ekonomii uważają, iż zmniejszenie wydatków wojskowych i zwiększenie asygnacji na cele rozwoju produkcji w sektorze cywilnym pozwoliłoby na stworzenie w przemyśle znacznej liczby nowych miejsc pracy. Na przykład przelew 50 miliardów dolarów ze sfery wojskowej do sektora cywilnego pozwoliłby na stworzenie dodatkowo 2 milionów miejsc pracy. Ale, jak pisał niedawno w jednym ze swych komentarzy znany amerykański publicysta, J. Reston: „w Waszyngtonie można dziś rozpalić nawet najostrzejszą polemikę na jakikolwiek temat, z wyjątkiem redukcji budżetu Pentagonu. Nawet teraz, kiedy podejmuje się działania przeciwko inflacji, uparte apele Białego Domu o oszczędzaniu i gospodarności nawet w minimalnym stopniu nie dotyczą Ministerstwa Obrony".

Od zakończenia II wojny światowej Stany Zjednoczone wydatkowały na cele wojskowe, włącznie z wojnami w Korei i Wietnamie, ponad 2 tryliardy dolarów. Wszystkie te środki poszły na zaspokojenie nienasyconych apetytów Pentagonu i korporacji amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. Zabiegając o środki na zbrojenia koła militarystyczne w rządzie USA, w Kongresie, w środkach masowej informacji powołują się na wymyślone przez nich tzw. sowieckie zagrożenie. A przecież impuls do tych działań tkwi w zupełnie czymś innym: w zyskach monopoli zbrojeniowych. W dzisiejszych Stanach Zjednoczonych machina wojskowa rozrosła się do tak potwornych rozmiarów, że spycha ekonomikę cywilną do przepaści. Aerokosmiczne i inne wojskowe projekty, wchłaniając wysoko kwalifikowanych specjalistów oraz kapitały, rujnują sektor cywilny i całkowicie paraliżują wzrost produktywności pracy, który w przeszłości był głównym elementem amerykańskiej potęgi ekonomicznej. Inflacja i bezrobocie, idące w nogę, są bezpośrednim skutkiem wyścigu zbrojeń rozkręcanego przez rząd USA i różne lobby.

W latach powojennych Ministerstwo Obrony stało się największym w USA konsumentem kapitału i technologii. Doprowadziło to do poważnego zubożenia źródeł aktywizacji przemysłowej, dostępnej dla sektora cywilnego. W cywilnym sektorze, gałąź za gałęzią przerzucały straty własne na konsumentów, podwyższając ceny produktów. W miarę zwiększania się tempa tego procesu ceny niepowstrzymanie rosły. W konsekwencji przed zagranicznymi producentami otworzyły się perspektywy zapełniania amerykańskiego rynku swymi tańszymi towarami. Na przykład 20 proc. wszystkich samochodów jeżdżących po drogach Stanów Zjednoczonych wyprodukowano w innych krajach. To samo można powiedzieć o 20 procentach wszystkich wyrobów przemysłu stalowego, o większej części odbiorników radiowych, telewizorów, magnetofonów i innych towarów konsumpcyjnych, produkowanych przez zagraniczny przemysł elektroniczny, o 48 procentach obuwia i o wszystkich 35-milimetrowych kamerach fotograficznych, sprzedawanych w Stanach Zjednoczonych. Przytoczone dane liczbowe podaje „New York Times Magazine", przeto nie powinny budzić najmniejszej wątpliwości.

Tak więc rozwój ekonomiki nie jest wcale uzależniony od produkowania broni, jak usiłują o tym przekonać amerykańskie społeczeństwo przedstawiciele korporacji zbrojeniowych. Wprost przeciwnie, kierując olbrzymią część środków do sfery produkcji zbrojeniowej, paraliżują one rozwój całego kraju. Rakiety, bombowce i atomowe łodzie podwodne nie podwyższają poziomu życia Amerykanów i nie umacniają ekonomicznych podstaw kraju. A tymczasem domy, fabryki, systemy wodociągowe i kanalizacyjne, koleje i inne aktywa zużywają się, ponieważ eksploatuje się je bez modernizacji i usprawnień technicznych ponad określony czas. Coraz częściej odzywają się głosy, że kryzysu amerykańskich miast nie da się przezwyciężyć dopóty, dopóki rząd USA nie przestanie używać systemu podatkowego jako instrumentu do napychania zyskami sejfów koncernów zbrojeniowych, a gospodarki miast trzymać na „głodowych racjach" budżetowych. Coraz więcej ludzi pracy w USA widzi, iż upadek miast, załamanie się służb społecznych, niska produktywność pracy i wiele innych negatywnych zjawisk w życiu Stanów Zjednoczonych są wynikiem gigantycznie rozdmuchanego budżetu wojskowego.

Amerykański publicysta ekonomiczny, S. Melman, podaje na przykład, że w ciągu ostatnich 27 lat wojskowy budżet USA przewyższał całość zysków cywilnych gałęzi przemysłu. Ucierpiał na tym amerykański przemysł, który w pogoni za zyskami podwyższa ceny na swoje wyroby zamiast modernizować produkcję i obniżać koszta własne. Konsekwencją tego zjawiska jest niepowstrzymana inflacja.

Żeby zapewnić sobie środki na rosnące wciąż wydatki zbrojeniowe rząd USA zaciąga pożyczki w bankach i częściowo kompensuje deficyt budżetu wypuszczaniem w obieg takiej masy papierowych pieniędzy, której nie można zabezpieczyć ani produkcją towarów, ani złotem. Wynikiem tej „kombinacji" jest zubożenie budżetów miejskich i obniżenie poziomu życia ludności. Ponieważ sektor wojskowy szybko wyniszcza całą ekonomikę, przeto zrozumiałe jest rosnące wciąż zainteresowanie szeregu kongresmenów, związków zawodowych, kół handlowych i akademickich propozycjami o przestawienie ekonomiki na tory pokojowe. Niedawno obie Izby amerykańskiego Kongresu, w tym przedstawiciele rejonów związanych z przemysłem zbrojeniowym, rozpatrywały możliwości wykorzystania wojskowych baz i fabryk zbrojeniowych do celów produkcji pokojowej. Jednocześnie kwestię przestawienia wojskowych przedsiębiorstw na produkcję wyrobów masowego spożycia rozpatrywano w licznych organizacjach związkowych, w uniwersytetach i instytucjach prywatnych. To żywe zainteresowanie tym problemem wzbudził fakt, że znów, z nową siłą ujawnił się ścisły związek między inflacją i spadkiem produktywności pracy w przemyśle, spowodowanych naciskiem ekonomiki zbrojeniowej. Jednakże debaty nad tym ważnym życiowo problemem stłumiły koła nie zainteresowane w jego ostatecznym rozwiązaniu.

Propozycje przewidujące przestawienie ekonomiki na tory pokojowe pojawiły się jeszcze w czasach prezydenta J. Kennedy'ego, ale nie zainteresowały one Białego Domu. W 1964 roku analogicznym propozycjom sprzeciwił się rząd Johnsona, który akurat w tym czasie przygotowywał się w tajemnicy do rozszerzenia wojny w Wietnamie. Za przykładem Johnsona poszły rządy Nixona i Forda. Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych nie zwiększy się drogą zamówień wojskowych, natomiast zagraża mu inflacja, ekonomiczna depresja i rozkład społeczny.

J. CZECH

KRONIKA TYGODNIA

Dwie informacje z ub. tygodnia można uznać za szczególnie dobre. Były one przez lata oczekiwane. Pierwsza z nich — **o zakończeniu radziecko-amerykańskich rokowań, dotyczących porozumienia o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych** (SALT II), druga — **zapowiadająca w dniach 15—18 czerwca w Wiedniu spotkanie Leonida Breżniewa i Jimmy Cartera**, którzy zatwierdzą i podpiszą układ o owym ograniczeniu.

Cały świat przyjął te wiadomość jako wydarzenie doniosłe, mające przemożny wpływ na proces odprężenia i rozwój stosunków Wschód-Zachód. **Chodzi bowiem zarówno o realne przesłanki zmniejszenia groźby wojny nuklearnej, pozytywne rzutowanie tego porozumienia na inne toczące się rokowania** (przede wszystkim wiedeńskie) **oraz możność po raz pierwszy bezpośredniego kontaktu przywódców obu państw**, co w przeszłości zawsze przynosiło konkretne, dodatnie wyniki. Już tylko z tych względów nie ma obecnie ważniejszego punktu zainteresowania niż SALT II i wiedeńskie rozmowy Breżniewa i Cartera.

Historia rokowań na temat ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych liczy sobie siedem lat. Wkrótce bowiem po zawarciu porozumienia SALT I w 1972 roku rozpoczęły się dwustronne rozmowy. Toczyły się one z początku dość pomyślnie i po pewnym czasie układ był już w 90% wynegocjowany. Ale wówczas rozpoczęła się kampania wyborcza w Stanach Zjednoczonych i ówczesny prezydent — Ford, pod wpływem presji kół prawicowych, zawiesił je. Również po dojściu do władzy Cartera przeciwnicy układu wpływali na komplikowanie rozmów. Zresztą i teraz można spodziewać się w USA całej kampanii i ścierania się poglądów w związku z koniecznością ratyfikowania SALT II przez Senat. Zwolennicy nie hamowania zbrojeń zapowiadali już, że będą układowi przeciwni. Drugą płaszczyzną dyskusji może być chęć utrącenia przeciwnika przed wyborami prezydenckimi. Czy jednak Senat miałby odwagę wziąć na siebie międzynarodowe następstwa nieprzyjęcia porozumienia i pogorszenia stosunków ze Związkiem Radzieckim?

Co — według obecnej naszej wiedzy — przyniesie SALT II?

Przede wszystkim **zwolni tempo zbrojeń strategicznych**, ponieważ określa jednakowe ilościowe pułapy tej broni po obu stronach, a również wprowadza limity jakościowe. Mówi o wymianie danych, dotyczących wielkości arsenałów. Zawiera postanowienia dalszych rokowań (SALT III), które powinny doprowadzić do kolejnej redukcji liczby strategicznych broni, dalszych jakościowych ograniczeń oraz rozwiązania niektórych szczegółowych kwestii, które zostaną wymienione. Inaczej mówiąc — nowe porozumienie kładzie tamę znaczącemu wzrostowi tej najgroźniejszej z broni i stwarza podstawę do wydatnej redukcji arsenałów strategicznych w przyszłości.

Jednobrzmiące komunikaty o spotkaniu L. Breżniewa i J. Cartera, ogłoszone równocześnie w Moskwie i Waszyngtonie, zapowiadają, iż obaj przywódcy omówią w Wiedniu również **„inne problemy, stanowiące przedmiot wzajemnego zainteresowania ZSRR i USA"**. Nikt nie przypuszcza, że będą to wyłącznie kwestie, wynikające ze stanu i perspektyw dwustronnych stosunków. Z całą pewnością w polu zainteresowania znajdą się tak ważne problemy, jak: sytuacja bliskowschodnia, dalekowschodnia, dalszy rozwój odprężenia na kontynencie europejskim, a przede wszystkim wsparcie odprężenia politycznego militarnym, a więc redukowanie zbrojeń i sił zbrojnych w środkowej Europie.

Jak już napisaliśmy powyżej — L. Breżniew i J. Carter nigdy dotąd nie spotkali się. Poznanie w bezpośredniej rozmowie toku myślenia drugiej strony nie jest bez znaczenia dla dalszego rozwoju stosunków. A więc i takiego waloru należy dopatrywać się w zapowiedzianym na połowę przyszłego miesiąca wiedeńskim spotkaniu.

W sumie — lato w br. może przebiegać pod znakiem znacznego ożywienia polityki międzynarodowej.

W. SŁAWSKI

ADAPTACJA „MEFISTA"

Znów stała się głośna powieść „Mefisto", której autorem jest syn Tomasza Manna — Klaus. Książka ta uznana została przed laty za wydarzenie w literaturze niemieckiej. Adaptację sceniczną tej powieści zapowiada Ariane Mnouchkine.

Zaczęło się w połowie lat dwudziestych. Klaus Mann, jego siostra Eryka, występowali na małych scenach Niemiec. 20-letniego wówczas Klausa fascynował o 7 lat od niego starszy Gruendgens.

Gdy Klaus wraz z całą rodziną wyemigrował w 1933 r. z kraju, Gruendgens robił karierę, stając się jednym z najbardziej wpływowych ludzi teatru w hitlerowskiej Rzeszy, generalnym intendentem Staatstheater w Berlinie, faworytem Goeringa.

W 1942 r. podczas pobytu na emigracji w USA, Klaus określił ekszwagra jako „zdrajcę par excellence", „uosobienie korupcji i cynizmu". Na tym tle powstała napisana w 1936 r. w Amsterdamie powieść pt. „Mefisto".

Po długich sporach prawnych, adoptowany syn Gruendgensa — Peter Gorski, na mocy wyroku sądu, uzyskał w 1971 r. zakaz rozpowszechniania książki w RFN. Spór toczył się wokół zagadnienia, czy „Mefisto" to powieść z kluczem (główny bohater występuje pod nazwiskiem Hendrik Hoefgen), czy też Klaus, jak sam później zapewnił — ukazał nie pojedynczy przypadek, ale pewien określony typ ludzki.

Ten właśnie „typ" ma być zaprezentowany na scenie. Książką „Mefisto" zainteresowała się Ariane Mnouchkine, kierowniczka „Theatre du Soleil". W swej stałej siedzibie, w dawnej fabryce prochu w Vincennes, prowadzi próby adaptacji scenicznej „Mefista". Artystka dostrzegła i postanowiła wydobyć wszelkie aluzje do faszystowskiego reżimu i ukazać je na konkretnym przykładzie. Obok właśnie takiego przykładu — Gruendgensa, pragnie wyeksponować jego przeciwnika, aktora-komunistę — Hansa Otto, zamordowanego przez bojówki SA (w książce występującego jako Otto Ulrich), z którym główny bohater przyjaźni się przed wstąpieniem do partii nazistowskiej.

A. Mnouchkine w początkach br. odwiedziła stolicę NRD, aby zdobyć jak najwięcej informacji o Hansie Otto. Obejrzała m.in. film „Das gestohlene Gesicht" („Skradzione oblicze"), w którym odtwarzał główną rolę oraz dokumentalny film o artyście „Ein Mann seltener Art" („Człowiek rzadkiego pokroju"), jak nazwał go w jednym ze swych listów Bertolt Brecht.

Klaus Mann popełnił w 1949 r. samobójstwo.

Z PRASY

Ogłoszenie w czerwcu 1977 roku niepodległości republiki Dżibutti było ostatnim krokiem na drodze zakończenia pełnej dekolonizacji kontynentu afrykańskiego. Republika Dżibutti leży w północnej części rogu Afryki, gdzie panuje suchy, gorący klimat. Na terytorium republiki o powierzchni 22 tys. km kw. przeważają krajobrazy pustynne, których monotonię urozmaicają liczne koryta wyschniętych rzek, basenów jezior — Assal i Abbe, jak również z rzadka spotykane źródła ze słoną wodą.

Stolicą kraju i głównym portem jest Dżibutti. Tutaj do dziś znajduje się francuska baza wojskowa. Głównym zajęciem koczowników jest hodowla wielbłądów i drobnego bydła rogatego.

Przed nową niepodległą republiką afrykańską stoją ogromne problemy. Kraj praktycznie nie ma zbadanych zasobów mineralnych, 90 proc. jego mieszkańców nie umie czytać i pisać, a w stolicy kraju, będącej jedynym większym miastem w kraju, bezrobocie sięga 85 proc. 250-tysięczna ludność Dżibutti składa się z dwóch od dawna rywalizujących ze sobą narodowości — Afarów i Issów. Ta ostatnia twierdza kolonializmu w Afryce, nad którą do niedawna jeszcze powiewał trójkolorowy francuski sztandar, do dziś korzysta z pomocy około 5 tysięcy Francuzów, zatrudnionych w charakterze specjalistów wojskowych i urzędników administracji. Dżibutti kontroluje jeden z brzegów cieśniny Bab el Mandeb, przez którą przepływa około 70 statków dziennie, zdążających tym ożywionym szlakiem morskim, łączącym Europę z krajami basenu Oceanu Indyjskiego.

Afarowie Dżibutti, którzy tworzą większość ludności kraju, są etnicznie spokrewnieni z Afarami osiedlonymi w różnych rejonach Etiopii. Issowie, osiadli przeważnie na równinach południowej części republiki, ciążą do plemion somalijskich. Obie narodowości już od wieków prowadzą koczowniczy tryb życia i zajmują się hodowlą bydła. Ich wzajemną wrogość zrodziła rywalizacja o pastwiska i wodę, o którą niezwykle trudno w tym nieurodzajnym kącie Afryki. Te plemienne antagonizmy dotrwały do dnia dzisiejszego. Dlatego też rząd musi prowadzić bardzo ostrożną politykę, żeby nie ugodzić ani w interesy Afarów, ani Issów, nie rozpalić niebezpiecznych waśni plemiennych.

Pociąg z miasta Dżibutti dojeżdża do południowej granicy kraju i tutaj urywa się kolej żelazna. Zniszczyli ją Somalijczycy, żeby przerwać łączność z Addis Abebą, stolicą Etiopii. Ekonomika Dżibutti znajduje się w opłakanym stanie. Każdego miesiąca kraj traci pół miliona dolarów na opłaty celne za przewozy tranzytowe.

Pracę w Dżibutti znaleźć bardzo trudno, a jeszcze trudniej skończyć szkołę. Chasan Szechem jest jednym z niewielu koczowników-hodowców bydła, któremu udało się zdobyć względnie wysokie wykształcenie. Obecnie jest nauczycielem. Szechem wyrósł w typowej dla Dżibutti wielodzietnej rodzinie składającej się z 20 osób i trudniącej się hodowlą bydła. Utrzymanie pogłowia stada było dla tej licznej rodziny, bynajmniej nie opływającej w dostatek, w dosłownym tego słowa znaczeniu, sprawą życia lub śmierci.

Bardziej oświeceni mieszkańcy Dżibutti wierzą, iż z czasem uda się rozbudzić w obu plemionach świadomość narodową.

„NATIONAL GEOGRAPHIC"

POLONICA KULTURALNE

W siedzibie Austriackiej Akademii Nauk w Wiedniu wręczono tegoroczną nagrodę im. Gotfrieda von Herdera; wśród laureatów znajduje się polska plastyczka, Magdalena Abakanowicz.

* * *

W programie zorganizowanego w Ciudad de Mexico I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Nowej znalazły się utwory kompozytorów polskich, m. in. Tadeusza Bairda i Witolda Lutosławskiego.

* * *

W Trujilo (Peru) odsłonięto pomnik Mikołaja Kopernika dłuta rzeźbiarza Bogdana Chmielewskiego.

* * *

W jednym z największych miast fińskich — Kuopio, trwają od 27 kwietnia do 13 maja „Dni Kultury Polskiej".

* * *

W Moskwie ukazało się miniaturowe (68×66 mm) wydanie utworów poetyckich Adama Mickiewicza, w którym znalazły się utwory z lat 1820—1835.

* * *

W Meksyku wystąpiła z serią recitali Ewa Demarczyk.

* * *

Wystawę prac Józefa Szajny — grafiki, kolażu i scenografii teatralnej otwarto w Instytucie Polskim w Sztokholmie.

* * *

W Bordeaux we Francji, w ramach odbywającego się tam festiwalu „Maj" wystąpiła Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia i Telewizji pod batutą Jacka Kasprzyka; solistami byli Konstanty Andrzej Kulka i Roman Jabłoński.

* * *

W Ośrodku Informacji i Kultury Polskiej w Berlinie otwarto wystawę 50 płócien wybitnych polskich plastyków współczesnych, m. in. Jana Cybisa, Alfreda Lenicy, Zbigniewa Makowskiego, Wacława Taranczewskiego, Artura Nachta-Samborskiego.

* * *

W Gandawie odbyły się Dni Literatury Polskiej zorganizowane przez Towarzystwo Kultury Flamandzko-Polskiej.

H. Majewski, budynek przemysłowy (obecnie ZPB im. J. Marchlewskiego), 1879—1896

STRAŻNICY LABIRYNTU

(dyskusja „Odgłosów")

Kamienica przy al. Kościuszki 93, fragment, 1911

Dalszy ciąg ze str. 1

Tytułem wstępu: Dobrze jest niekiedy przypomnieć sobie lektury szkolne, zwłaszcza te obowiązkowe. Ja odwołam się do „Faraona" Bolesława Prusa. W powieści tej, jak panowie zapewne pamiętają, ważną rolę spełniają skarby labiryntu i strzegący ich fanatyczni kapłani.

Ochrona zabytków w ogóle, a w Łodzi szczególnie, gdzie jest ich mało, to istny labirynt przepisów, sprzecznych racji, rozmaitych interesów. Jestem zdania, że skarby znajdujące się w tym labiryncie, a są to często rzeczywiste skarby dziedzictwa kulturalnego, powinny być strzeżone równie fanatycznie jak w starożytnym Egipcie bogactwa świątyń. Ruszanie czegokolwiek z tego skarbca powinno być podyktowane rzeczywistymi racjami społecznymi uznanymi przez wszystkich. A jak jest naprawdę, zwłaszcza w Łodzi, gdzie na Piotrkowskiej balkony spadają pod nogi przechodniów, bo nie zostały w porę wyremontowane? Czy skarby naszej przeszłości są dostatecznie strzeżone?

ANDRZEJ MAJER: Proponuję, aby w naszej dyskusji mówić nie tylko o objawach, które wszyscy znamy, ale raczej rozpatrzeć problem ochrony zabytków w całym uwarunkowaniu przyczynowo-skutkowym.

MIECZYSŁAW PRACUTA: Przepraszam, że już zabieram głos, choć jako przedstawiciel wykonawców powinienem może mówić na końcu, ale nie mogę zgodzić się z twierdzeniem, że Łódź ma mało zabytków. Wiemy przecież, że historycy sztuki zrehabilitowali architekturę końca wieku XIX i początków XX, że pełnowartościowa stała się choćby secesja. Dziś możemy objąć ochroną konserwatorską nawet budynki wzniesione po wojnie, więc tych zabytków zrobiło się dużo. Ich stan jest nie najlepszy, ale na pewno lepszy niż w Krakowie, chociaż szkoda, że administracje domów nie dbają u nas o zwykłe remonty bieżące. Wielokrotnie na przykład remontowany był pałacyk przy Piotrkowskiej 77. Pracownie Konserwacji Zabytków, które mam zaszczyt reprezentować, w dalszym ciągu prowadzą tam prace wnętrzarskie, odnawiają plafony i boazerie. Zrekonstruowaliśmy nawet elewacje od strony pasażu. Zadaję sobie pytanie, po co te wszystkie nasze starania, skoro przecieka rynna, od której zamaka ściana. Od wielu lat nie można się doprosić użytkownika, aby wymienił czy naprawił dziurawą rynnę. Nie można zakończyć stropu plafonu, gdyż od strony przecieku kruszy się cały gzyms. Takie przykłady można w Łodzi mnożyć. Są to przykłady rażącego niedbalstwa.

KONRAD FREJDLICH: Mój przedmówca uszczegółowił ogólniejszy problem, trzeba by jednak wspomnieć, że rejestr zabytków łódzkich ukazał się dopiero w 1971 roku w miejskim „Dzienniku Urzędowym". Wcześniej o zabytkach w Łodzi nie było w ogóle mowy ani w encyklopediach, ani w katalogach. Ani w świadomości społecznej. Wracając do rejestru... Pod szczególną ochroną znalazł się plac Wolności i północna część Piotrkowskiej, aż do Głównej, zwrócono też uwagę na Księży Młyn. Ciekawe, co z tej uchwały zostało, skoro na takim placu Wolności dokonaliśmy nieodwracalnych spustoszeń. Nieprzypadkowo więc pytałem o strażników labiryntu, może wtedy spali? Legendarna „Esplanada" zamieniła się w dom przykurzonej odzieży. A nie jest to najbardziej krzyczący przykład, są dosadniejsze. Stosunkowo niedawno padł pod kilofami na Piotrkowskiej 175 budynek zwany Paradyzem, który bez przesady symbolizował początki kulturalnej Łodzi. Nie jest to chyba zdrowe, gdy obala się symbole...

JERZY URBANKIEWICZ: Bez żadnej konsultacji ze społeczeństwem.

KONRAD FREJDLICH: Czasem i bez konsultacji z fachowcami. Więc pytam: w jakie sankcje wyposażony jest strażnik labiryntu? Co wolno mu robić i co robi?

WOJCIECH WALCZAK: Może trochę spraw ogólniejszych, zanim szczegółowo powiem o zabytkach łódzkich w nawiązaniu do zadań strażnika labiryntu. Rok 1971 był dla Łodzi datą przełomową, gdyż wówczas ochrona architektury najnowszej zaczęła nabierać wyraźnego kształtu, choć stało się to nieco za późno. Ustawowe możliwości istniały jednak już w roku 1962, gdyż w rozumieniu ustawodawcy dobrem kultury szerzej pojętym może być każdy przedmiot dawny lub współczesny, który ma znaczenie dla dziedzictwa kulturalnego. W Łodzi przykładem najmłodszego zabytku jest Teatr Wielki, już objęty ochroną konserwatorską.

Musimy sobie uprzytomnić, że architektura końca XIX i początku XX wieku była traktowana zupełnie inaczej niż malarstwo tego samego okresu.

JERZY URBANKIEWICZ: Jeżeli dobrze zrozumiałem intencję „Odgłosów", to chodzi głównie o te zabytki, które są integralnie związane z Łodzią historyczną. A więc, w naszych warunkach sięgają w stosunkowo niedawną przeszłość, nie dalej właściwie niż te 160 lat.

Zacznę może od placu Wolności. Wyciągnąłem ze swoich szpargałów zaproszenie na sesję naukową, jaka odbyła się w listopadzie 1971 roku i była poświęcona właśnie problemom sztuki II połowy XIX wieku. Kiedy zjawiłem się tam przed czasem jako dziennikarz, ujrzałem docenta Witolda Krasowskiego, który z oburzeniem tłumaczył coś otaczającym go historykom sztuki. Brzmiało to mniej więcej tak: proszę państwa, ci łodzianie zburzyli północną pierzeję placu Wolności. No to teraz niech zburzą jeszcze ratusz, niech zburzą kościół, bo placu, jaki istniał, już nie ma. Urokiem placów Królestwa Kongresowego było to, że dwutrzykondygnacyjne budynki otaczały rozległy teren o dużej średnicy. W tej chwili plac przestał istnieć. Można zburzyć resztę, bo placu Wolności nie ma, dowodził docent Krasowski.

KONRAD FREJDLICH: I takie też są odczucia łodzian. Myśmy swego czasu dostali wiele listów w tej sprawie, ale byliśmy bezsilni.

JERZY URBANKIEWICZ: Jeżeli mówimy o strażnikach labiryntu, to nasuwa się gorzka uwaga. Plac Wolności zaczęto niszczyć już w XIX wieku. Proces ten rozpoczęli dwaj posesjonaci, którzy w niskiej zabudowie wznieśli dwa budynki wysokie, aby osiągnąć większe zyski z kamienicy. A my zaaprobowaliśmy ten proces łamania kanonów rządzących społeczną uczciwością. Poszliśmy ich śladem.

Kolejna krzycząca sprawa — w Łodzi przestały istnieć tzw. domki tkaczy i nie mogę zrozumieć dlaczego. Może dlatego, że trzeba mieć trochę wyobraźni, aby sobie przedstawić na Piotrkowskiej, w samym centrum, powiedzmy dwa zadbane, odrestaurowane parterowe domy tkackie w otoczeniu specjalnie zaprojektowanej zieleni. A dalej stoją dwudziestosześciopiętrowe wieżowce. Byłby to niewątpliwie ewenement łódzkiej urbanistyki. Żaden turysta krajowy czy zagraniczny nie przeszedłby obojętnie obok czegoś takiego. Prasa i ja osobiście zabieraliśmy głos w tej sprawie, ale naszą opinię zlekceważono. Domki tkackie zniknęły, choć od nich zaczął się łódzki przemysł.

Trzecia sprawa, która boli mnie osobiście, to łódzka secesja. Mówiono tu o „Esplanadzie". Myślę, że ten gmach na Piotrkowskiej nie ma oryginalnego wystroju secesyjnego z dwóch powodów: jeszcze przed pierwszą wojną światową wybito prostokątne okienka na najwyższej kondygnacji, które nie mają nic wspólnego z tym budynkiem. Potem zlikwidowano secesyjne wejście o obłych, owalnych liniach, prawdopodobnie z podzielonymi szybami. Teraz przez oszpecone okna jest wgląd w biustonosze i halki. Dlaczego konserwator nie stawia swego weta?

Secesja w Łodzi ma tę złą stronę, że jest rozrzucona. Mówi się — secesyjna Piotrkowska. Nie ma secesyjnej Piotrkowskiej, są zaledwie trzy secesyjne domy. Prócz tego troszkę klasycyzmu, na początku ulicy, a poza tym eklektyzm. Secesja w Łodzi jest rozrzucona i niszczeje, bo widocznie nie ma instytucji, która by się nią zajęła. Istnieje Muzeum Secesji w Płocku i prawdopodobnie ściąga ono wszystko, co ma coś wspólnego z secesją. U nas troszkę secesji posiada Muzeum Sztuki, ale niestety nie powstało w Łodzi muzeum secesji, choć powstać powinno. Ulokowałbym je na ul. Rewolucji 1905 r., gdzie pod numerem 44 jest mało widoczny dom secesyjny. Użytkuje go Centrala Surowców Wtórnych, którą powinno się co rychlej przenieść, bo jest to jeden z najpiękniejszych budynków w Łodzi. W tej chwili są tam dwie stłuczone dachówki i wiem, że nikt ich nie załata, a więc będą i zacieki.

Wojciech Walczak: Łódź jest miastem, w którym wyburzono stosunkowo najmniej obiektów zabytkowych

Na ulicy Głównej pod numerem 18 stał secesyjny budynek z dwoma maszkaronami na narożnikach. Jeden z maszkaronów zniknął, ale może gdzieś się znajduje, w prywatnym ogródku czy mieszkaniu. Potem dom zburzono i zniknął drugi maszkaron. Te dwa piękne elementy autentycznej secesji można było ocalić w muzeum secesji. Albo choćby w magazynie gromadzącym zbiory dla przyszłego muzeum.

Nie jesteśmy dziećmi, wiemy, że niestety wiele domów trzeba burzyć. Na rogu Karolewskiej i Łąkowej stoi budynek secesyjny tak wysunięty na narożnik, że na pewno nic go nie uratuje...

WOJCIECH WALCZAK: A to przykład pierwszej łódzkiej secesji.

JERZY URBANKIEWICZ: Ale można by choć zdjąć te ozdoby z narożnika i odtworzyć na podwórku muzeum secesji. I zachować na wieczne czasy.

ANDRZEJ MAJER: Nie w pełni zgadzam się z przedmówcą. Dla nas, ludzi związanych zawodowo z problemami kultury, sprawa jest jasna, bo my patrzymy na zabytki emocjonalnie. A inni patrzą racjonalnie, jeśli nie wprost instrumentalnie. Odnosi się to zwłaszcza do władz administracyjnych.

Zabytek to nic innego niż jakaś struktura budowlana spełniająca określone funkcje: sklepu, domu kultury, nawet centrali surowców wtórnych. I taki zabytek, mimo swych emocjonalnych treści, funkcjonuje w substancji miasta na zasadzie budynku, który czemuś służy.

Jednakże od początku świata mamy do czynienia z wymianą zabudowy. Jest to proces naturalny, wpisany w historię każdej struktury osadniczej. Pewne funkcje, zużyte, zostają zastąpione przez nowe. Można tylko dyskutować, czy zawsze ta wymiana jest korzystna.

W pełni zgadzam się emocjonalnie z zastrzeżeniami do przebudowy placu Wolności, choć mogę wskazać tysiące przypadków z historii, gdy władze miejskie wymieniały stare struktury na nowe, spełniające tę samą funkcję. Na placu Wolności w sensie funkcjonalnym nic chyba nie straciliśmy, w sensie estetycznym tak. Oczywiście większość ludzi wzruszy ramionami i stwierdzi: były domy i są domy mieszkalne, więc co tu rozważać. To samo odnosi się w ja-

Andrzej Majer: Nasze społeczeństwo nie jest do końca wyedukowane w zakresie kultury obcowania ze spuścizną historyczną

kimś sensie do domków tkaczy. Znów się zgadzam, że to byli ostatni świadkowie przeszłości Łodzi. Ale forma takiego prymitywnego domku była już tak moralnie zużyta, że właściwie trudno się dziwić, iż realizując przyspieszony program rozwoju Łodzi, zmietliśmy po drodze domki tkaczy. To samo można powiedzieć o secesji. Dopóki nie spojrzymy na nią jak na trochę odmienny wystrój estetyczny części zabudowy miasta, to sytuacja zawsze będzie dwuznaczna. Skoro zgodziliśmy się na wstępie, że mało dba się u nas o zabytki, to dlaczego mielibyśmy szczególnie wyróżniać secesję i domagać się dla niej specjalnej ochrony? Przecież nie dbamy o renesans, o neogotyk, nie dbamy o budownictwo w ogóle. I na to złożyły się tradycje. U nas właściwie istniał zawsze problem wymiany zabudowy, a nie adaptacji. Na Zachodzie był przede wszystkim problem adaptacji, bo tam chyba w mniejszym stopniu oddziaływały wojny. U nas zaś ciągle coś było burzone. Na to trzeba było nałożyć nową strukturę budowlaną. Jednym słowem nie było tradycji pietyzmu czy też adaptowania.

KONRAD FREJDLICH: Za pozwoleniem. A starówka gdańska i warszawska?

ANDRZEJ MAJER: Zgoda.

JERZY URBANKIEWICZ: I obecny

Mieczysław Pracuta: Od nas wyszła inicjatywa adaptacji zabytków na cele społeczne

Jerzy Urbankiewicz: Ex post to już chyba tylko można wyjaśnić, dlaczego coś zostało zniszczone

program rewaloryzacji Krakowa...

ANDRZEJ MAJER: Ale przeważyły tutaj względy emocjonalne jako podstawowe, chociaż także względy funkcjonalne. Po prostu chciano odtworzyć śródmieście, strukturę budowlaną. Względom emocjonalnym zawdzięczamy zaś, że odbudowano te starówki w dawnym kształcie, choć nie do końca. To są przede wszystkim fasady.

Warto zastanowić się, czy chodzi nam tutaj o diagnozowanie objawów, czy też mamy pokusić się o ustalenie przyczyn i skutków tej sytuacji ochrony zabytków.

Sytuacja zabytków dlatego jest zła, że nie najlepiej jest w budownictwie. Jednocześnie trzeba skonstatować, że nasze społeczeństwo nie jest do końca wyedukowane w zakresie kultury obcowania ze spuścizną historyczną. Może środki masowego przekazu potrafią to zmienić. Ale dopóki będziemy mogli podawać przykłady kogoś, a szeroko pojętego społeczeństwa, a więc także władz, przechodzącego obojętnie obok cieknącej rynny, która niszczy elewację, to sytuację musimy uznać za złą.

WOJCIECH WALCZAK: Z tego co się tu mówi, można by wyciągnąć wniosek, że nie troszczymy się zupełnie o zabytki w naszym mieście. Tymczasem Łódź jest miastem, w którym wyburzono stosunkowo najmniej obiektów zabytkowych, biorąc pod uwagę skalę kraju. Bo weźmy choćby przykład placu Wolności, który jest jaskrawym przykładem nawarstwień czasowych. Działamy na żywym organizmie miejskim, podlegającym normalnym przekształceniom, które są uwarunkowane normalnym funkcjonowaniem całej struktury miejskiej. Podobnie było z placem Wolności. No bo przypomnijmy chociaż słowa docenta Krasowskiego. Plac Wolności został zepsuty pod koniec XIX wieku. Biorąc pod uwagę genezę jego urbanistyki, z okresu klasycyzmu został tam tylko ratusz. Inne domy z ubiegłego stulecia już zakłóciły skalę placu. W okresie międzywojennym nadbudowano ogromny gmach na siedzibę magistratu, a obecnie Muzeum Archeologicznego. To spowodowało konieczność następnych zmian architektonicznych. I trzeba było rozważyć, jak tego dokonać. Można było na przykład przywrócić stan z okresu klasycyzmu, tzn. wyburzyć obiekty z XIX wieku i utrzymać zabudowę jednopiętrową, co byłoby najuczciwsze w stosunku do założeń pierwotnych. Można było też wprowadzić strukturę nowoczesną, stanowiącą, w swojej architekturze, jakąś rekompensatę poprzedniej. I tak się zapowiadało. Niestety, efekt końcowy przekreślił założenia projektowe. Po prostu w trakcie realizacji rezygnowano ze wszystkiego. I dlatego nie uzyskaliśmy na placu Wolności nowego dobra kultury.

Konserwator musi zawsze rozpatrzyć wiele aspektów całości zagadnienia. O tym się rzadko mówi, bo dyskusje prasowe ograniczają się do spraw interwencyjnych. A może to wina konserwatorów, że za mało uświadamiają społeczeństwo?

Stan techniczny domów tkaczy był taki, że nie było już możliwości remontu, tylko rekonstrukcja. Niestety, tak jak tu mówiono, nie ma u nas nawyku opieki bieżącej. Czeka się do momentu, że obiekt się dosłownie wali i wtedy podnosi się alarm.

Jednakże domy tkaczy będą zrekonstruowane jako pewien symbol. Z punktu widzenia konserwatorskiego jest to zresztą rzecz dyskusyjna, bo zgodnie z doktryną powinno się w ogóle odrzucać rekonstrukcje. Ale w warunkach polskich z pewnych względów robi się wyjątki. Przeważają względy historyczne, narodowe. Domy tkaczy będą wykorzystywane przez Centralne Muzeum Włókiennictwa.

Niewiele jeszcze mówiliśmy o użytkowaniu obiektów zabytkowych. Rozpracowaliśmy szczegółowo „Esplanadę". I okazało się, że z secesji prawie wszystko tam zostało, że okna były bardzo proste, skromne, wcale nie takie jak sobie wyobrażaliśmy. I obiekt był od początku budowany jako dom handlowy! Tę funkcję pełni nadal. „Esplanada", lokal gastronomiczny w tym wnętrzu, to dopiero rok 1924 — zachowały się zdjęcia. Wystrój nie był specjalnie secesyjny. Była to raczej zwykła cukiernia okresu międzywojennego. Był oczywiście także pewien klimat stworzony przez ludzi, którzy tam chodzili. Czy tworząc nową kawiarnię możemy gwarantować, że wróci ten klimat? Sama nazwa tradycji przecież nie przywraca, jeśli nie są one utrwalone. No, a gdybyśmy chcieli przystąpić do prac konserwatorskich, to na dobrą sprawę powinniśmy wejść bardzo szerokim frontem, jak Kraków. I jeszcze jedna sprawa — wiele zabytków doprowadziła do ruiny moda na starocie. Tak jest z kamienicami łódzkimi, że z dnia na dzień giną okucia, klamki, latarnie z klatek schodowych. Trafiają do współczesnych bloków. I taki złodziej ma potem „zabytek" w domu.

WOJCIECH WALCZAK: Muzeum Historii Miasta zostało zobowiązane do zabezpieczania wszystkich detali czy to z obiektów wyburzanych, czy też remontowanych. Ale Muzeum posiada niewielkie możliwości magazynowania. Udało nam się doprowadzić do tego, że całe wnętrze wyburzonego budynku przy Piotrkowskiej 159 trafiło do muzeum. Ale jak się tam teraz wchodzi, to cały parter zajmuje przedziwny parawan, za którym ukryte są te detale. Po prostu nie ma miejsca na magazynowanie, staramy się więc zabezpieczać elementy najcenniejsze.

KONRAD FREJDLICH: Odwołujemy się tu do przykładu Krakowa, ale on nie w pełni oddaje stan rzeczy. Bo przecież Łódź długo walczyła o opinię miasta posiadającego zabytki. Społeczeństwo się do nich przekonało, czego przykładem dramatyczne reakcje na niszczenie pewnych obiektów. Powołano do istnienia łódzki oddział Pracowni Konserwacji Zabytków. A jednocześnie mamy dowody na to, że nasza skromna substancja zabytkowa nie tyle niszczeje, co jest dewastowana planowo. Mówi się wśród wtajemniczonych, że były dwie sprzeczne decyzje w sprawie zagłady Paradyzu.

WOJCIECH WALCZAK: Paradyz nie był obiektem zabytkowym.

JERZY URBANKIEWICZ: To jakiś nowy punkt widzenia. W każdym razie w tych sprawach przeraża mnie element zaskoczenia. A ex post to już chyba tylko można wyjaśnić dlaczego coś zostało zniszczone. Rozumiem sens naszego spotkania w tym, żeby nie dopuszczać do zaistnienia faktów dokonanych. Budownictwo dzisiejsze nie jest zbyt piękne, budynki są standardowe. Dlatego uratowanie domów mających indywidualny charakter jest w Łodzi szczególnie ważne. Chodzi o to, abyśmy nie akceptowali niszczenia rzeczy, których w Łodzi jest tak mało.

ANDRZEJ MAJER: Trzeba się zastanowić, czy w Łodzi nie działają jakieś specyficzne mechanizmy w porównaniu z innymi miastami. Gdyby udało się nam je obnażyć, to dzisiejsze spotkanie byłoby rzeczywiście pożyteczne. Problem jest szeroki, wymaga wszechstronnego naświetlenia. Powiem przede wszystkim, że w ogóle musimy nauczyć się kształtować w sposób estetyczny środowisko w którym żyjemy. Wskazuje na to choćby różnica w budownictwie w Łodzi i w Warszawie. Wystarczy porównać choćby osiedla mieszkaniowe. Niestety, nie mamy w Łodzi tradycji estetycznego kształtowania naszego otoczenia mieszkalnego. To miasto jest autentycznie i realnie w procesie przemian, ma krótką genealogię i wciąż jakby dojrzewa. Nie ma tu więc stabilizacji widocznej w miastach historycznych, które znały okres narodzin, renesansu, baroku. Łódź jakby wciąż przeżywa swoje narodziny. Jeszcze nie jest nawet w fazie renesansu, choć nam to władze sugerują, bo jest dopiero okres wykluwania się właściwego kształtu miasta. Dopiero po jego zakończeniu będziemy mogli w sposób racjonalny kształtować te struktury, które chcielibyśmy zachować, dodając nowe.

MIECZYSŁAW PRACUTA: Chcę zabrać głos jako obrońca spraw łódzkich. Ponad dwadzieścia lat pracowałem w służbie konserwatorskiej, a przez trzy byłem konserwatorem miasta Łodzi. Wiele negatywów, o których tu mówiono, związanych było ze śmiercią techniczną obiektów, o czym często zapominamy. Na przykład domy tkaczy nie miały fundamentów, stały na piachu i ich żywotność musiała być krótka. Nawet, gdyby były bieżąco konserwowane. Łódź posiadała służbę konserwatorską od 1945 roku, z tym że kryteria były inne i Łódź rzekomo nie posiadała zabytków. W tym czasie odbudowano na przykład domek Gayera. Obecnie zabytków jest wiele i urząd miasta, co chciałbym podkreślić, jest prawdziwym mecenasem ich ochrony. Możemy się pochwalić realizacjami na ogólnopolską skalę. Od nas wyszła inicjatywa adaptacji zabytków na cele społeczne, takie jak pałace ślubów. To była inicjatywa pionierska, bo dopiero w ub. roku profesor Zin wydał zalecenia w tej sprawie. My podaliśmy listę obiektów już wykonanych: na Pabianickiej, Gdańskiej, Worcella. Mogę przytoczyć szereg szczęśliwych realizacji. Nie zostały rozebrane najstarsze budynki przemysłowe. Fabryka Gayera jest siedzibą Centralnego Muzeum Włókiennictwa. Wspaniała realizacja konserwatorska. Najstarszy obiekt przemysłowy, bielnik przy 8 Marca 5 jest w tej chwili adaptowany na siedzibę PKZ. A Wólczańska 33, siedziba BWA? Narutowicza 48 — siedziba TPPR? Jest cały program dla ulicy Moniuszki, dla Księżego Młyna. Te ostatnie realizacje zostały przejściowo przyhamowane z braku środków, ale mieszczą się w programach urzędu konserwatorskiego. Że plac Wolności został zniekształcony, to mi się nie podoba. Ale sama zasada była słuszna. Przypomnijmy sobie z historii, że taki Poznań miał gotycki ratusz, z którego została tylko wieża. W XVI wieku został bowiem przebudowany przez architekta włoskiego Qaudro. Gdyby ówcześni ludzie podchodzili tak jak my, to nie byłoby tego pięknego renesansu Quadry.

JERZY URBANKIEWICZ: To nie jest argument wobec placu Wolności. To inne zagadnienie.

MIECZYSŁAW PRACUTA: Dlaczego? Przebudowano przecież kościół na placu. Domy zostały rozebrane na skutek śmierci technicznej. A władze co roku wydają zakaz jakichkolwiek rozbiórek z wyjątkiem tych, które są niezbędne dla potrzeb komunikacyjnych.

KONRAD FREJDLICH: Ciekawe czy tych wyjątków nie jest więcej niż rzeczywistych potrzeb.

MIECZYSŁAW PRACUTA: W porównaniu z innymi miastami, w Łodzi prawie się zabytków nie rozbiera. W ciągu trzech lat kierowanie przeze mnie służbą konserwatorską uległ wysadzeniu budynek przy Piotrkowskiej 159 (z uwagi na przejście podziemne) i rozebrano dom na Nowomiejskiej 12, gdzie nie było co ratować. A więc nie są to skandale konserwatorskie, jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Zawsze trzeba się zastanawiać, czy warto rekonstruować. Te problemy nurtują służbę konserwatorską w całej Polsce. Władze w Łodzi dają duże pieniądze na konserwację zabytków, dzięki nim w ub. roku powstał samodzielny oddział PKZ.

ANDRZEJ MAJER: Zanim złożymy władzom miasta laurkę, musimy sobie uprzytomnić, że działanie jest ich obowiązkiem. W moim odczuciu robi się jednak za mało w stosunku do gwałtownie rosnących potrzeb. Tylko bardzo złe władze nie

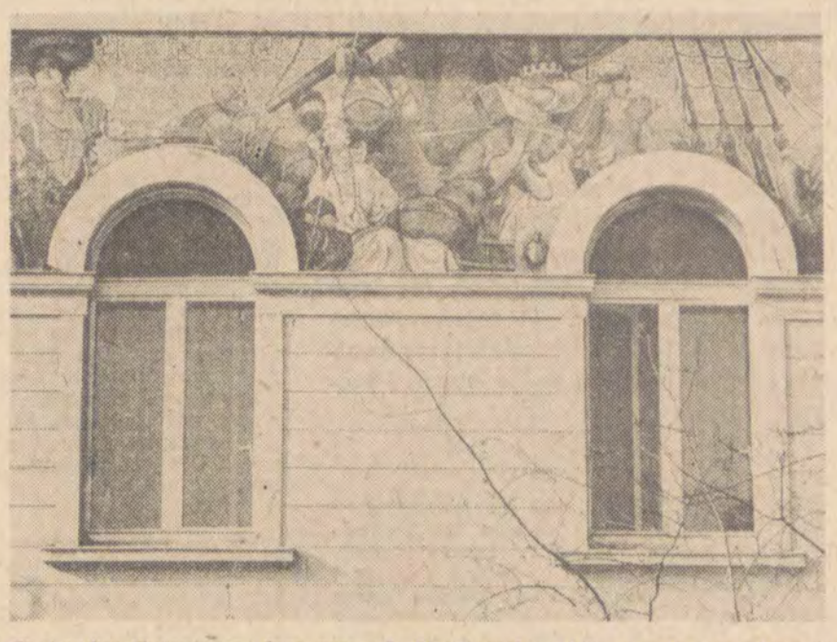

G. Landau-Gutenteger, dom przy ul. Piotrkowskiej 139, mozaika na elewacji frontowej, 1907

podejmowałyby żadnych wysiłków i nie o to chodzi. Myślę, że w Łodzi zrobiono ledwie minimum tego, co należało zrobić. PKZ rodziły się w ciężkich bólach i kto wie, czy by się w ogóle narodziły, bo w świadomości szeroko pojętej władzy, problem nie był tak znowu ważny, jak to nam się tutaj wydaje. Nie ma więc powodów do zadowolenia i trzeba raczej myśleć, co zrobić z nowymi potrzebami. Miasto budowano prawie w jednakowym czasie i teraz budynki starzeją się masowo, w ogromnym tempie. Byłoby przesadą nadawać sprawie zabytków w Łodzi taką rangę jak zabytkom Krakowa, czy Sandomierza. Ale trzeba się tym zająć o wiele poważniej niż do tej pory. Bo to co zrobiono, jest godne pochwały, ale nie upoważnia do zadowolenia.

WOJCIECH WALCZAK: Od czasu uchwalenia programu ochrony zabytków w Łodzi minęło ledwie siedem lat. Program zakłada bardzo poważne i trudne realizacje, bo w Łodzi każdy obiekt zabytkowy posiada użytkownika. Mieści się w nim 60 pofabrykanckich pałacyków, w których należałoby zmienić użytkowników i przystąpić do remontu biorąc pod uwagę nie tylko środki finansowe, ale i możliwości wykonawcze.

Program jest, niestety, realizowany zbyt wolno. Póki nie mieliśmy PKZ, posiadaliśmy nadmiar pieniędzy. Mamy teraz PKZ posiadające możliwości przerobowe, ale nie posiadamy środków. Wybrnąć z tego dylematu nie jest łatwo. Bo weźmy choćby zespół pałacowy Herbsta na ulicy Przędzalnianej. Koszt jego rewaloryzacji wynosi 50 mln złotych, podczas gdy cykle wykonawcze naszych przedsiębiorstw budowlanych zakładają roczny przerób rzędu 5 mln zł. Niemniej program musi być realizowany. Służba konserwatorska nieustannie o nim przypomina władzom i użytkownikom. Trwają prace konserwatorskie w dwudziestu obiektach. A dwadzieścia innych zostało odrestaurowanych i oddanych społeczeństwu. Rozumiem zniecierpliwienie panów, ale ten program...

KONRAD FREJDLICH: Ale — czy jest on na miarę naszych ambicji, bo co do możliwości to już mamy niejakie rozeznanie. Rozebrano na przykład w Łodzi słynny las kominów, zamiast je zostawić jako elementy pejzażu.

JERZY URBANKIEWICZ: Na to jest teraz za późno.

WOJCIECH WALCZAK: Wkraczamy tu w zagadnienia szczegółowe, bo w Łodzi najciekawsza jest właśnie architektura przemysłowa. Taki Księży Młyn jest ewenementem na skalę europejską. Ale nawet w obiektach chronionych jako zabytki, są czynne zakłady przemysłowe i będą pracowały przez najbliższe pół wieku. Wiemy, że nowa technika wymaga innych normatywów, których nie można wprowadzać w warunkach starej zabudowy. Przykład: przędzalnia przy ul. 8 Marca. Ze względów ekonomicznych nadbudowano jedną kondygnację nawiązującą wprawdzie do architektury, ale mimo to stanowiącą zgrzyt. Doszły potężne urządzenia klimatyzacyjne. I w tych warunkach każdą decyzja konserwatorska musi być kompromisowa.

ANDRZEJ MAJER: Czyli że nie możemy tych problemów widzieć w oderwaniu od życia. Miasto żyje, ma swoje potrzeby i nie można mieć tu stosunku ściśle ochroniarskiego. Trzeba widzieć zabytek na tle rzeczywistych potrzeb codzienności.

KONRAD FREJDLICH: Zgoda. Ale zbyt często dowiadujemy się, że zabytkom trzeba iść na odsiecz. Czasem odsiecz jest spóźniona, zabytek już padł. I nie ma winnych. Mówi się: obiektywne przyczyny, śmierć techniczna. Natomiast nie słyszałem, aby kogoś pociągnięto do odpowiedzialności za zaniedbania.

JERZY URBANKIEWICZ: I to w skali kraju.

KONRAD FREJDLICH: Stoję na stanowisku, że w słowie konserwator zawiera się pewien element zachowawczości. Myślę, że klimat dla zabytków znacznie się poprawił dzięki działalności prof. Zina, który jest fanatykiem.

ANDRZEJ MAJER: Zin to sentymentalista.

JERZY URBANKIEWICZ: Ostatnich trzydzieści pięć lat to na pewno wiele osiągnięć w sferze przebudowy społecznej i politycznej.

KONRAD FREJDLICH: Musimy sobie uprzytomnić, że 70 proc. ludności Łodzi to rezultat migracji. Każdy uratowany zabytek pozwala tych przybyszów związać emocjonalnie z miastem.

JERZY URBANKIEWICZ: Tak jest, bo nasza epoka zostawi po sobie w większości koszarowe budynki, które niewątpliwie załatwiły, statystycznie biorąc, bardzo poważny problem ilości mieszkań. Ale nie problem estetyczny.

KONRAD FREJDLICH: Stąd też takie znaczenie edukacyjne i poznawcze mają zbytki. Przyznacie panowie, że brzmi to niemal jak podsumowanie, choć podsumowania nie będzie. Chciałbym bowiem, aby ta dyskusja przeniosła się do szkół, urzędów, mieszkań. Postawiliśmy tu przecież wiele pytań, na które nie zawsze można znaleźć precyzyjną odpowiedź, posialiśmy wiele wątpliwości, daliśmy materiał do refleksji. Serdecznie panom dziękuję.

Foto: R. Łucyszyn, A. Wach.

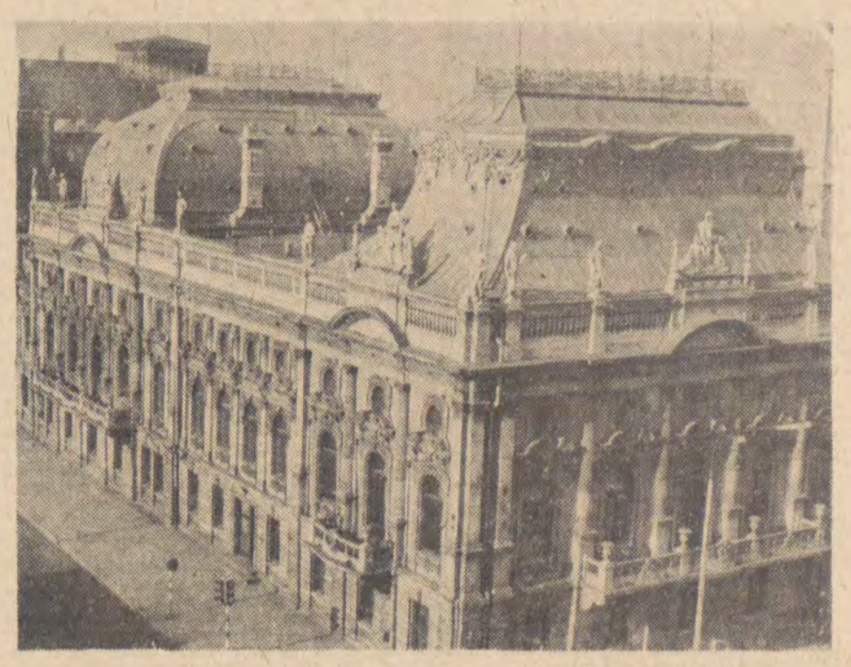

A. Zeligson, dawny pałac przemysłowca przy ul. Ogrodowej 15, pocz. XX w.

W KRĘGU TRADYCJI

BARD PODHALAŃSKI

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

Uwieczniano jego postać w poezji i w prozie, w rysunku i w rzeźbie, w pieśni i w muzyce. H. Sienkiewicz zestawiał go z Miltonem, St. Witkiewicz porównywał z twórcą „Iliady i Odysei" — nazywając go Homerem tatrzańskim, inni jeszcze ochrzcili go mianem Ezopa i barda podhalańskiego.

Nie umiał czytać ani pisać, ale tworzone w wyobraźni i przekazywane ustnie jego bajki i opowieści zapewniły mu trwałe miejsce w literaturze i kulturze ludowej.

I.

Kim był Sabała? Jaki był jego rodowód?

Nazywał się właściwie po ojcu **Jan Gąsienica.** Później, razem z ojcem i z trzema braćmi: Andrzejem, Wojciechem i Józefem, przybrał nazwisko **Krzeptowskiego.** Nieco później jeszcze nazwał siebie **Sabałą**, od majątku, odziedziczonego po ojcu. Prócz tych trzech nazwisk znany był — ale już poza obrębem Zakopanego — jako **Janko Sablik** i **Janko Czakor.** Powszechnie nazywano go Sabałą i to miano nosił aż do zgonu.

Ojciec, Jan Gąsienica — jak opowiadał Sabała — był człowiekiem mądrym, towarzyskim, przedsiębiorczym. Pochodząc ze znanego i szanowanego powszechnie rodu Gąsieniców, doznawał wielkiego miru i poważania. Dorobił się znacznego majątku przede wszystkim dzięki przemycaniu owiec do Węgier. Potrafił nieraz wiadomymi sobie drogami przeprowadzać nielegalnie po kilkaset owiec.

W tych czasach, kiedy Sabała spędzał swą młodość górale trudnili się pasterstwem, mylistwem i... zbójnictwem. Stanowili oni odrębne społeczeństwo, nie uznające obowiązujących gdzie indziej form i zasad współżycia z ludźmi. Nie było wtedy w Zakopanem ani dróg jezdnych, ani kościołów. Był tylko jeden olbrzymi las czarny z gdzieniegdzie dymiącymi chałupami. W lasach polowali na niedźwiedzie i wilki, a gdy ich zabrakło, szli na ziemie pograniczne, a często nawet je przekraczali. Tam polowali, a przy tym nieraz „uszczuplali" komory panów po tamtej stronie. Nie zawsze się to udawało, bo panowie liptowscy i orawscy bronili zaciecie swoich dóbr i nieraz zadawali przybyszom dotkliwe cięgi.

Czasy, w których Sabała spędzał swą młodość, były pełne podań i legend o nieprzebranych skarbach, jakie kryły góry, i odważnych jak Janosik zbójnikach, którzy sami wymierzali sprawiedliwość na panach, uciskających lud. Kobiety w długie zimowe wieczory, przędąc na kołowrotku, opowiadały o zaklętych królewnach, o smokach, strzegących jaskiń ze skarbami. Nic też więc dziwnego, że wsłuchany w te opowieści młody Jan Krzeptowski nie mógł usiedzieć spokojnie w domu. Nęciły go przygody, dalekie podróże, żądza zdobycia skarbów.

Na razie ograniczył się do „polowacki" — wypraw myśliwskich na grubego zwierza. Uzbrojony we flintę, zapalającą się jeszcze za pomocą krzemienia, organizował przy współudziale towarzyszy obławy kłusownicze na niedźwiedzie, wilki, rysie. Z wypraw tych powracał nieraz z liczną zdobyczą. Wkrótce zamienił flintę na nowoczesną fuzję i tą dopiero zaczął czynić spustoszenia. Zabił, jak sam później opowiadał, kilkanaście misiów i zranił niezliczoną ich ilość.

— Co by te niebościki — chwalił się — **stanyny, cok ik wybił, to by hetki w Zakopanem i w Kościelisku sicko pojadły i ludzi by sie pote hyciły.**

Ale bywało też, że wyprawy myśliwskie Sabały kończyły się niepowodzeniem. Pewnego razu zapędził się za kozicami aż na stronę węgierską. Tu znienacka napadła nań służba leśna, związała go, obiła i osadziła w więzieniu. Kto wie, jak potoczyłyby się dalsze losy górala, gdyby nie interwencja niejakiego Pangraca, któremu ongiś stary Krzeptowski przemycał owce z Polski. Został zwolniony i puszczony na wolność po przyrzeczeniu, że już nigdy nie przekroczy granicy i nigdy nie będzie tu polował.

Sabała głęboko przeżywał te niepowodzenia i upokorzenia. Sam, a nieraz z innymi góralami, napadał znienacka na strażników węgierskich i mścił się za swoje porażki. Nieraz rozgrywały się — jak wspominał St. Witkiewicz — istne homeryckie boje górali polskich z Liptakami węgierskimi, z których najczęściej — dzięki sprytowi i odwadze — pierwsi wychodzili zwycięsko.

Nadszedł rok 1846. W pobliskim Chochołowie wybuchło powstanie przeciwko Austriakom. Brali w nim udział górale, między innymi także Sabała. Odznaczył się w kilku potyczkach. Po aresztowaniu organizatorów sprzysiężenia i rozbiciu niezbyt licznych oddziałów, Sabała powrócił do miejsc rodzinnych i jak dawniej przedsiębrał wyprawy na Liptaków. Niedługo zbójnikował. Ożenił się i tu ustatkował. Został przykładnym mężem i ojcem.

Powodzenie u kobiet miał wielkie, nawet wtedy, gdy się ożenił. Nie zdradzał żony, ba, gdy nawet był zaręczony, uciekał od wszelkich pokus. Oto jaka przygoda spotkała go raz w górach:

Jan Krzeptowski — Sabała
Foto: Archiwum

— ...Idem se do góry żlebem — opowiadał Sabała — **i śpiewałek se i grał, co jaze giełcało po reglak. Jaze wyskocyła ku mnie skądsi dziywka straśnie piekna i tak mi pada: „Hybajze, siedniemy se na wancie i bedziemy sie boskać, haj". Ja jej zaś, nie wiele myślęcy tak padam: „Jakoz cie zalubić i boskać mam, haj, kie ja mam doma dziewkę. Za tydzień bedzie wesele, haj". Ona wyjena cycki, straśnie długie były, toz to se ik pozarucała na ramie i hybaj za mnom. Ja uciekał przed niom, jagek móg, bok sie jej bał, haj, bok poznał po cyckak zaraz, ze boginka była, co w dziurak w uspiskak siadujom. Zdysałek sie straśnie, toz tok ustał, a ona mnie dopadła, haj, i sprała mnie straśnie temi cyckami. Uciugek potem...**

II.

Jednym z pierwszych, z którymi Sabała zetknął się w Zakopanem, i z którymi zawarł serdeczną przyjaźń, był dr **Tytus Chałubiński.** Poznał go, mając już ok. 70 lat. Chałubiński polubił szczerze starego górala. Wprowadził go do swego domu i traktował jak przyjaciela. Zabierał go zawsze w góry na przewodnika. Spełniał także rolę znakomitego gawędziarza, improwizatora, opowiadającego lub śpiewającego przy wtórze ulubionych gęślików o dawnych czasach, w których żył i działał.

Sabała całym sercem przylgnął do dra Chałubińskiego. Gdy go nie było w Zakopanem, zamykał się w swej chacie w Kościelisku i przygotowywał prezenty dla „wielkomoznego". Najradośniejsze chwile przeżywał w lecie, gdy w lipcu dr Tytus Chałubiński znowu przyjeżdżał do uzdrowiska. Wtedy ubierał się odświętnie i jeden z pierwszych składał wizytę. Przynosił zawsze jakikolwiek drobny upominek, najczęściej przez siebie wykonany i wygrywał na gęślikach przygotowane piosenki na powitanie gospodarza.

Gdy dr Chałubiński osiadł na stałe w Zakopanem, Sabała niemal codziennie go odwiedzał. Był traktowany serdecznie, jakby jeden z domowników i często zostawał na obiedzie i kolacji. Wkrótce krąg przyjaciół górala znacznie się powiększył. Poznał u dra Chałubińskiego m. in. **H. Modrzejewską, I. Paderewskiego, H. Sienkiewicza. A. Asnyka, K. Tetmajera, J. Kasprowicza. J. Matejkę.**

Wielkim przeżyciem Sabały było trzymanie do chrztu dziecka Witkiewicza. W czasie pobytu **H. Modrzejewskiej** w Zakopanem, **St. Witkiewicz** poprosił aktorkę, by została matką chrzestną, a Sabałę — ojcem chrzestnym dziecka. Sabała z radością przyjął zaproszenie, ale równocześnie stropił się niepomiernie.

— Hnetki mi pedzieli — opowiadał — **zek miał trzymać z kumosiom Modrzewskom. „Prosem pieknie, jako? Znajom jom?" Tak, to ta dryjaternicka wielga, co kajsi wse za morzem siedzi, haj. Ja się zlak straśnie, bo ta z rzecom figlów nie stroj, coby sie nie pohańbić, haj.**

O samym spotkaniu z Modrzejewską po uroczystości chrzcin tak wspominał bajarz podhalański:

— Kumosia mnie potem straśnie uracyła. Jeść pote i pić, prosem pieknie, było mnoheńko; toz to my straśnie jedli i pili. Kumosia mi dała swojom potografiom i ja jej tez, a kie mi sie straśnie bez niej kotwi, to se jom pobośkom, haj. Tak to, prosem pieknie, ostołek kumotrem, haj.

III.

Największą sławę Sabale zjednała jego twórczość, zwłaszcza jego opowieści i bajki. Tematem ich było wszystko to, co sam dawniej przeżył i widział. A więc: przygody w obcych krajach, bójki z Liptakami, łowy na niedźwiedzie i inną zwierzynę, sławni zbójnicy tatrzańscy i ich czyny, jednym słowem wielostronny obraz życia, pojęć i wierzeń zanikającego już świata starogóralskiego.

O artyzmie Sabały świadczy fakt, że jedno i to samo opowiadanie, w zależności od środowiska słuchaczy, potrafił podawać w innej formie i przy doborze innych słów. Inaczej więc opowiadał jakieś zdarzenie w środowisku góralskim, i inaczej je przedstawiał „wielkomoznym" w środowisku miejskim.

Podobnie jak opowieści, cieszyły się wielkim powodzeniem bajki Sabały. Pisali o nich tacy wybitni pisarze, jak **H. Sienkiewicz, St. Witkiewicz** i inni.

Sławę i uznanie Sabale zjednały również jego piosenki starogóralskie, które wykonywał przy wtórze swoich ulubionych gęślików. Podobnie jak w opowieściach, odtwarzały one dawne przygody Sabały, wyrażały podziw dla piękna gór:

Oj, góry, nase góry,
Oj, hale, nase hale,
Wto was zna tak dobrze,
Jako my górale.

Wiele swoich piosenek poświęcał miłości. Była wśród nich i taka, niewybredna w treści:

Starej babie przy boku
Leżał diabeł w potoku,
Nie wiem, cy spał,
Cy też drzymał,
Ale leżał przy boku.

Piosnki przeważnie sam komponował, tworzył w słowie i muzyce. Niekiedy tematy piosenek o zbójnikach przerabiał, a do niektórych gotowych dorabiał tylko muzykę.

Z biegiem lat, kiedy przyszła starość, zmieniały się tony i słowa piosnek barda. Dawny wesoły ich nastrój zmieniał się w zadumę i melancholię:

Młodość moja, młodość:
Przysłaś mi na marność,
Radość moja ginie
Jak liść na wierzbinie.

IV.

Po raz ostatni, mając już lat 85, Sabała wziął udział w zbiorowej wycieczce góralskiej na wystawę krajową we Lwowie w 1894 r. Wszędzie, gdzie się pokazał, gromadziły się tłumy ludzi i żywiołowo oklaskiwano jego występy.

Po powrocie do Zakopanego, Sabała nagle zachorował. Z każdym dniem czuł się coraz gorzej. Zaopiekowała się nim wtedy pani **Lilpopowa,** przybyła z Warszawy. Zabrała go z Kościeliska do swego domu na Bystrem i roztoczyła serdeczną opiekę. Wezwani lekarze, mimo usilnych starań, nie mogli powstrzymać ciągle rozwijającej się choroby. **8 grudnia 1894 r. Sabała zmarł.**

Pięknie opisał śmierć barda tatrzańskiego znany pisarz **Jalu Kurek** w książce p.t. „Księga Tatr". Czytamy w niej m. in.:

„Leżał na gołych deskach w promieniach zachodzącego słońca, ubrany odświętnie, czekając na śmierć. Na nogach — zatłuszczony kapelusz ze skórzaną wstążką:

— Dej ciupage.

Jedrek podał mu ciupage, konający chwycił ją w prawą rękę. Ściskał ją ze wzruszeniem, jak relikwię, podpierał się nią przecież Chałubiński.

— Złóbecki mi połóż na piersiak.

Życzeniu starca stało się zadość.

— A teraz idźcie stela. Pozdrówcie mi syćkik... Jo haw ostane som...

Odprawił ich oboje... Kiedy słońce zgasło za Czerwonymi Wierchami, zszarzała i twarz Sabałowa na podłodze. Góral nie poruszał się więcej..."

Na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu Pęksowym Brzyzku w Zakopanem odprowadziły barda podhalańskiego tysiączne tłumy. Z prawdziwym żalem żegnały swego niewcę górale Podtatrza i „wielkomozni" ze **St. Witkiewiczem** na czele. Spoczął u stóp tego, którego najbardziej cenił i kochał, który — jak sam mawiał — „stoł za ojca i za matkę i za dziecko nolepse" — dra Chałubińskiego.

Znalazł miejsce również u stóp „króla tatrzańskiego" na pomniku w Zakopanem, poświęconym pamięci dwóch przyjaciół, do końca życia wiernych Tatrom i miastu.

PRZY MARMUROWYM STOLIKU

W majowe przedpołudnie 1909 roku dyrektor Teatru Polskiego w Łodzi Aleksander Zelwerowicz siedział w kawiarni Roszkowskiego przy filiżance kawy i od czasu do czasu zerkał w stronę bufetu, gdzie przy stoliku nakrytym białym obrusem gromadka aktorek sprzedawała bilety na najbliższe przedstawienie teatralne. Wśród nich wyróżniały się nieprzeciętna uroda i wdziękiem młodości początkujące aktorki Alina Gryficz i Halina Starska. Paniom asystowało kilku młodych mężczyzn.

— Co za nieszczęście! — zwrócił się do Zelwerowicza redaktor „Rozwoju" Stanisław Łapiński, przepchnąwszy się przez grupę młodzieńców adorujących ładne aktorki. — Właśnie kończyłem w redakcji pisanie kroniki tygodniowej, gdy rozległy się jęki syreny fabrycznej a po chwili dzwonki i turkot wozów strażackich. Hiobowe wieści podał telefon: pali się teatr Victoria. Proszę wybaczyć, dyrektorze, ale w pierwszej chwili pomyślałem sobie: niechże się pali ta obskurna buda, jedyna chyba w świecie w tak strasznych warunkach.

— Zgadzam się z tym określeniem całkowicie, ale zawsze był to jakiś dach nad głową — odrzekł zatroskany Zelwerowicz.

— To też prawda. Na temat pożaru krążą na mieście różne plotki. Co zdaniem pana było przyczyną ognia?

— Trudno powiedzieć — zastanawiał się Zelwerowicz. — Wiem w tej sprawie tyle co pan, redaktorze.

— Chyba nieco więcej — Łapiński nie ustępował. — Wszak znalazł się pan na miejscu pożaru w parę minut po przybyciu straży.

— To się zgadza. Tego wieczoru po przedstawieniu pomimo spóźnionej pory wybrałem się przed snem na przechadzkę wzdłuż Piotrkowskiej. Sygnał trąbki strażackiej zawrócił mnie rychło z drogi. Po drewnianym bruku ulicy z głuchym dudnieniem przeleciały beczkowozy i drabiny, ciągnione przez galopujące rumaki. W świetle gazowych latarni rozbłysły mosiądzem hełmy strażackie.

— Przerwał pan spacer przez zwykłą ciekawość czy też w przeczuciu nieszczęścia? — pytał dociekliwie redaktor.

— Wyda się to panu nieco dziwne, ale ja naprawdę pomyślałem, że pali się teatr. Przeczucie mnie nie omyliło. Wozy strażackie zatoczyły łuk i wjechały w długi, wąski dziedziniec hotelu „Victoria". Całe podwórko wypełnione było kłębami gryzącego dymu który wydobywał się otworami w suterenach gmachu teatralnego. W ciszę nocy wdzierał się syk i trzask płonących stropów. Teatr stał w ogniu.

— Zapewne uczyniło to na panu wstrząsające wrażenie.

— Przyznam się, że nie bardzo. Miałem wtedy zaprzątnięte myśli czymś innym. Teatr posiadał z boku przybudówkę wypełnioną meblami i wszelkiego rodzaju rupieciami teatralnymi, z której prowadziło jedyne wejście na scenę i za kulisy. Zachodziło podejrzenie, że wewnątrz gmachu znajdują się ludzie. Drzwi od przybudówki były jednak zamknięte a klucz od kłódki znajdował się w moim pokoju w hotelu „Victoria". Nie było czasu do stracenia. Strażacy wyważyli drzwi za którymi znaleźli na pół przytomnego pomocnika rekwizytora. Z udzielonych przez niego wyjaśnień wynikało że w pomieszczeniach pod sceną znajduje się rekwizytor.

— Co oni tam mogli robić o tak późnej porze — zastanawiał się Łapiński.

— Prawdopodobnie zanocowali pomimo mego stanowczego zakazu — wyjaśnił Zelwerwicz. — Rekwizytorowi groziła śmierć przez zaczadzenie. Strażacy nie znali drogi do tych pomieszczeń, postanowiłem więc służyć im za przewodnika. Wówczas jeden ze strażaków ujął mnie pod ramię i trzymając we wzniesionej ręce pochodnię, ruszył ze mną w głąb budynku. Po krótkim czasie dotarliśmy do drzwi, zamykających ciasny korytarzyk znajdujący się pod sceną. Dalej już nie mogłem iść. Drżące światełko pochodni zniknęło sprzed moich oczu i postać strażaka zakryły kłęby dymu. Wszedłem na dziedziniec. Nastąpiła chwila napiętego oczekiwania. Po kilku minutach zamigotało światełko pochodni i ujrzeliśmy dzielnego strażaka dźwigającego nieprzytomnego rekwizytora. Na szczęście, uległ on tylko niegroźnemu zaczadzeniu i lekkiemu poparzeniu nóg.

— Podobno na skutek pożaru poniesliście znaczne straty materialne?

— Teatr spłonął niemal doszczętnie, więc nic się nie dało uratować. Zespół nasz pozostał bez warsztatu pracy bez kostiumów, dekoracji i rekwizytów. Najgorsze zaś, że całe wyposażenie teatru stanowiące moją własność i aktorów, a oceniane na 9 tysięcy rubli, nie było asekurowane. Jesteśmy więc kompletnie zrujnowani materialnie.

— A właściciel gmachu?

— Freudenberg? Ten nie poniósł żadnej straty, a może nawet zarobił na naszym nieszczęściu gdyż budynek teatru był wysoko ubezpieczony.

— Jak się teraz urządzicie?

— Sam jeszcze nie wiem — zastanawiał się Zelwerowicz. — Na razie dajemy kilka przedstawień w Teatrze Wielkim na Konstantynowskiej ale o ulokowaniu się tam na stałe nie ma mowy, gdyż budynek ten wydzierżawiony jest na dłuższy okres czasu na przedstawienia trupy żydowskiej. Za kilka dni zamierzamy rozpocząć wojaże artystyczne po kraju, a w nowym sezonie Towarzystwo Teatralne przyobiecuje oddać nam w użytkowanie pomieszczenie po dawnych magazynach przy ul. Cegielnianej, po odpowiednim przystosowaniu go dla potrzeb sceny.

— Miejmy nadzieję, że jesienią skończą się wasze tarapaty — powiedział dziennikarz, kreśląc coś w notesie. — Przyzna pan, dyrektorze, że łódzka publiczność teatralna nie zapomniała o swoich aktorach, śpiesząc im w potrzebie z pomocą materialną.

— Jesteśmy jej za to bardzo wdzięczni. Z głębokim wzruszeniem przeglądam w miejscowej prasie listy ofiarodawców na rzecz naszych pogorzelców. Koledzy z teatrów zamiejscowych także o nas nie zapominają, przyjeżdżają do Łodzi na gościnne występy, przeznaczając cały dochód na wspomożenie naszych aktorów. Ostatnio zaś teatr krakowski pod znakomitym kierownictwem Ludwika Solskiego zupełnie bezinteresownie ofiarował swój przyjazd do Łodzi na gościnne występy, aby tu dać „Wesele" z udziałem Ireny Solskiej. Jest to dowód wysokiego poczucia solidarności koleżeńskiej.

— Pozwoli pan, dyrektorze, że do tej listy dorzucę również „Lutnię", która siłami amatorskimi wystawiła na rzecz pogorzelców naszą narodową operę „Halkę" — wmieszał się do rozmowy dyrektor Towarzystwa Kredytowego, Leon Gajewicz, zajmując miejsce przy marmurowym stoliku. — Amatorzy zyskali duży poklask publiczności, a stroje ich wywołały ogólny zachwyt.

— Pamiętasz Leonie owe czasy, kiedy pierwszy akt „Halki" chór lutnistów śpiewał we frakach? — przypominał Łapiński jedno z dawniejszych przedstawień „Halki", wystawione w „Lutni". — Halka wówczas wyglądała jak dama, wyrwana żywcem z arystokratycznego salonu. Jontek zaś miał taki frak, jak dyrektor „Lutni". Alojzy Dworzaczek, z jedwabnymi wylogami, świeżo wyprasowanymi na gładko.

Zelwerowicz śmiał się, ubawiony opowiadaniem Łapińskiego. Do stolika podeszli dwaj młodzi aktorzy: Kazimierz Junosza-Stępowski i Stefan Jaracz.

— Panie dyrektorze — Stępowski zwrócił się do Zelwerowicza. — Panna Starska skończyła już dyżur...

— To dobrze. Żegnam panów! — Zelwerowicz poderwał się z krzesła i ruszył w kierunku bufetu.

— He, he, widzę, że zanosi się na romans — zauważył dziennikarz, wskazując spojrzeniem na zdążających ku wyjściu Starską i Zelwerowicza. — I cóż pan na to, panie Kazimierzu? — zagadnął Stępowskiego.

— Taki już nasz los, początkujących aktorów — odrzekł smętnie zagadnięty. — Najlepsze kąski zawsze sprzątają przełożeni.

— Są jeszcze inne, niemniej smakowite — roześmiał się Gajewicz. — Chociażby panna Gryficz...

— Kręci się przy niej nasz reżyser Mielewski — wtrącił Jaracz. — Nie możemy mu wchodzić w paradę.

— No tak — zgodził się Gajewicz. — Wydaje mi się, że pan już kiedyś występował na naszej scenie — zwrócił się do Stępowskiego.

— Rzeczywiście, za dyrekcji Henryka Grubińskiego. Przyjaźniłem się wtedy z Jurkiem Leszczyńskim.

— Teraz sobie przypominam. To właśnie was upatrzył Przybyszewski na adeptów głoszonych przez niego idei. Ciekawe, jak to było.

— Zwyczajnie. Z okazji wystawienia którejś ze sztuk Przybyszewskiego, dyrektor Grubiński zaprosił go do Łodzi. Zjechał Przybysz do gościnnego dyrektorskiego domu na kilka dni i pozostał parę miesięcy, bo mu tu było dobrze, a Łódź nie znała ustaw prohibicyjnych.

Aktorzy zamienili jeszcze parę słów i wynieśli się z kawiarni. Łapiński pociągnął Gajewicza do stolika w rogu sali, przy którym adwokat Włodzimierz Wyganowski wiódł ożywioną rozmowę ze sprawozdawcą miejskim „Rozwoju", Kazimierzem Kamińskim.

— Czy wiecie, że na mieście krąży pogłoska jakoby Starska podpaliła teatr? — zwrócił się Kamiński do przybyłych.

— Niemożliwe — zaoponował Łapiński.

— Po kiego licha miałaby to uczynić?

— Podobno chciała ratować Zelwerowicza od bankructwa — wyjaśnił adwokat.

— Czego się nie robi z miłości...

— Trudno w to uwierzyć, mecenasie — upierał się Łapiński. — Byłaby to niedźwiedzia przysługa. Przecież pożar teatru zrobił z Zelwerowicza bankruta.

— Może Starska sądziła, że Zelwerowicz jest asekurowany — rozważał Wyganowski.

— Mało to prawdopodobne — orzekł Łapiński. — Plotka zrodziła się zapewne wśród aktorek z zawiści, że Starska cieszy się względami dyrektora.

— Tak czy inaczej ogień powstał w tajemniczych okolicznościach i chyba nigdy już nie dowiemy się, kto go spowodował — stwierdził Gajewicz.

WACŁAW PAWLAK

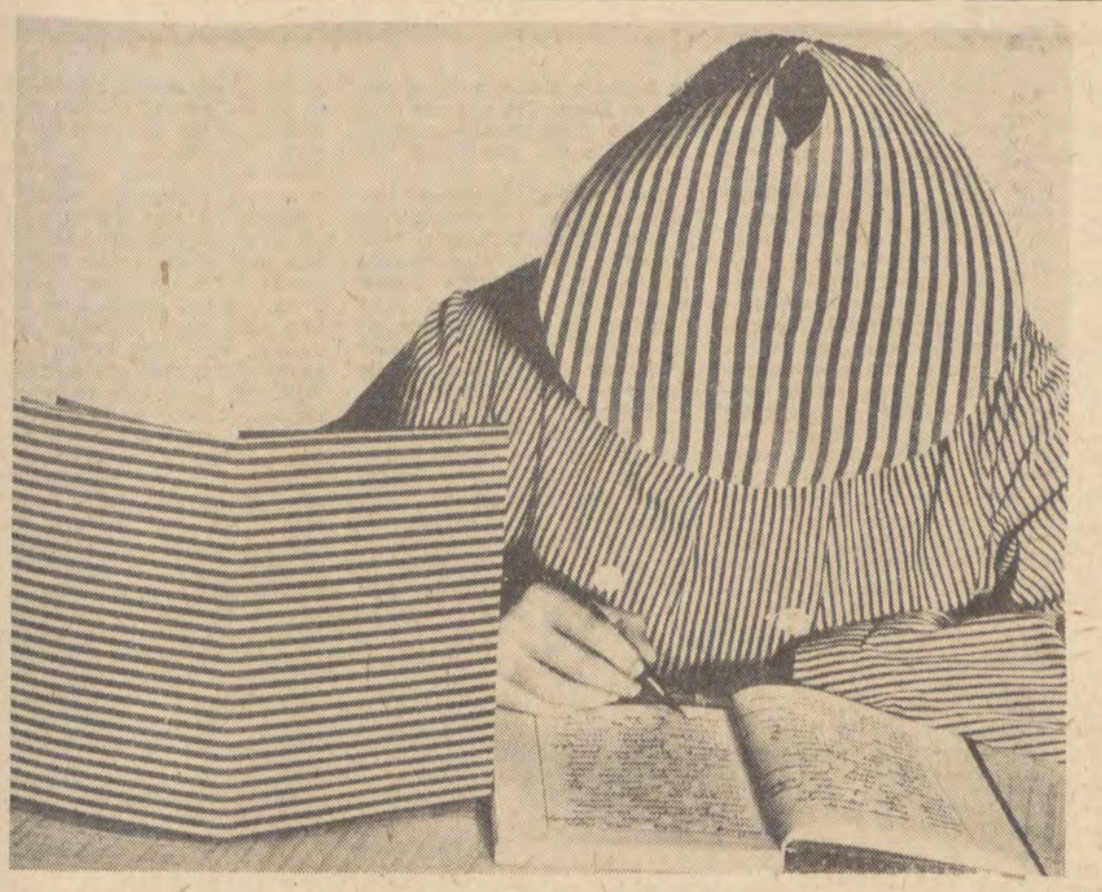

Edward Hartwig: WYPRACOWANIE

NIE LUBIŁEM FOTOGRAFII

W kwietniu otwarta została w Galerii Bałuckiej wystawa fotografii **Edwarda Hartwiga.** W tym roku autor wystawy obchodzi 70-lecie urodzin i 56 lat pracy artysty-fotografika.

— Pochodzi pan z rodziny o bogatych fotograficznych tradycjach. Jaką rolę odegrało to w pana życiu?

— Mój ojciec swoją pracę rozpoczął w Łodzi. Znany wówczas tutaj duży zakład prowadził Teraspolski. Ojciec pracował u niego i jako jeden ze zdolniejszych pracowników wysłany został do Moskwy, gdzie Teraspolski otwierał nową firmę. W Moskwie ojciec usamodzielnił się i prowadził kilka własnych zakładów fotograficznych. W 1918 roku wróciliśmy do Polski i tu ojciec zaczął na nowo organizować swoją pracę. Kręciłem się wokół fotografii od dzieciństwa, ale muszę powiedzieć, że właściwie bardzo fotografii nie lubiłem. Miałem jej na co dzień za dużo. Już jako uczeń szkoły gimnazjalnej angażowany byłem przez ojca do pracy w zakładzie.

— A mimo to zaczął pan fotografować?

— Tak się złożyło, chociaż po skończeniu gimnazjum w Lublinie miałem inne zamiary życiowe. Ale pewne dramatyczne komplikacje rodzinne wyłączyły mojego ojca z pracy i jako najstarszy syn musiałem poprowadzić firmę. Przekonałem się jednak, że to, czego się do tej pory nauczyłem, to mało, że na tym nie mogę i nie chcę pozostać i wtedy podjąłem decyzję rozpoczęcia studiów fotograficznych.

— O ile wiem, studiował pan fotografię w Wiedniu.

— Była to Akademia Grafiki, o której przeczytałem w jakimś zagranicznym piśmie. Takich uczelni było w owym czasie więcej, na przykład w Monachium, ja wybrałem jednak Wiedeń. To, co zobaczyłem w Wiedniu, zadziwiło mnie. Poznałem ogromne, jak na tamte czasy, możliwości fotografii, których dotąd — będąc w kręgu fotografii mojego ojca, a więc zawodowej fotografii portretowej — nie znałem. Akademia miała szereg działów, m.in. dział czy raczej wydział fotografii, jednak studia rozpoczynały się od dosyć pobieżnego przejścia przez wszystkie działy: techniki drukarskie, mody, projektowanie wnętrz i po takim ogólnym informacyjnym przeglądzie wybierało się dopiero specjalność. Ja wybrałem fotografię.

Edward Hartwig: WYCINEK Z PORTRETU

Poszedłem na studia do prof. Kobitza, ponieważ interesował mnie w tamtym czasie głównie portret, a prof. Kobitz wrócił właśnie z Ameryki, gdzie był również wykładowcą w szkole fotograficznej i wracał stamtąd pełen chwały, ceniony jako doskonały pedagog, słynący jednocześnie ze świetnych „żywych portretów". Prof. Kobitz, będąc w Ameryce, nauczył się posługiwania ogromnie nowoczesnym na owe czasy małoobrazkowym sprzętem, umożliwiającym szybkie fotografowanie, jak „Contax" czy „Leica". Tworzył portrety chwytane na gorąco. W owych czasach portret powstawał w atelier, przy użyciu wielkoformatowych kamer studyjnych. Jego sposób fotografowania, na tle ówczesnej, mieszczańskiej nieco — jak zresztą cały secesyjny Wiedeń — fotografii, gdzie dominowały miękko rysujące obiektywy był absolutną rewelacją. Zresztą muszę powiedzieć, że wówczas, tzw. czyste bromy były prawie nie znane, dominowały techniki szlachetne: przetłoki, gumy, hoheinmery, poprawną fotografią było dzieło przetworzone przez „kuchnię fotograficzną", a samo fotografowanie nie miało tej co dzisiaj ekspresji i siły.

— Wiedeńska uczelnia — jak sam pan powiedział — była szeroko znana. Byli więc tam słuchacze z innych krajów. Czy było dużo Polaków?

— Towarzystwo było międzynarodowe. Polaków też było kilku. Na przykład znakomity plakacista, Józef Mroszczak, późniejszy organizator Biennale Plakatu, w Warszawie. Samo spotkanie się ze studentami z różnych państw dawało ciekawe kontakty, możliwości poznania najrozmaitszych poglądów, wzbogacenia wiadomości. Studia w Akademii przypominały nieco terminowanie u mistrza, ale droga naszego późniejszego rozwoju szła w rozmaitych kierunkach, nie zawsze zgodnych z zawodowym podejściem do fotografii. Często było to tak, jak na przykład z pokazywanymi na tej wystawie pejzażami z lat trzydziestych, które były moim hobby nie mającym nic wspólnego z moją pracą zawodową, podobnie jak z pejzażami, które dziś fotografuję. Cieszy mnie to, że te dawne prace wytrzymały próbę czasu, który jest najlepszym sprawdzianem pewnych wartości. Wystawa w Zachęcie, z której część znajduje się obecnie w Łodzi, jest dla mnie dużą satysfakcją, gdyż jest ciekawym spięciem tej starej, mojej osobistej fotografii z tą nową, którą uprawiam dzisiaj. Są to inne światy, ale powiem, jeżeli w ogóle można mówić o ich jakości, że można chyba postawić między nimi znak równania.

— Czy uważa pan, że istnieje potrzeba otwarcia w naszym kraju wyższej uczelni fotograficznej?

— Jak najbardziej. Jest to bardzo potrzebne i muszę powiedzieć z przykrością, że Czesi nas wyprzedzili, gdyż posiadają już taką wyższą uczelnię. Miałem niedawno możliwość rozmawiania z jednym z wykładowców w tej szkole i dowiedziałem się, że są nawet możliwości, aby polscy studenci z niej korzystali, ponieważ w tej międzynarodowej uczelni jest zarezerwowane kilka miejsc dla Polaków. Może ten fakt przekona nasze, decydujące o tym, władze, że jest to nagła potrzeba, bo jesteśmy w ogóle narodem zdolnym, a w fotografii mamy szczególnie dużo talentów. Wreszcie, jeżeli aktor, który ukończy uczelnię, jest magistrem sztuki, to dlaczego fotograf-artysta nie może też nim być? Dlaczego nie może mieć takiej satysfakcji i rzetelnej, w sposób zorganizowany, zdobytej wiedzy?

— Był pan jednym z dziesięciu członków — założycieli Związku Polskich Artystów Fotografików.

— Jeśli wspomniał pan o tych dziesięciu, to muszę dodać, że mam legitymację nr 7...

Uważam, że to, co obecnie mamy jako związek twórczy, przerosło marzenia i wszelkie ówczesne oczekiwania. ZPAF jest chyba jednym z najlepiej zorganizowanych związków fotografów na świecie. Stworzono nam takie warunki, jakie mało kto ma na świecie. Mamy wspaniały lokal w Warszawie. Mamy w kilku miastach galerie. Żadna twórczość nie jest ograniczana. Wielu młodych ludzi, nawet z wyższym wykształceniem, marzy o tym, aby być członkami Związku. Nam, „starym repom", którzy wówczas, przed laty, ten Związek tworzyli, sprawia to ogromną satysfakcję. Stała się rzecz, której chyba w tamtych latach nie przewidywaliśmy.

— A czy jakieś marzenia panów nie zostały spełnione?

— Takim nie spełnionym marzeniem, które Związek mógłby zrealizować, a nie zrealizował, jest chyba to, że nie istniejemy poza krajem. Szkoda, że osiągnięcia, które niewątpliwie mamy, są za granicą legendą bez pokrycia. Nie ma w Polsce kogoś, kto byłby, że tak powiem — naszym impresario. Uważam, iż polska fotografia mogłaby się doczekać takich sukcesów w świecie, jakich doczekał się polski plakat. Tymczasem nie ma nas na wielkich, tych największych, wystawach światowych, nie ma nas w wydawnictwach światowych i to jest tzw. błąd w sztuce. Nasze sporadyczne wystąpienia za granicą są zupełnie niewspółmierne do tego, co się u nas dzieje.

— A inne nie spełnione marzenia?

— Osobną sprawą są wydawnictwa fotograficzne. Wielka szkoda i wielki to brak, że obchodzimy dziesięciolecie nieukazywania się Almanachu Fotografiki Polskiej. Jest to strata niepowetowana, nie da się już odtworzyć tego, co działo się przez ten czas w naszej fotografii. Nie tylko zresztą w samej fotografii, lecz także w sprawach ekspozycyjnych, kiedy to najlepsi polscy specjaliści opracowywali wystawy fotograficzne w Zachęcie i innych galeriach. To także ważne, że za ileś tam lat dzisiejszy okres mógłby przejść do historii fotografii i wiadomo byłoby nie tylko, jaka była fotografia, lecz także — jak była robiona, jak eksponowana, jakiego się doczekała szacunku, a to, niestety, ucieka! Brak jest zresztą nie tylko Almanachów, istnieje pilna potrzeba stworzenia albumu 35-lecia polskiej fotografii i to nie tylko kwitującego jedynie twórczość członków ZPAF, lecz ukazującego prace reporterów, fotografików-amatorów oraz ważne wystawy. Coś się złego stało. Ale rzecz nie w tym, że wydawcy nie chcą, bo wydawcy chcą. Przecież wydawnictwa fotograficzne rozchodzą się na całym świecie błyskawicznie. Są poszukiwane. Jest ogromne zainteresowanie fotografią, a jednocześnie brak na przykład wydawnictwa o fotografii poszukującej. Brak jest sprężyny napędowej i Związek za to ponosi odpowiedzialność.

— Czy wówczas, kiedy powstawał Związek, przewidywano przejęcie przez jego członków tak wielu funkcji, na przykład prawie całej fotograficznej reklamy w kraju? Jak ocenia pan to zjawisko z punktu widzenia dobra pracy twórczej?

Foto: R. Łucyszyn

— Podjął pan bardzo drażliwy temat. Mogę odpowiedzieć jedynie w swoim własnym odczuciu i przekonaniu. Wydaje mi się, że to pewne ułatwienie, z którego korzystają koledzy, odciąga nieco od pracy twórczej. Nie ma równowagi między pracą zarobkową i pracą twórczą, a to powinno być należycie wyważone. Uważam, że zadaniem twórcy jest przede wszystkim poszukiwanie, tworzenie nowych wartości, a Związek powinien mu w tym pomagać, chociaż ważne są też zarobki i powinny one być godziwe. W końcu Związek jest również po to, aby zapewnić egzystowanie swoim członkom. Prawdziwy twórca, nawet nieźle zarabiający, nie może poprzestawać na tym, co osiągnął. Musi rozwijać się, gdyż inaczej będzie rzemieślnikiem.

— Jest pan autorem bardzo wielu albumów fotograficznych i bardzo wielu wystaw. Jakie plany twórcze ma pan na przyszłość?

— Jak na swoje lata, to właściwie nie wiem, którą młodość fotograficzną mogę przeżywać. Ktoś bardzo ładnie powiedział, że metryka się starzeje, a człowiek nie zawsze razem z metryką. Wspomniał pan o albumach, to dla mnie bardzo interesująca, choć trudna forma wypowiedzi twórczej. Albumy, które „popełniłem", podzieliłbym na dwa rodzaje. Pierwszy — informacyjny — są to albumy o Lublinie, Krakowie, gdzie staram się spojrzeć własnymi oczyma na miasto. Ale gdy pokazuję swoje fotografie wydawcy, napotykam na duże trudności. Wydawca patrzy na świat zwykle schematycznie, w sposób zrutynizowany. A ja wolałbym robić impresje danego miasta, gdzie nie byłoby może wszystkiego, ale byłoby to pokazane tak, jak ja to widzę.

Drugi typ albumów, to albumy autorskie, poświęcone sztuce fotograficznej, mojej fotografii po prostu. Tutaj też są czasem trudności, na pewno nie wszystkim znane, gdyż nie zawsze można pokazać to, co człowiek by chciał.

Plany? No cóż, jeśli mi zdrowie dopisze, to mam bardzo fascynujący temat. Dramat w przyrodzie — wiatrołomy. Część bardzo ciekawego materiału, który posiadam — znajduje się na łódzkiej wystawie. Jest to autentyczna fotografia, która mówi całą prawdę o przyrodzie. Jestem poza tym zaangażowany w sprawy wydawnicze. Bardzo mnie to interesuje, ponieważ wystawa to coś, co — jak już powiedziałem — przemija, wydawnictwo natomiast trafia do bibliotek, do szerszej publiczności. Zostawia trwały ślad... Dlatego będę nad tym pracował, a mam sporo wydawniczych propozycji.

Rozmawiał: RYSZARD ŁUCYSZYN

ELŻBIETA MARCINKOWSKA

LUSTRO

Lustro
ta jedyna rzecz której odważnie
mogę spojrzeć w oczy
Małym tamponem samotności
spokojnie zmywam twarz
ze wszystkich upiększających kłamstw
a więc usta czerwone od wymyślonych pocałunków
a więc oczy błyszczące od przymilnych spojrzeń
a więc policzki płonące rumieńcem niewinności
Lustro
prawda zraniona przez pięść
uderzającą w obcą moją twarz.

URSZULA ZYBURA

IŚĆ ZA MARZENIEM

„iść za marzeniem
ciągle iść za marzeniem
i tak ewig usque ad finem"

dojść tam
gdzie każdy żal jest zakazany
a wieczność przemija z łagodnością Boga

gdzie prawdziwe wróżki
czynią prawdziwe czary
w prawdziwych bajkach
i prawdziwi biedni
odnajdują prawdziwe skarby

gdzie prawdziwe słońce
światłem prawdziwym obdarza
a prawdziwy słowik
śpiewa prawdziwemu królowi

tam dojść
gdzie ziemia nie skacze człowiekowi
do gardła.

MAREK BRYMORA

* * *

wstając z łóżka codziennie rano
odczuwam przypływ jakiejś nadludzkiej siły
i nieodgadnionej tajemniczej energii
wciągając na nogi skarpetki
postanawiam sobie, że właśnie dzisiaj
zrobię coś wielkiego
udowodnię istnienie nowego kontynentu
albo zostanę królem mogę też
napisać wspaniałą powieść względnie odkryć
coś co nie odkryte
kiedy już w końcu coś wybiorę
robi się wieczór i staję się senny
dobrze że jutro znowu będzie rano

BARBARA NADGÓRSKA

NASZE SERCA KURKI NA KOŚCIELE

Nasze serca kurki na kościele
posłuszne wiatrom
chętnie piją w różne strony świata
Gdy deszcz lunie stoją nieme
drży ich stalowe ciałko
lecz posłuszne wiatrom
obracają i dziobem i kuprem nadal
Nasze serca kurki na kościele
trzymają skrzydła przy sobie
wyprężają na głowie grzebień
Kiedy biją dzwony
na kolejne święto
Błyszczą w słońcu kurki na kościele
a ludzie modlą się głośno.

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

POLE

patrzę jak kapie tam wieczorny krwawnik słońca
słucham kiedy przeciąga się wiatr
koń polny całkiem zielony kiedy przyszarżuje skrzypcami
we wzdęty kamień skrobnie mysz patrzę
pole moje śniadaniowe, obiednie, wieczerzające
pole moje dalekie w każdym spojrzeniu
pole moje przekraczające wyobraźnię w zasięgu
ręki
pole moje dumne syte niemilknące i tajemne
pole moje odkąd jestem kiedy wracam dokąd pójdę
pole moje ptasie i senne nocą jak pustynny piasek
pole moje w starej marynarce najzdrowsze
pole moje cudowne osełkowe i kosiaste nieprzebrane
dlatego wciąż majętne
pole moje kiedy mnie na wierzchu zabraknie.

Przemeblowanie

Właściwie, za dużo powiedziane. Idzie raczej o przestawienie mebli, jeszcze ściślej, o zamianę miejsc: wersalki, biurka i składanego stołu — wszystko na powierzchni czternastu metrów i trzydziestu ośmiu centymetrów, mieszczących dodatkowo i nienaruszalnie biblioteczkę oraz telewizor. Teoretycznie przesunąć jeszcze można lampę stojącą z miniaturowym stoliczkiem na gazety i radio... Człowiek nie może być skazany na te same płaszczyzny, na te same wymiary, nie może być automatem, odmierzającym, wreszcie bezboleśnie, wymach ręki, wychylenie czy podrzut głowy, objętość bioder i tak dalej, potrzebuje przestrzeni, choćby tylko innej. Nie będzie, oczywiście, przesuwał bibliotecznej oszklonej szafy, bo rozbrojenie półek z wielkiej encyklopedii i całego kramu techniki, zawartej w makulaturze, i tych wszystkich słowników wymaga większego zasobu energii. Coś jednak trzeba i da się zmienić. Tylko przymierzyć się najpierw, obmyślić, bo nic przecież gorszego, jak to chaotyczne i w końcu beznadziejne obijanie się po mieszkaniu i przeżuwanie, i trawienie tych wszystkich nastroików, spojrzeń, szeptanek po gabinetach i wreszcie tej awantury na zebraniu. „Tego chamskiego wyskoku" — jak mu na boku dołożył kolega Krawczyk.

Raz kiedyś, pamięta, złapał lepszy oddech, kiedy odkurzył książki, posegregował zdjęcia, przetrzebił korespondencję i prasę — od przedpołudnia, aż po dziennik wieczorny. Dobrze też było iść na cały dzień w pole, na spacer z Joaśką. Wieczorem brał kąpiel i mówił sobie — i w to wierzył — że wszystko, co dotąd, to naprawdę nieważne. Wyświeżony, zasypiał spokojnie, z dobrym postanowieniem, że będzie inaczej. „Inaczej" rozłaziło się od rana, czasem dopiero po paru dniach, pomiędzy burymi waciakami na budowie, rozpiskiwało w błocie, rozmazywało w chichotliwej, lokajsko-dworskiej galanterii na styku władza-koleżeństwo, albo gubiło się samo, plątało w nadmiarze gestów i z dobrawoli wziętych zobowiązań, okupionych spojrzeniami niefrajerów. Niepokoiło jednak, jątrzyło, mobilizowało rywali, gorliwych awansadorów, aż wreszcie całe to „inaczej", z braku przychylności, czy choćby zainteresowania, w zderzeniu z głupotą lub tak zwaną bezinteresowną podłością, robiło generalną klapę. Nie miał już pomysłów, nie miał chęci angażować się bardziej w pracę, próbował to i owo przemycić przy pojednawczej wódce, aż wreszcie przechodził na dłuższy czas na bimbalstwo, dyndalizm zasadniczy — różnie nazywał ten stan, w którym chciał jakoś godnie przetrwać, a który odczuwa się powszechnie, jako niegodny. Ale jego „inaczej" udaje tylko klapę, przymruża tylko ślepia i przycupuje sobie w domu. Czai się znowu, skrobie do mózgu, klei, drąży, nudzi — no w końcu po coś się przecież żyje, więc po co? Więc znowu: bunt przeciw sobie. A teraz już przeciw wszystkim. No, nie... Przeciw wszystkim nie wolno.

Przeciąga się na wersalce, aż stawy trzeszczą i odgina kolejne palce założonych pod głowę rąk i myśli właśnie o tym, że przeciąga się na wersalce, i że odgina palce założonych pod głowę rąk. Jeśli jest się przy drugiej ręce, to znaczy, że nie jest jeszcze tak źle. Jeśli na trzydzieścioro ludzi znajduje się pięciu życzliwych, to nie jest, to raczej nie powinno być źle. „Pięciu chłopców z Albatrosa...". Jak to było? Zaraz, zaraz... Kawałek za kawałkiem, a dopracujemy się refrenu. Jest: pierwszy był chudy, drugi był rudy, a ten trzeci wódę chlał... I pomyśleć, że był to swego czasu bardzo romantyczny kawałek. „Wtem zza morza (jak to „zza"?) ślą sygnały, że „Albatros" wpadł na skały i zatonął wraz z całą załogą swą". Oczywiście: ten czwarty grał w kości, a piąty zadośćuczyniał rymotwórczej tradycji, więc coś tam z miłości, pam param pam pam!

Zerwał się z podrzutem gimnastycznym, ale nie bardzo to wyszło. O krok telewizor, lecz o tej porze na pewno, jak zawsze w niedzielę, wyłączyli prąd. Nawet nie ma co sprawdzać. Tak... Tych naprawdę życzliwych, przyjaznych na serio, może było trzech. Więc wszyscy trzej (a właściwie troje) mieli okazję być wtedy w przytomności, kiedy nie byli, kiedy wetknęli nosy w papiery, a oczy wbili w stół, kiedy pojedyńczo wymykali się cichcem, bojąc się nawet spojrzeć w jego stronę. Był nieprzyjemny — fakt. Od kiedy jednak mówienie prawdy jest sposobem uprzyjemniania żywota? Co zrobić, kiedy nie czuje w sobie tych śliskich, wazelinowych talentów służbowo-towarzyskich i nie dba o przyjemność lub nieprzyjemność zwierzchników, a już najmniej tych, co spuszczają oczka, stylizują się na opuszczone sieroty i pozwalają walczyć o siebie drugim — cholernym awansadorom, obdarzonym perspektywami premijnej łaskawości. Sięgnął do lampy, pstryknął, światła nie było. Przegwizdał jeszcze parę razy tych pięciu z „Albatrosa", ale więcej tekstu nie dobył.

TERESA LECHOWSKA

ŻWIREK

Siwe swoje, jakże wzruszające włosy tamten ręką publicznie pokazywał i jego też — młokosa, który wstyd mu czynił, a przecież tamten ojcem mógłby mu bez mała być i to ojcem z orderami, a orderów za nic nie dają. Teraz nowe ma dostać, a tu taki mu wstyd...

„Nie takie odznaczenia wędrowały do paki". Ale nie powiedział mu tego, bo nie idzie ani o ordery, ani o pakę, tylko zwyczajnie, po prostu, czy jak osądził kolega Krawczyk: po chamsku, o odpowiedź na konkretne pytanie — o pięć wagonów żwirku. Byłych wagonów, byłego żwirku, co wzięły i zniknęły niczym kamfora. „Ach wstyd, kolego, doprawdy wstyd — modulowała głos jedna z „sierot" — żeby człowieka tuż przed urlopem i, jak wiemy, chorego na wątrobę oraz nie tylko, żeby człowieka, co taki zawsze dla nas, jak ojciec, przy tylu świadkach stawiać w dwuznacznej sytuacji. Ja powiem jedno: niech każdy pilnuje swojego zadania, a zwierzchnik niech robi swoje...".

Owszem, przygwoździł go i wcale nie żałuje. On malowanym przewodniczącym ZSMP, jak poprzednik jego, nie będzie. I w krótkich majtkach aż po czterdziestkę, jak to niektórzy, też chodził nie będzie. Nie. Nie żałuje. A kiedy jest w ogóle czas na pytania? Na z góry zaprojektowanych ogólnych zebraniach? Bo na ściślejszych... Raz jednego boli wątroba, drugi zastępca ręką podtrzymuje serce, że to niby „pogoda fatalna, daj dziś, kochany, spokój", kierownik wciąż śpieszy się do karmienia, a pomiędzy tymi aktami piją, jak cholera, czyli robi się dobrą, międzyludzką atmosferę: albo imieniny kolegi, albo alleluja, albo wychylenie opłatka, albo nie ma czasu, albo nie wypada. No to z niego właśnie jest cham. Rąbnął. Kropa. I bimba sobie. Zrobi teraz porządki, wykąpie się i nie pójdzie na brydża. Poczyta. „Sprawy Polaków", leżą już dwa miesiące. Przy kartach na pewno puściliby parę z ust. Już ich widzi. Są, oczywiście, przejęci bezkompromisowością jego postawy, nawet utwierdzą go, podbuntują, ale jutro nabiorą wody w usta. Nie ma po co iść. Mogą też omijać temat, jakby się nic nie stało. Nie. Zostaje w domu. Ma co robić. Nie znudzi mu się. Koniec z brydżami i koniec z piciem.

Kwestia tylko, czy tak od razu, z miejsca, z wszystkimi zrywać? To nie byłoby dyplomatyczne, a dyplomatyczne, wiadomo: mądre. Nie można. Co to znaczy nie można? Trzeba. Nie, trzeba od siebie zacząć, siebie umocnić, ale już nie po to, żeby tę sprawę żwirku odełgać. Nie ma głupich. Siebie umocnić dla siebie. W czym umocnić? W tym, co czuje teraz? To przede wszystkim pogarda. No ładnie, ładnie... Pogarda, bo sam, oczywiście, wybraniutki jest, jedyny sprawiedliwy, uczciwy, mądry, szlachetny... No, no, powolutku, bez przesadyzmu. On tu szydzi z siebie, a tamci robią to samo. Też z niego szydzą. Za dużo naraz szczęścia. Znieczulić się. Uobojętnić. Uodpornić.

Wyciągnął z biblioteczki butelkę koniaku. No! rozluźnić się trzeba, rozluźnić. Zapalił klubowego i ułożył się na wersalce. Co tu właściwie można zmienić? W gruncie rzeczy, czy znajdzie się lepsze miejsce na biurko niż ten właśnie kąt? Przyparte dwoma brzegami do ściany — to ma swój sens. Cały bałagan trzyma się blatu, nie da się zepchnąć poza. Wyciągnie rękę — popielniczka, wygoda. Właściwie, powinien rzucić palenie, albo palić mniej. Popielniczkę można wyjąć, ale uchwyt wkręcony w ścianę, w drewniane kołki — sam je własnoręcznie dziurawił, gipsował, zabijał, malował — co zrobić z takim uchwytem? Podniósł się, podszedł do biurka, pociągnął za wsporniczek. Nie da rady. Mocno siedzi. Można i drugi kieliszek. Chlapnął, nie wypił, wyciągnął z lodówki plaster żółtego sera, pożuł, pożuł, przeszedł do łazienki, wypluł i spuścił wodę. Usiadł w rogu wersalki i po przekątnej przyglądał się głównej fortecy. Gdy obrócić biurko o jakieś 180 stopni i fotel umieścić po przeciwnej stronie, to uchwyt z popielniczką znajdowałby się w idiotycznym położeniu: pod prawą łopatką lub w najlepszym wypadku pod prawą pachą, z boku. To wszystko ustawiane jednak było z głową. Przez parę lat, bez przypadkowych pomysłów, dobierane, smakowane w wyobraźni po setki razy tym oto wysłużonym liniałem, w czym znakomicie pomagały braki w zaopatrzeniu i anemia portfela. Więc z tego rogu ruszyć się nic nie da.

Zaciągnął sznur na szlafroku i położył się wygodniej. Przesunął bliżej butelkę, sięgnął na pamięć po papierosy. Najlepsza rzecz, odczepić myśli od tamtych spraw zupełnie. Warto kupić bonżurkę, krawaty mu też wyliniały. W ogóle trzeba się za siebie wziąć. Cóż to, poza nimi świata nie widać? Praca musi się kończyć o szesnastej. Potem trzeba mieć inny, własny rachunek, no właśnie po to, żeby od jutra zacząć dobrze, na świeżo pracować. I najlepiej odtąd dotąd. Tak... Dzisiaj jest o wiele mądrzejszy. Puszcza sobie dymek kółko za kółkiem i w porządku. Relaks. Przede wszystkim psychiczny. Luz. Dobrze by było zmienić całe mieszkanie, obeszłoby się bez tego przestawiania z kąta w kąt, ale przyjdzie i na to czas, przyjdzie. Niech tylko Joaśka skończy to swoje stypendium i wróci...

Człowiek potrzebuje przestrzeni, nie może żyć w powijakach, od chwili, gdy z niemołectwa wyrasta. Zresztą zdrowe niemowle, hodowane mądrze, też ma energię, fika nogami, jak chce, przewraca się na brzuch, przekręca na boki, może założyć nogę nie tylko na nogę, ale nawet za kark, nawet ugryźć się w piętę. I to, co dorośli w myślach aplikują od czasu do czasu bliźnim, wypina bez żenady. Pocałujcie mnie... Człowiek dorosły, a przecież też czasami pragnie zupełnie infantylnej cielesnej swobody, tak jak pies pragnie nagle wytarzać się w pierwszym śniegu. Wyleźć z uniformów, poruszać się swobodnie i byle jak, bez świadomości kontrolno-taksujących spojrzeń. Jest w człowieku sporo zwierzęcia, tego fizycznego ciała, krępowanego dotkliwie zarówno przez koszulę organizacyjną z czerwonym krawatem, przez garniturek o smokingowym kroju (wszak coraz modniej bywać na balach), jak i przez dżinsy nadbudowane równie odmładzającym pulowerem. W tej chwili jest na pełnym luzie. Swobodny. Urzęduje w kąpielowym węgierskim szlafroku, sięga sobie po następny koniaczek, bo właśnie na to ma ochotę, właśnie sam. Jest u siebie. Nie krępuje go nikt i nic. Pełny relaks. Podpiera sobie głowę, leżąc na boczku i rozwiązuje nielatwe zadania: ile razy można przeturlać się na dywanie pomiędzy wersalką, a tak zwaną biblioteczką? Cztery razy: plecy, brzuch, plecy, brzuch i — koniec. Ale musi to robić jak krokiet, czy jakiś rulon, bo gdyby chciał tak naprawdę rozwalić się i ukośnie wierzgnąć nogami, choćby w przewrotce, to zderzy się z biurkiem, stołem lub trzaśnie w stoliczek z kolekcją miniaturowych kaktusów, nie mówiąc już o sprzętach... Źle. O meblach. Kto dziś mówi o sprzętach? Sprzęty mają tylko jeszcze dziadkowie. A więc zadajmy sobie ten trud i skończmy zdanie: nie mówiąc już o meblach wymierzonych, jako początek i koniec żywiołowej przewrotki. Czy przyznałby się komukolwiek do takiej ochoty? Ochoty cokolwiek już po tych kieliszkach rozlazłej...

Właściwie to nie boli go to, co powiedzieli mu na zebraniu, tylko to, jak oni mówili, że tak patrzyli od razu na efekt: podoba się, co mówią, czy się nie podoba... I butnie walili dalej, gdy widzieli, że ten najważniejszy marszczy brwi i potakuje głową, i hamowali się, gdy marszczył brwi i przebierał palcami po stole. Lizodupy, panowie, i tyle. W taki sposób więcej robi się prawd niż ludzi. Średnio dwa poglądy na jednego stylistycznego obywatela. Stop. Czerwone światło. Wyłącznik. Nie jest w pracy, jest tu. Zapali teraz następną fajeczkę i z perspektywy importowanej wersalki, przy dźwiękach muzyki z tranzystorowego odbiorniczka rozpatrzy dalsze możliwości przemeblowania.

Mieszkanie ciaśniutkie jest, ale pomyślane dla myślącego człowieka. Dorosły człowiek, to nie jest źrebak, który znienacka bryknie, bo coś mu strzeli nagle do łba i w kopyta. Niezależnie od tego warto już, choćby od zaraz, zaaplikować sobie systematyczną, umiarkowaną gimnastykę, jakieś obrotowe ćwiczenia w przysiadach, to na pewno dobrze oddziałuje na system nerwowy, na charakter. Za powściągliwym gestem nie chluśnie gwałtowne słowo, tylko że nie trzeba snuć rozmyślań z papierosem między zębami, ale działać. Działać. Zorganizować na przykład klub byłych juniorów, albo klub młodych seniorów. Albo zapisać się do jakiejś sportowej sekcji przy tekakaefie, kupić majtki z koszulką i „w określonej dyscyplinie sycić potrzebę ruchu i świeżego powietrza". Tak to ślicznie określił zakładowy stylista, kolega Krawczyk, na stosownym związkowym zebraniu. Co, oczywiście, zostało zaprotokołowane i wszyscy sobie bardzo tych protokołów gratulowali. Ale pieniędzy na siłownię nie dali i prędko nie dadzą.

Znowu wpada w ten cholerny pacierz, jak gdyby jeszcze nie pojął, że wszystko, co zależy od niego, mieści się tylko w ścianach jego własnego pokoju. I tu jedynie może sobie zmieniać rzeczy, poprawiać, przesuwać, przestawiać, może sobie rozwiązać i zawiązać sznur od szlafroka, złożyć i rozłożyć cepeliowski stół, może wreszcie wyciągnąć to cholerne biurko z rogu, nie wbijać oczu w ścianę, lecz wziąć się do jakiejś sensownej roboty. Przestawi — będzie miał przed oczami okno, trochę prywatnej przestrzeni; wczoraj znowu rozbił klamkę o łokieć, czy tam łokieć o klamkę, a dziś zalał przedpokój prysznicem. No, oczywiście, że tych wypadków na przyszłość nie odwróci, ale mu chociaż miła będzie bezpieczność siedziska, gdy za plecami znajdzie ścianę. Tylko co z popielniczką? Popielniczkę można wyjąć, ale uchwyt wkręcony w kołki — sam własnoręcznie dziurawił, zabijał, gipsował, malował — co zrobić z tym uchwytem? Nawet nie ma się co do niego podnosić, próbował, ciągnął, nie daje rady... Ten ostatni kieliszek nie jest już taki smaczny. W lodówce są jeszcze sardynki, ale blacha pancerna na pewno, nie chce mu się otwierać. Nic mu się nie chce, nareszcie. No tak, jak by mu się tam tak nie chciało, to wreszcie miałby spokój, a tak to...

No nie! Sięgnął po butelkę: to będzie ostatni i jednak... niech się dzieje co chce. Pójdzie jutro na całość i tego żwirku nie podaruje...

LITERATURA I KOKIETERIA

W Niebieskiej Kartce zatytułowanej „Wczoraj w Warszawie — I", Adolf Rudnicki napisał: „Literatura przestała być Bogiem, lecz jaki Bóg ją zastąpił?". Od przypomnienia tego zdania rozpoczynam recenzję nowego tomu prozy autora „Pięknej sztuki pisania", wyjątkowo trafnie bowiem zdaje się ono ujmować istotę pisarstwa Adolfa Rudnickiego. Literatura wspaniałych fabuł, wielkiego realizmu, pokrętnego kreacjonizmu, literatura „przeklętych problemów" nie istnieje dlań — wszystko co pisze jest prywatnym wyznaniem, osobistym zapisem, refleksją wysnutą przez konkretną osobę. W prozie Adolfa Rudnickiego obowiązuje zasada „hic et nunc", ale przede wszystkim uwidacznia się pisarskie „ego". Narcyzm — to chyba właściwe, nie przesadzone określenie pisarskiej postawy Adolfa Rudnickiego. Owo zapatrzenie w siebie powoduje, iż jedynym środkiem wyrazu są formy krótkie: opowiadania, eseje, felietony. Nie chciałbym zostać opacznie zrozumiany: autor „Zabawy ludowej" nie jest zapatrzony we własny pępek, nie tworzy własnej apologii, on tylko musi zawsze podkreślać, iż to, czego ślad pozostaje na papierze, dotyczy zawsze (choć nie zawsze bezpośrednio) j e g o, Adolfa Rudnickiego. Nawet jeśli uogólnia, jeśli pozornie pisze o innych.

Adolf Rudnicki jest pisarzem o pokaźnym dorobku, dwukrotnym laureatem nagród państwowych. Zadebiutował bardzo wcześnie: jako dwudziestolatek opublikował w 1932 roku „Szczury". Przed wybuchem wojny zdążył wydać jeszcze cztery tomy prozy. W książkach powojennych dominują stałe problemy: martyrologia Żydów, wspomnienia młodości oraz refleksje o miejscu kultury we współczesnym świecie. Sprawom tym Rudnicki pozostał wierny w „Zabawie ludowej".

Tym razem najwięcej tu skargi na przemijanie czasu, świadome, dostojne, lecz bolesne i wywołujące żal. Przemijanie, którego nie zrekompensuje coraz bardziej wnikliwe wczestnictwo w świecie kultury. Kontrast między młodością a — powiedzmy — dojrzałością jest wyrazisty, lecz przecież nie jedyny. Kontrasty dostrzega pisarz co krok i rejestruje je w sposób bardzo obrazowy. Oto przykład: „Co za zdumiewające miejsce! Za ścianą kościoła Wizytek, ksiądz Jan Twardowski pisze wiersze, po drugiej stronie w «Bristolu» kurwy tańczą z twardymi dewizowcami budząc niepokój czy zazdrość uczciwych kobiet, naprzeciwko kiedyś mieścił się sztab, trochę dalej stał Sobór, a dzisiaj masz tam resztki Grobu Nieznanego Żołnierza...". No cóż, tempora mutantur et nos mutamur in illis. Zmieniają się czasy i my wraz z nimi się zmieniamy. Zmienia się i Adolf Rudnicki. Niezmienne pozostaje jego pisarstwo.

Autor „Zabawy ludowej" uskarża się nie tylko na bezlitosny czas. Poskarżył się mimochodem na krytyków, którzy nie potrafili go zrozumieć, wypisując — jak powiada — przeważnie głupstwa. Jeśli jest tak w rzeczy samej, to wina będzie trudna do ustalenia. Kto wie, czy nie zawinił tu w pewnej mierze i autor, niezwykle skłonny do intelektualnej k o k i e t e r i i (tak wyraził się o „Zabawie ludowej" Jerzy Andrzejewski, z którym kontakty Adolf Rudnicki chętnie wspomina). To właśnie owa kokieteria powoduje, że celną i głęboką refleksję potrafi przytłumić banał i ckliwość. Jest więc to twórczość — jak większość przecież utworów konfesyjnych — nierówna tym bardziej, że tak chętnie bazuje na spontanicznym zapisie, na aluzji nie zawsze w sposób dostateczny znanej czytelnikowi.

Nie lubię czepiać się drobiazgów, lecz jedna rzecz wymaga sprostowania. Otóż pomyłkowo użyte zostało niemieckie słowo „Lesebuch" zamiast „Lesedrama". Sprawa o tyle istotna, że pierwsze słowo znaczy „wypisy, czytanki", zaś drugie oznacza „dramat do czytania", czyli po prostu sztukę niesceniczną.

Kokieteria prozy Adolfa Rudnickiego przypomina kokieterię kobiet, bo taka ich potrzeba bez względu na urodę. O ile z wyborem kobiet mogą być trudności, o tyle w mnogości krótkich form zawartych w „Zabawie ludowej" czytelnik może swobodnie wybierać według własnego gustu.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Adolf Rudnicki, Zabawa ludowa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979, nakład 10 000 + 290 egz., s. 184, cena zł 22.

AKTUALNE TENDENCJE SZTUKI JAPOŃSKIEJ

Termin sztuka japońska kojarzy się z zespołem form i znaczeń nie zawsze w pełni zrozumiałych dla europejskiego odbiorcy. Zaprezentowana w kwietniu przez Muzeum Sztuki w Łodzi wystawa „Aktualne tendencje sztuki japońskiej" stała się ciekawym przyczynkiem do konfrontacji naszych wyobrażeń na temat współczesnej kultury Japonii, a także, w szerszym kontekście, obrazu współczesnej plastyki światowej.

Eksponowana wystawa była plonem konkursu — „Festiwal Sztuki Japońskiej 1979", organizowanego co roku w Osace, na który wpłynęło 816 prac; spośród nich wybrano i zakwalifikowano do pokazu 58, oglądanych w Muzeum Sztuki.

Cechą charakterystyczną całego pokazu był brak owej bariery nieczytelnych znaków, niezrozumiałych wątków znaczeniowych, przed którymi stawaliśmy nie umiejąc znaleźć klucza. Zaprezentowane prace wyróżniała czytelność i przystawalność do naszej europejskiej mentalności, zbieżność z aktualnymi tendencjami sztuki kręgu kultury europejskiej. Narzuca się ryzykowne stwierdzenie, że sztuka współczesnej Japonii znajduje się pod dużym wpływem sztuki zachodniej. Tak oczywiście nie jest. Jak wynika z wypowiedzi japońskiego krytyka sztuki **Yusuke Nakahary**, w sztuce Japonii od ponad stu lat istnieją dwie tendencje — sztuka tradycyjna i sztuka wyrosła na bazie tradycji i zasymilowanych tendencji kultury europejskiej. Sztuka tradycyjna nie ulega prawie żadnym przemianom, natomiast sztuka „zasymilowana" reaguje na wszystkie problemy współczesne. Pamiętać też należy o relacji odwrotnej, polegającej na coraz lepszej znajomości w kręgu kultury europejskiej zagadnień kultury Japonii i związkach, jakie zachodzą pomiędzy obu kulturami — wschodu i zachodu. Dlatego właśnie prace, które na obecnej wystawie były przykładami dzieł wyrosłych z tradycji i źródło swoje miały w zupełnie odmiennej psychice ludzi wschodu, były czytelne i pozbawione aury niezwykłości. Jako przykład może posłużyć Rysunek woda" (zawieszone pod katem pojemniki częściowo napełnione wodą) **Ryo Hondy**, rodzący asocjacje z buddyzmem Zen, ale jednocześnie będący dla europejskiego odbiorcy propozycją nowego środka wypowiedzi w obrębie zagadnień otaczającego świata przyrody i praw naturalnych, które nią kierują. Fotograficzna rejestracja kolejnych aktów kontemplacji tego samego człowieka w różnych miejscach — „Płaszczyznowa kombinacja zdarzeń" **Toshinori Saito** — uświadamia nam brak możliwości ukazania za pomocą realistycznego obrazowania psychicznych przeżyć postaci mimo, że dla Japończyka praca ta będzie przez ukazane za pomocą obiektywu miejsca i znaki o wiele bardziej czytelna niż dla nas, którzy jesteśmy zdolni zrozumieć jedynie wagę kontemplacji w całokształcie kultury wschodu.

Wspomniane powyżej prace wyjątkowo trafnie ukazują klucz do innego zagadnienia jakie prezentuje omawiana wystawa. Chodzi mianowicie o analizę języka współczesnego dzieła sztuki. I w tym miejscu dochodzimy do problemu, który łączy w zasadniczy sposób wystawę japońską, a tym samym należy rozumieć całą sztukę najnowszą Japonii, ze sztuką innych krajów. Najogólniej, najważniejszym zagadnieniem współczesnej sztuki jest analiza olbrzymiej ilości środków wypowiedzi artystycznej jakie powstały w latach sześćdziesiątych i na początku lat siedemdziesiątych, próba zakreślenia ram dla poszczególnych dziedzin zainteresowania i aktywności artystów. Można wyróżnić trzy jak gdyby podstawowe typy tych zakresów, a co za tym idzie trzy tendencje współczesnych działań artystycznych.

Jedna dotyczy samego obrazu jako tworu autonomicznego, jego budowy płaszczyznowej, przestrzennej i kolorystycznej. Spośród wielu zaprezentowanych na wystawie prac mieszczących się w tym nurcie na uwagę zasługują prace **Hiroshi Kurokawy, Akio Kawaki, Eiji Okubo** najbardziej jednak konsekwentne w obranej metodzie realizacji określonego zagadnienia wydają się obrazy **Akira Matsumoto** — twórcy znanego już łódzkiej publiczności z licznych pokazów jego prac graficznych. Poddaje on na obrazie permutacji określone liczbowo ciągi kolorów i tym sposobem wyznacza ostateczną strukturę kolorystyczną obrazu.

Druga tendencja dotyczy określenia możliwości przekazu „literackiego" za pomocą obrazu plastycznego. Najbardziej adekwatnym środkiem okazuje się fotografia, i to fotografia będąca nie tylko wiernym, suchym zarejestrowaniem obrazu, jak to ma miejsce w przypadku wspomnianego już **Toshinori Saito**, ale poddana dodatkowym zabiegom, jak na przykład deformacji w przypadku prac **Taniguchi Shigeru.**

I wreszcie trzecia z rysujących się tendencji, a mianowicie próba odtworzenia rzeczywistości, realizowana środkami plastycznymi. Najbardziej precyzyjne w tym względzie jest malarstwo typu hiperrealistycznego, reprezentowane na wystawie pracami **Yoshimury Yoshio** i **Chikako Suzuki,** które metodą fotograficznego, obiektywnego kadru, iluzjonistycznej dosłowności, jest w stanie dać wierny obraz, a malarską czy graficzną materią przekazać nawet najbardziej zmysłowe wartości obojętnych z pozoru elementów otaczającego świata.

Zarysowane powyżej tendencje nie wyczerpują i nie ujmują wszystkich aktualnych aspektów współczesnej plastyki, zarówno japońskiej, prezentowanej w Muzeum Sztuki w Łodzi, ani tym bardziej światowej, ale pozwalają zorientować się w ogólnym nurcie zmierzającym do stworzenia kryteriów kwalifikujących dany wytwór w poczet dzieł sztuki. I jest to tendencja wspólna dla całej współczesnej właściwie plastyki, bez względu na swoje pochodzenie, choć istnieją oczywiście między poszczególnymi krajami różnice lokalne, które właśnie pozwalają artystom wprowadzać nowe aspekty tych samych wspólnych zagadnień do ogólnego, obecnie już ogólnoświatowego dorobku kulturalnego.

JANUSZ GŁOWACKI

Taniguchi Shigeru „Portret".

REFORMA CZY REWOLUCJA

Niezbyt często zdarza mi się pisać na tym miejscu o nowej książce łódzkiego historyka w słowach jednoznacznie pochlebnych. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że nasz ośrodek historyczny przeżywa od pewnego czasu pewien kryzys — niezależnie od tego, czy się temu będzie zaprzeczać, czy nie — w związku z tym książek łódzkich historyków, które stałyby się ewenementem w skali krajowej, jak i w ogóle pisanych przez nich książek, nie jest znowu aż tak bardzo wiele. Z tym większym zadowoleniem trzeba powitać pojawienie się książki rzeczywiście wybitnej, która wyszła spod pióra łódzkiego autora i została opublikowana — w sposób znakomity — przez łódzką oficynę wydawniczą. Jest nią obszerna rzecz pióra Aliny B a r s z c z e w s k ' e j - K r u p y zatytułowana *Reforma czy rewolucja. Koncepcje przekształcenia społeczeństwa polskiego w myśli politycznej Wielkiej Emigracji 1832 — —1863, (Łódź 1979)* monografia poświęcona zagadnieniu wizji przyszłej Polski w myśli politycznej polistopadowego wychodźstwa we Francji i częściowo poza jej granicami.

Jako swe zadanie badawcze autorka określiła *„prześledzenie tych wątków założeń programowych, które poszczególne ugrupowania polityczne uznały za szczególnie przydatne dla intelektualnego i emocjonalnego przygotowania społeczeństwa na drodze do realizacji własnych wizji ustrojowych, społecznych i politycznych odrodzonej Polski. Przedmiotem poszukiwań* — ciągnie dalej Alina Barszczewska-Krupa — *są więc mechanizmy społeczne i psychologiczne motywacji twórców koncepcji przekształcenia społeczeństwa polskiego, funkcjonujące w świadomości i poza ich świadomością, ewolucje postaw i zachowań determinowane rozmaitymi konfiguracjami czynników społecznych, politycznych oraz ideowych".* Takie postawienie problematyki ma swoje ogólniejsze naukowe uwarunkowania i wiąże się — jak to sądzę po lekturze całości monografii — z głębszymi przemyśleniami autorki nad mechanizmami funkcjonowania ideologii i myśli politycznej w życiu społecznym. Do niedawna — a dla niektórych historyków do dziś — wielu uważało, że do pełnego wyjaśnienia jakiegoś wątku refleksji politycznej wystarczy, jeśli możliwie wszechstronnie zbadamy jego genezę: uwarunkowania społeczno-ekonomiczne i polityczne, które go zrodziły. Rzecz jednak w tym, że geneza — tak ukochana przez historyków — nie określa jeszcze, a w każdym razie nie czyni tego w zupełności, funkcji danej myśli czy koncepcji w konkretnej rzeczywistości. Oczywiście, wielu zdawało sobie z tego sprawę, ale mimo że powtarzano po wielekroć mądre sformułowania Ludwika Krzywickiego o *„wędrówce idei"*, bardzo rzadko starano się zgłębić tę stronę zjawiska. Miało to określone znaczenie również i dla badań nad dziejami myśli politycznej, nie tylko Wielkiej Emigracji. Napisano bowiem niezmiernie wiele o powstawaniu takich bądź innych koncepcji i poglądów politycznych, nierównie mniej jednak o tym, jaka była ich rzeczywista rola w życiu społeczno-politycznym, powiedziano mnóstwo słów na temat, jakie układy znalazły w nich swoje odzwierciedlenie, znacznie mniej wszakże o tym, jakie było oddziaływanie owych koncepcji na ludzkie zachowania się, postawy i wybory.

Dopiero w ostatnich latach zarówno w literaturze filozoficznej, jak w piśmiennictwie historycznym poczęto zwracać baczniejszą aniżeli dawniej uwagę na kompleks problematyki, określany terminem *„subiektywnej strony"* procesu dziejowego. Najwięcej powiedzieli o tym — jak dotąd — filozofowie i metodologowie, w tym również specjaliści, zajmujący się metodologią historii. Wciąż jednak stosunkowo niewielki udział mają w tych dyskusjach historycy „praktycy", badający konkretną dziejową rzeczywistość w określonym czasie i miejscu. Z pewnością istnieje potrzeba historycznej, pogłębionej, opartej o precyzyjny i wszechstronny naukowy warsztat, weryfikacji ogólnych inspiracji metodologicznych i to zarówno na obszarze badań historycznych, jak i innym. Ma to, jak sądzę, szczególnie istotne znaczenie dla badań nad dziejami polskiej myśli politycznej, w których zbyt często gubiono ciągłość refleksji, akcentując przesadnie — w związku z przyjętą perspektywą metodologiczną — zrywanie z nią, przewartościowania. A przecież kontynuacje i dyskontynuacje stanowią w rzeczywistości dialektyczną jedność tego samego, całościowo rozumianego procesu!

Zawężona perspektywa metodologiczna prowadziła w dawniejszych badaniach z historii naszej myśli politycznej do zapoznania nad wyraz ważnej problematyki, którą można by określić mianem prognozowania politycznego. Ten kompleks zagadnień ma dla nas szczególnie doniosłe znaczenie. Nasza nowożytna myśl polityczna rozwijała się w warunkach rozbiorów, stąd każda refleksja nad tym, jaka winna być Polska, była rozważaniem i prognozowaniem jej przyszłego kształtu, jako że teraźniejszego — wobec braku państwowości — nie było. Nie dokonaliśmy jeszcze obrachunku z dorobkiem minionych pokoleń, co się tyczy owego politycznego prognozowania. Nie zbadaliśmy — co wydaje się najważniejsze — tego, co z tych różnych prognoz i przewidywań miało i jakie ma znaczenie dla dalszego rozwoju życia społecznego i politycznego dla walki o wyzwolenie społeczne i polityczne. Nie zbadaliśmy nawet — choć czynimy już starania w tym względzie — rozwoju tego wątku myśli politycznej, który różnie w rozmaitych okresach naszej historii prognozował Polskę sprawiedliwości społecznej, a więc wątku, który stanowi — można by rzec — bezpośrednią tradycję naszej współczesnej rzeczywistości.

Trudno wymagać, aby wszystko można było zrobić od razu. Potrzeba nam więc i ogólnych, nowych przemyśleń, i nowocześnie ujętych, opartych na poważnej podstawie źródłowej monografii takich właśnie, jaką dla okresu Wielkiej Emigracji dała nam Alina Barszczewska-Krupa. Potrzeba wreszcie, aby nowa problematyka znajdowała życzliwe przyjęcie u wydawców którzy bardzo często są wyraźnie spóźnieni, jeśli chodzi o reagowanie na nowe nurty poszukiwań naukowych, woląc jeszcze jedno dzieło ujęte tradycyjnie, aniżeli inaczej. Tym większa zasługa Wydawnictwa Łódzkiego, które nie tylko ogłosiło tę książkę, ale opublikowało ją w rzeczywiście wzorowej szacie edytorskiej.

ANDRZEJ F. GRABSKI

VADIM I JEGO GWIAZDY

Mniemać należy, że fala kobiecego tematu, przetoczywszy się przez ekrany naszych kin w okresie Konfrontacji i Tygodnia Krytyki Filmowej, uzupełniona w międzyczasie „Julią" i „Kobietą pod presją", nie znudziła się jeszcze naszej publiczności, skoro tytuł filmu — „WIERNA ŻONA" — jest w stanie przyciągnąć do kina. Chyba że nie tytuł, lecz firma to czyni, czyli nazwisko Rogera Vadima, reżysera, któremu przyznać należy miano prekursora erotycznego kina. Prawda zapewne jest jednak taka, że, jak zwykle, siła reklamy to informacja nie zorganizowana, niosąca szybko wieść o tym, iż „Wierna żona" zawiera „momenty".

Powracając jednak do pionierskiej działalności Vadima, warto wspomnieć, jak wiele w ciągu ostatnich dwóch dziesiątków lat, a więc i w powszechnych obyczajach się zmieniło, skoro otoczony w roku 1956 skandalizującą atmosferą film Vadima „I Bóg stworzył kobietę..." okazał się przed dwoma laty, w czasie swej polskiej... telewizyjnej premiery, bez mała opowieścią dla dorastających panienek.

„Historycznie" postać Rogera Vadima widząc, pamiętać jednak warto, iż jego wkład w nowofalowe przeobrażenia kina polegał właśnie, i właściwie wyłącznie, na łamaniu obyczajowych ekranowych tabu, a dziejom popularnego kina przydał postać największej powojennej gwiazdy europejskiego kina — Brigitte Bardot, uosobienie owych obyczajowych rewolucji. Roger Vadim stworzył B.B., a to już zasługa nie do zapomnienia.

Jako żona i jako główna aktorka, następczynią Brigitte Bardot została Jane Fonda, grając w takich filmach Vadima jak: „Barbarella", „Zdobycz" i w jednej z nowel filmu „Opowieści niesamowite" (dwie inne reżyserowali: Federico Fellini i Louis Melle). Roger Vadim, kreator kobiecego sex-appealu, tym razem trafił jednak nie tylko na wspaniałą dziewczynę, ale i znakomitą aktorkę, która szybko zerwawszy z vadimową koncepcją swej osobowości, począwszy od filmu „Czyż nie zabija się konie" Pollacka po „Julie" Zienemana, zachwyca świat rozmaitością swych wielkich kreacji.

Miał jednak Roger Vadim szczęście do znakomitych i pięknych kobiet, w jego filmach grały, m. in. Jeanne Moreau, Annie Gierardot, Catherine Denevue. Widać kusił ten mistrz komercjonalnego kina niejedną wielkość ekranową i niejedną gwiazdę, które wiedziały, że mogą być pewne, iż ich kobiecość rozkwitnie na ekranie, gdy za kamerą stanie ów libertyn obyczajów.

„Wierna żona" dowodzi, że skusił też Roger Vadim najbardziej „amoralną" gwiazdę współczesnego kina, czyli Sylvię Kristel, bohaterkę najbardziej skandalicznego (jak długo?) filmu naszych czasów — „Emanuelle". Nie dał jej Vadim w swym filmie zbyt wielu szans, ale pewną orientację w cielesnych urokach pani Kristel widzowie nasi zdobędą. Nie wiem jednak, czy satysfakcja ta zrównoważy okrutną lichotę całości, najnowszego przedsięwzięcia Rogera Vadima, jako że wydaje się, iż osiągnął nim kraniec drogi, którą kroczył, staczając się coraz niżej po pochyłej równi komercjalizmu.

Tak dla samych studiów warto sobie postawić tu pytanie — co dalej? Pytanie to nasuwa się tym bardziej, że realizując „Wierną żonę" powrócił Roger Vadim do filmu, który zamykał pierwszy, dobry okres jego twórczości, nie zapowiadający jeszcze takich mielizn komercjalizmu, na których osiadł rychło potem. Myślę tu o „Niebezpiecznych związkach", zrealizowanych w 1959 roku według pomysłu odnalezionego w XVIII-wiecznej powieści Pierre'a Choderlos de Laclos, w którym to filmie grali Jeanne Moreau i niezapomniany Gerard Philipe.

Tak, jak ongi „Niebezpiecznymi związkami", tak i „Wierną żoną", dyskontuje Roger Vadim atrakcyjność amoralnej atmosfery dzieła Choderlos de Laclos. W pierwszym swym filmie uczynił to uwspółcześniając temat. W drugim nie przywołuje formalnie pamięci książki, lecz wykorzystuje ją, tworząc nowy scenariusz w sposób dość cyniczny. Romans pięknej a wiernej, oczywiście do czasu, mężatki z libertyńskim uwodzicielem, towarzyszące mu intrygi, w których listy, tak jak u de Laclos, pełnią funkcje główną, nieco tylko późniejszy czas akcji, typy bohaterów i cała atmosfera wzięte są z „Niebezpiecznych związków", książki, po którą sięga się na półkę klasyków. Ekranowa realizacja tego kostiumowego romansu jest jednak tak ciężka i kiczowata, że nie ratują jej nawet wspomniane „momenty".

Nakręcił kiedyś Roger Vadim film pt. „Odpoczynek wojownika". Nawiązując li tylko do jego tytułu, warto tu westchnąć, by odpoczynek ten nie trwał zbyt długo, by nam się Vadim znów wojowniczo usposobił i odkrył nową, wspaniałą dziewczynę, bez której na ekranie smutno. A podejrzewam, że Sylvia Kristel to nie to.

EWA NURCZYŃSKA

POTRZEBA IMPULSU

Telewizja jest taka, jaka jest rzeczywistość. Rytm tej rzeczywistości, dzianie się, codzienny tok wydarzeń kształtuje program tv bez względu na to, czy redaktorzy mają nowe pomysły, czy też z nostalgią rozpamiętują dawne sukcesy. Przynajmniej powinien kształtować, bo jedynie ów rytm jest w stanie wytrącić telewizję z inercji codziennego schematu: „Obiektyw", Dziennik, program dla dzieci, coś tam, dobranocka, „Wieczór z dziennikiem", film, coś tam, coś tam, Dziennik. To „coś tam" ma różne nazwania i różne formuły czasem lepsze, czasem gorsze. I trudno wymagać abyśmy każdego popołudnio-wieczoru byli ekscytowani ciągłym igrzyskiem ewenementów. Telewizja jest jak gazeta: tu przeczytasz tytuł, tam zagłębisz się w dłuższy artykuł, o czymś zostaniesz poinformowany, zirytujesz się na felietonistę, coś przeoczysz. I podobnie jak gazeta, telewizja tworzy swoje treści przez działanie dwóch uzupełniających się procesów: z jednej strony stara się dokonywać zapisu zewnętrznych realiów, z drugiej, tworzyć własne, samoistne wartości. Kiedy piszę o realiach, mam na myśli zarówno wodowanie kolejnego kontenerowca, brak „Klubowych" (ostatnio są), wizytę Vance'a na Bliskim Wschodzie, jak i premierę w teatrze Dejmka, nową książkę Putramenta czy realizację filmu. Jednym słowem wszystko.

Tej funkcji obserwatora i komentatora nie może spełniać tylko „Wieczór z dziennikiem", który od dłuższego czasu stał się esencją całodziennego programu tv. Inne programy publicystyczne zdają się rozprowadzać tę esencję w potoku słów i dyskusji. Nie mielibyśmy zastrzeżeń gdyby magazyny w rodzaju „Pegaza", „Klubu Alfa", „Kształtu słowa", rzeczywiście dopowiadały, rozwijały i pogłębiały krótką, z konieczności, informację z Dziennika. W znacznej części przypadków tak nie jest. Gorzej — niekiedy bywa i tak, że telewizyjna dyskusja, rozmywa istotny problem ogólnikami i krągłymi frazami. Oto przykłady z ostatniego tygodnia. „Kształt słowa", magazyn prowadzony przez W. Sadkowskiego poświęcony był czytelnictwu (no bo Dni Oświaty, Książki i Prasy). I owszem sprawa ważna, a niełatwa sytuacja na naszym rynku wydawniczym powszechnie znana. Czy o tym była mowa? Pytanie retoryczne. Aby zmieścić się w przewidzianym czasie uśmiercono czytelnika („czytelnik umarł" — skonstatował jeden z dyskutantów). Ludzie przestali czytać, przestali interesować się książką, odrzucają literaturę — ten tenor (?) nadał ton pieniom dyskusji (biorący w rozmowie księgarz, próbował nieśmiało protestować, wskazując na inną genezę tego stanu rzeczy). „Klub Alfa" i W. Konarzewską poruszeni agencyjnymi doniesieniami o zdjęciach zrobionych przez badaczy z radzieckiego „Witezia" zajęli się zagadką Atlantydy. Rzecz rozegrała się z towarzyszeniem sympatycznych uśmiechów pani redaktor, dwóch żachnięć antropologa-sceptyka, recytacji Platona w wykonaniu panów w prześcieradłach i obrazów wzburzonego morza (niby ta katastrofa Atlantydy). I już.

„Pegaz" doniósł o premierze „Horsztyńskiego" w reż. M. Dmochowskiego. Ułamkowe fragmenty spektaklu poprzetykano pokawałkowaną wypowiedzią W. Natansona. Że jest to ważne wydarzenie kulturalne, widz musiał uwierzyć na słowo. Ale dlaczego ta tragedia Słowackiego porusza współczesnego widza, i o czym opowiada, tego już telespektator się nie dowiedział. A przecież powinien, bo nie wie. Podobnie rozmowa o „Zmorach" E. Zegadłowicza z okazji premiery filmu W. Marczewskiego. Dowiedzieliśmy się z niej m. in., iż książka opisuje pedagogiczne absurdy polskiej szkoły. Była ona taka polska, jak i ta, do której chadzał Marcin Borowicz z „Syzyfowych prac".

Jak należy z pożytkiem dyskutować przed kamerami pokazał ostatni program „Swiat, ludzie, idee". Formuła jest ujmująco prosta: aktualny i konkretny temat (mówiono o rokowaniach SALT II), w rozmowie biorą udział rzeczywiście specjaliści, prowadzący jest do rozmowy przygotowany i reprezentuje widza. W jego imieniu zadaje pytania, jest dociekliwy i domaga się szczegółów.

Ostatni tydzień zmusił telewizję do programowego wysiłku. Obchody Dnia Zwycięstwa animowały nie tylko rocznicowe Studio 2. Przypomniano nam „Pokolenie" Wajdy, zaprezentowano rzadko grywaną sztukę L. Kruczkowskiego „Przygoda z Vaterlandem", a i łódzki zespół wyszedł z opłotków codziennych „Wiadomości", wpisując się dobrze w ogólnopolski program filmem M. Walczaka „Zbrodnia w Radogoszczu" i widowiskiem T. Worontkiewicza „Berlin. Rok 1945". Wszystko to, łącznie z transmitowaną uroczystą odprawą warta, było ważną okazją do wielu historycznych refleksji.

A poza tym mistrzostwa Europy w boksie, finał Pucharu Polski, Wyścig Pokoju. Są to atrakcje bezdyskusyjne. Redakcja sportowa wie jak robić coś, czasem z niczego. Bo przecież zwycięstw zaprogramować nie można. Nieudany sportowy występ sprawia, że dostrzeżemy błędy językowe komentatora, że uśmiech T. Hopfera zmienia się w przepraszający grymas, że przewidzianą po zwycięstwie radość trzeba zamienić na „Chwilę z piosenką". Tak, redakcja sportowa uświadamia nam najlepiej, że program jest taki, jaka jest boiskowa rzeczywistość.

Miało być jeszcze o samoistnych wartościach tworzonych przez telewizję. O tym, że tv próbuje inicjatywnie kształtować rezczywistość, tworzyć oryginalny program niezależnie od teatru, kina, prasy, sal wystawowych. A nie tylko czekać na impulsy z zewnątrz. „Zostawmy ten temat na później. Przeczekajmy rozmaite „teatry wspomnień", „powtórzenie na życzenie", „studia bis" i „spotkajmy się jeszcze raz".

GRZEGORZ GAZDA

SPECIALITÉ DE LA MAISON

Gdy piszę te słowa, festiwal twórczości telewizyjnej „Olsztyn 79" jest w pełnym rozbiegu. Podzielam sąd Grzegorza Gazdy wypowiedziany w poprzednim numerze „Odgłosów". I mnie nachodzi wątpliwość co do zasadności tego artystycznego turnieju, wokół którego tyle hałasu w naszej telewizji. Szukając analogii, przyjąłem za punkt odniesienia krakowski festiwal filmów krótkometrażowych.

Tak, ale tam staje w szranki około dziesięciu wytwórni krajowych, co wytwarza atmosferę autentycznej konkurencyjności i współzawodnictwa. Do festiwalu olsztyńskiego staje jedna firma, a nawet poszczególne redakcje nie konkurują ze sobą, jakaż bowiem może być rywalizacja między spektaklem teatralnym i filmem telewizyjnym. Aby zlikwidować resztę pozorów konkursowych, znaczną część jurorów stanowią etatowi pracownicy telewizji, lub osoby stale z nią współpracujące.

Jedyny element turniejowy mogłoby wnieść starcie między poszczególnymi ośrodkami telewizyjnymi. Cóż, kiedy wiemy dobrze, jak nierówne są szanse, jak konsekwentna polityka programowa centrali „wykosiła" regionalne ambicje w dziedzinie teatru TV. „Bronią się jeszcze twierdze Grenady", próbuje swoich sił Kraków, Gdańsk, Katowice, Poznań, czasem (rzadko!) Łódź.

Dość wiele uporu wykazuje w tej mierze Wrocław, który od lat konsekwentnie drąży tematykę niemiecką, zakładając, że położenie geograficzne predestynuje go do pewnej specjalizacji w tym zakresie. Na mnie osobiście sprawia to inne wrażenie. Podejmowanie problematyki niemieckiej przez telewizję wrocławską jest raczej formą dobijania się o miejsce na antenie, tak nieskoro przyznawane przez naczelną redakcję zespołom regionalnym.

Nie znaczy to, że chcę umniejszyć rzetelny wysiłek pracowników TV Wrocław i aktorów scen wrocławskich, wkładany w przygotowanie poszczególnych spektakli. Ostatnio mieliśmy możność oglądać kolejne widowisko z serii „niemieckiej" — „Przygodę z Vaterlandem" Leona Kruczkowskiego, w reżyserii Wiesława Wodeckiego.

Kruczkowski już przed wojną żywo interesował się psychiką narodu niemieckiego, który na przestrzeni historii częściej był dla nas złym sąsiadem, niż dobrym. Obserwacje swoje pogłębił podczas pobytu w obozie jenieckim w latach wojny. Najpełniejszym efektem tych zainteresowań byli „Niemcy", doskonale skonstruowany dramat, grany na scenach wielu krajów, w tym także w NRD i RFN.

„Przygodzie z Vaterlandem" daleko do klasycznej doskonałości „Niemców". Świadczy o tym fakt, że sam autor zmieniał kilkakrotnie kształt tej sztuki, i że do końca nie był w pełni z niej zadowolony. Pierwszy jej zarys powstał wyraźnie pod wpływem głośnej sztuki Carla Zuckmayera „Kapitan z Koepenick", ale w historii Daubmanna vel Hummela są także echa innych lektur niemieckich Kruczkowskiego w rodzaju choćby „Wyznań hochsztaplera Feliksa Krulla" Tomasza Manna.

Pomysł sztuki Kruczkowskiego jest bardzo dobry, intencja klarowna i słuszna, wykonanie pozostawia jednak miej scami wiele do życzenia. Nic dziwnego, że musi to odbijać się także na próbach inscenizacyjnych. „Przygoda z Vaterlandem" miała kilka premier w teatrach scenicznych, żadna z nich nie stała się wydarzeniem. Trudno za wydarzenie uznać także telewizyjne przymierzenie się do tego tekstu ze strony Wiesława Wodeckiego.

Dziewięć lat temu Wiesław Wodecki zrealizował na antenie wrocławskiej wstrząsający montaż dokumentarny pt. „Rzecz o zagładzie miasta". Tematem tamtego widowiska była zbrodnicza decyzja hitlerowskich władców Wrocławia w 1945 roku, by miasto bronić do ostatka w imię fanatyzmu, a wbrew logice. Pociągnęło to za sobą masę niepotrzebnych ofiar także wśród cywilnej ludności niemieckiej.

Wspominając tamten spektakl z 1970 roku, nie mogę wyzbyć się wrażenia, że tym razem Wodecki już samym wyborem tekstu przesądził mierny efekt końcowy swego zamierzenia. „Rzecz o zagładzie miasta" stanowiła materiał rewelacyjny, odkrywczy, stąd i pamięć o nim tak jeszcze żywa. Obawiam się, że sięgając po „Przygodę z Vaterlandem", Wodecki nie miał nam nic nowego do powiedzenia. Zdecydował się na powielanie prawd dawno już odkrytych.

Ta wtórność „Przygody z Vaterlandem", nie broniąca się szczególnie wysokim poziomem literackim oryginału, wyznaczyła miarę artystyczną widowiska. Było ono po prostu przeciętne. Może to dosyć? Może zbyt wiele wymagam? Sądzę, że od Wodeckiego można więcej wymagać. Można stawiać mu wymagania w sprawach zasadniczych, jak i w małych. Jeżeli na przykład pierwsza scena sztuki rozgrywa się w Neapolu, to czy koniecznie w tle akustycznym brzmieć musi „O, sole mio..."? Takie sztampowe skojarzenie należało chyba odrzucić...

I to by było na tyle, jak mawia profesor Stanisławski.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

TAMTE LATA

Całe nasze społeczeństwo, począwszy od uczniów, a skończywszy na ludziach starszych, oczywiście każdy z nieco innych powodów, interesuje się współczesnym obrazem naszego kraju. Wszyscy chcą być świetnie poinformowani o tym co produkujemy, budujemy i o ile więcej, lepiej będziemy robić w przyszłości. Książki filmy, seriale traktujące o współczesności są najbardziej popularne. Ale przy tej fascynacji teraźniejszością pamiętamy, że współczesne oblicze naszego kraju zaczęło się kształtować jeszcze przed powstaniem ludowego państwa. Myśl polityczna, jaką realizujemy i droga rozwoju zostały wytyczone w tragicznych latach drugiej wojny światowej. Dlatego tak chętnie wracamy nie tylko myślą do tamtych lat. Wszelkie publikacje o charakterze dokumentalnym dotyczące tego okresu są rozchwytywane. Także chętnie, a może nawet chętniej czytamy książki, mające charakter osobistej relacji ludzi, którzy w tym trudnym okresie uczestniczyli i brali bezpośredni udział w tworzeniu zrębów naszej ludowej państwowości.

W swojej najnowszej książce „Tamte lata", Włodzimierz Sokorski nawiązuje do problemów i wydarzeń, które już wcześniej przedstawił w „Polakach pod Lenino". Tym razem jednak treść dokumentalną ubarwił wtrętami dotyczącymi swoich osobistych przeżyć i perypetii wojennych. Książka jest cenna z wielu względów. Jako zapis czasu i spraw, które w sposób zasadniczy wpłynęły na nasze obecne życie. Jako dokument historyczny, a co najważniejsze świetnie oddaje klimat „tamtych dni", dni walki, przyjaźni i miłości. W książce Sokorski zahacza także o problem stosunkowo nieczęsto poruszany w naszej literaturze, a mianowicie o sprawę repatriacji i zasiedlania ziem odzyskanych.

Włodzimierz Sokorski „Tamte lata" Książka i Wiedza, W-wa 1979 rok, str. 195, cena zł 29.

SUPERBOGACZ

Wielkie przedsiębiorstwa, którymi kieruje i z których czerpie zysk jeden człowiek lub jedna rodzina, są dla nas niepojęte. Nie było nigdy w naszym kraju naprawdę wielkiego kapitalizmu. Trudno nam jest zrozumieć mechanizm społeczny, który pozwala na tak ogromne wzbogacanie się jednostek za pomocą metod nie zawsze, nazwijmy to delikatnie, najszlachetniejszych. Pojęcie multimiliarder jest dla nas trochę abstrakcyjne, zresztą nie tylko dla nas, gdyby spytać o wysokość majątku najbogatszych ludzi RFN, przeciętnych obywateli tego kraju, też cyfra, jaką by podali, nie odpowiadałaby nawet w części rzeczywistej.

Książka, którą prezentuję, podejmuje próbę odsłonięcia tajemnic tego mechanizmu na przykładzie „kariery" jednego człowieka Friedricha Flicka.

Powstawanie książki było niezwykle utrudnione. Autor sam zaznacza na wstępie, że podjął próbę przełamania muru milczenia, jakim otoczył się Flick. Wszelkie działania „wielkiego Fryca" otoczone były zawsze ogromną tajemnicą, działał w absolutnej dyskrecji, w dyskrecji działali jego pracownicy, obowiązani byli do niej nawet po przejściu na emeryturę. A opinia publiczna, nie tylko RFN, z wielką ochotą przyjęłaby każdą wiadomość na temat władcy 300 przedsiębiorstw. Bo też sposób, w jaki zdobył Flick swój przeogromny majątek, był niezwykły. Syn średniozamożnego chłopa, skończył gimnazjum, pracował trochę jako praktykant biurowy, odbył służbę wojskową i nic nie wskazywało na to, że z tego raczej przeciętnego chłopca będzie w przyszłości „monarcha" przemysłowy. Na jego „Karierę" miała ogromny wpływ I wojna światowa i potrzeby przemysłu zbrojeniowego, które potrafił zaspokoić. Ale wojna się skończyła, po kilku latach nastąpił wielki kryzys, inflacja. Flick i ten, wydawałoby się niekorzystny moment, potrafił wykorzystać dla swoich celów. Trudno dla laika przytoczyć choćby kilka machinacji giełdowych „wielkiego Fryca", w każdym razie ich przygotowanie ma w wielu przypadkach niemal sensacyjną historię. W ogóle książkę Oggera czyta się jak najwspanialszy kryminał. Na każdej stronie mamy do czynienia z nową sprawą, która w pewnym momencie, nawet dla Flicka staje się wspaniałą grą, kto kogo. Odkrywa mnóstwo szczegółów nie tylko dotyczących „króla przemysłu", ale także mechanizmów, które pozwalają w społeczeństwie kapitalistycznym na rozkwit wielkich trustów. Odkrywa metody, jakimi posługują się nie tylko wielcy przemysłowcy, ale często także politycy. Daje ogrom wiedzy o społeczeństwie kapitalistycznym, które naszemu czytelnikowi znane jest raczej od strony wizualnej, a nie stricte ekonomicznej.

Günter Ogger „Friedrich Flick superbogacz". Przekład Danuta Borkowska, Książka i Wiedza, W-wa 1979 rok, str. 493, cena zł 60.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

ZAPOMNIANE CZASOPISMA

Seria wydawnicza **Instytutu Badań Literackich „Obraz Literatury Polskiej"** ma charakter publikacji naukowo-popularnej, skierowanej do szerokiego grona odbiorców — zwłaszcza do studentów i nauczycieli-polonistów. Zasadniczą zawartość tej pomnikowej publikacji stanowią hasła osobowe, na które składają się charakterystyka twórczości pisarza wraz z danymi biograficznymi, bibliografia oraz wypisy. Dobór haseł uwzględnia także pisarzy drugo i trzeciorzędnych. Jest to więc niejednokrotnie jedyna sposobność ukazania współczesnemu czytelnikowi sylwetek autorów mało znanych. Tak jest na przykład z postacią i twórczością Feliksa Przysieckiego, który był legendą dwudziestolecia, a jego wiersze — od pół wieku nie wznawiane — są absolutnie nieznane współczesnym.

Tak więc **„Obraz Literatury Polskiej"** jest publikacją bezcenną i częstokroć stanowi jedyne dostępne źródło wiedzy o minionych epokach literackich i ich twórcach.

Niedawno — uruchomiwszy „łańcuch ludzi dobrej woli" — udało mi się kupić pierwszy tom **„Literatury polskiej w okresie międzywojennym"**. Podkreślając wagę i wyjątkowość IBL-owskiej serii wydawniczej, nie czynię tego jedynie z powodów kurtuazyjnych. Otóż właśnie wyjątkowość i rzadkość tego typu publikacji nakazuje ich autorom szczególną dbałość o informacje historyczno-literackie. W wypadku omawianego tomu budzą one jednak poważne wątpliwości.

Oczywiście z satysfakcją odnajdujemy na kartach tej pracy znaczące czasopisma łódzkie — **„Meteor"**, **„Prądy"** i **„Wymiary"** — zadające kłam obiegowym opiniom o łódzkiej pustyni kulturalnej w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Kiedy jednak wczytać się w ten opasły tom — zaczynamy dostrzegać jakby pewne zachwianie proporcji.

Dla nikogo nie ulega wątpliwości, że zarówno Warszawa, jak i Kraków wiodły (i wiodą) prym w kulturze. Nic zatem nie mam przeciw odnotowywaniu nawet mało znaczących pism Krakowa, czy Warszawy. Ale... no właśnie jest pewne „ale".

Co najmniej zdziwienie budzi fakt, że wśród wielu pism międzywojnia nie znalazło się miejsce na odnotowanie komunistycznej **„Kroniki"** i **„Nowej Kroniki"** wydawanych w Łodzi w roku 1933. Czyżby łódzka „Kronika" miała mniejsze znaczenie niż krakowska „Astrea" — miesięcznik, który ukazywał się... zaledwie trzy miesiące i prezentował przypadkowy dobór tekstów całkowicie nieznanych autorów? A na dodatek nie prezentował żadnego programu?

Zabrakło także w **„Obrazie Literatury Polskiej"** wydawanych w Łodzi **„Osnów Literackich"**. Zgoda, że redagowali to pismo autorzy niezbyt wysokiego lotu. Ale przecież rola kulturotwórcza „Osnów" z pewnością nie była mniejsza, niż rola „Astrei", czy choćby rola pisma „Helion", którego... jeden numer wydał Józef Gałuszka w Krakowie.

W tej sytuacji dziwi fakt, że autorzy **„Obrazu Literatury Polskiej"** — znajdując miejsce na odnotowanie „Helionu" nie notują miesięcznika **„Odnowa"**, którego dwa numery wydał w Łodzi **Marian Piechal.**

Jest w IBL-owskiej publikacji specjalny rozdział poświęcony czasopismom nurtu lewicowego. Jak już wspomniałem zabrakło tam łódzkiej **„Kroniki"** — pisma, które wydało dwanaście numerów, zanim padło ofiarą konfiskat. Na owe czasy dwanaście numerów, znaczyło długotrwałą działalność wydawniczą.

Zabrakło również w tym rozdziale innego lewicowego pisma społeczno-literackiego. Mam na myśli **„Łódzką Prawdę"** — pismo z lat 1935—1936, redagowane przez Alfonsa Czerwińskiego.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Naprawdę nie mam nic przeciwko utrwalaniu w tego typu specjalistycznych publikacjach — drugorzędnych zjawisk i faktów kulturowych. Przeciwnie — wołając o pamięć dla **„Osnów Literackich"**, **„Kroniki"**, czy **„Odnowy"** — wołam przecież o pamięć dla pism drugorzędnych w stosunku do — powiedzmy — lwowskich **„Sygnałów"** czy warszawskich **„Wiadomości Literackich"**. Skoro jednak historycy literatury znajdują w swej publikacji miejsce na „Heliony", czy „Astree" — mam prawo dopominać się o miejsce dla łódzkich efemeryd literackich i czasopiśmienniczych.

Jestem bowiem zdania, że owe efemerydy właśnie w Łodzi pełniły szczególną rolę kulturotwórczą. Kto wie, czy nie większą dla tego miasta — niż głośne czasopisma dla Warszawy, czy Krakowa.

WIDOK

PROPOZYCJE

I CHĘĆ SZCZERA

Pamiętam takie czasy, kiedy w maju w gazetach i tygodnikach pełno było reportaży o młodych ludziach, którzy pocili się przy egzaminach maturalnych. Dziś pisze się o tym ledwie w codziennej prasie w lakonicznych komunikatach. I bardzo dobrze zresztą, bo cóż mnie, starego konia, w gruncie rzeczy obchodzi, jakie były tematy maturalne z języka polskiego, jakie zadania trzeba było rozwiązać z matematyki i kto pisał o Odrodzeniu, a kto o Oświeceniu czy literaturze współczesnej. Zainteresowani przebiegiem matur i tak wszystko wiedzą więcej i szybciej niż czytelnicy gazet.

Niektórzy wspominają z żalem minione czasy, kiedy wszyscy fascynowali się egzaminami maturalnymi. — Bo matura była wtedy w cenie — powiadają — a była w cenie dlatego, że matur było mało i trudniej było ją zrobić. Radio, prasa i telewizja doniosą niedługo o rozpoczęciu sesji egzaminacyjnej na wyższych uczelniach, później poinformują nas o egzaminach wstępnych na wyższe uczelnie i zrobią to z ich kronikarskiego obowiązku. Ale, żeby czytelnicy pod kioskami ustawiali się w kolejce po takie informacje, to nie powiem. Czytelnicy kupują gazety, bo już do tego nawykli, a poza tym gazet jest mało i im wcześniej się je chce kupić, tym większe są szanse, że się gazetę dostanie. Ale nie informacji o egzaminach będą tam poszukiwali.

O egzaminach wszelkiej maści donosi się — jak już wspomniałem — z kronikarskiego obowiązku oraz z przyzwyczajenia. Nie chodzi mi wcale o to, aby nie pisać o egzaminach. Nie. Interesuje mnie raczej społeczne uwarunkowanie tego zjawiska, jakim jest obojętność wobec wiadomości o egzaminach, co nie jest równoznaczne brakowi zainteresowania sprawami oświaty i wykształcenia w ogóle. Tylko, że te dwie sprawy, choć formalnie ściśle związane, faktycznie niewiele z sobą mają wspólnego.

Swego czasu matura była wyróżnikiem pozycji społecznej. W pewnych środowiskach nie wypadało, aby młodzież nie miała matury i jeśli dzieci były kompletnymi głąbami, to ratowało się je korepetycjami, a nawet pomagało się im w różny sposób, aby tylko zdobyli świadectwo dojrzałości. Wedle kodeksu honorowego Władysława Boziewicza jednym do honoru wystarczało tylko dobre urodzenie, inni musieli mieć... maturę. Człowiek z maturą przed wojną mógł się pojedynkować. Był człowiekiem honoru. Matura pozwalała starać się o różne posady w urzędach i nie były to wcale podrzędne posady. A później był taki czas, że tylko wystarczała chęć szczera, aby mieć rangi i urzędy. Ale to też już mamy za sobą.

Chlubimy się rozwojem oświaty, jaki dokonał się w naszym kraju. Jest to niewątpliwy powód do dumy, choć różnie z poziomem tej oświaty bywa. Dyskusja na temat tego, jak kształcić młodych Polaków trwa. Wszystkich nas interesuje przyszła dziesięciolatka. Mamy na ten temat wiele różnych pytań. Ale dopiero praktyka szkoły dziesięcioletniej pozwoli na wiele z nich odpowiedzieć, wiele wątpliwości rozwieje lub umocni. Tylko, że to inna sprawa. Mnie się wydaje, że największym osiągnięciem naszej oświaty jest jej otwartość. To właśnie, że człowiek raz rozpocząwszy kształcenie się, może zawsze do niego powrócić. Ukończywszy szkołę średnią i rozpocząwszy pracę zawodową, ma nadal możliwość kształcenia się. Dają ją różne szkoły dla pracujących. Ukończenie studiów wyższych też nie zamyka drogi dalszego kształcenia się, bo można otworzyć przewód doktorski, można też — i trzeba nawet — pogłębiać wiedzę na studiach podyplomowych. Zdarzają się wypadki, kiedy ludzie wracają do studiów pożegnawszy się z pracą zawodową, a więc w tak zwanym trzecim wieku.

I wydaje mi się, że ta otwartość naszego systemu kształcenia przyczyniła się do dewaluacji między innymi matury, czyniąc z niej nie cel sam w sobie, ale konieczny etap w wieloszczeblowym systemie oświaty. Posiadanie matury nie jest dziś marzeniem młodych ludzi, bo matura praktycznie młodemu człowiekowi nic nie daje, poza prawem zdawania egzaminu na wyższą uczelnię. Młodzi ludzie marzą na ogół o studiach wyższych i to na takich wydziałach, ukończenie których wyraźnie dobrze ustawi ich w społecznej hierarchii, zapewni start. Na przykład handel zagraniczny, który — tak się niejednemu wydaje — jest gwarancją przyszłego uczęszczania do sklepów „Pewexu". Ale żeby to marzenie spełniło się, żeby dostać się na dobry kierunek studiów, nie trzeba zaraz po maturze iść na wyższą uczelnię. Czasem dobrze jest rok, dwa popracować. Matura w tym ani pomaga, ani przeszkadza. Obok matury potrzebna jest chęć szczera.

Matura stała się dziś czymś powszednim. Do egzaminów maturalnych przystąpiło w 1979 roku przeszło 200 tysięcy uczniów ostatnich klas szkół średnich różnych typów. Ale sądzę, że powszedniość matury wynika nie z tego, że tak dużo młodych ludzi kończy szkołę średnią, ale z tego, że matura dziś nie stanowi żadnego zamknięcia procesu kształcenia. Po maturze można pójść na studium zawodowe, można pójść do pracy, lub zdać na wyższą uczelnię. Posiadanie matury dowodzi tylko, że człowiek ukończył pewien etap nauki. Dalsze stoją przed nim otworem.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

EGZEMPLARZ POKAZOWY

Przedsiębiorca sprzedający jabłka kładzie na wierzch zawsze te najładniejsze — i jeszcze każde z nich pucuje parę razy na dzień szmatką do wysokiego połysku. Sprzedawczynie w szanujących się sklepach z obuwiem muszą co dzień przed otwarciem sklepu oczyścić z kurzu wszystkie eksponaty na wystawach — tam muszą stać buty ładne, uśmiechać się do klientów.

Babki na targowiskach skrapiają rzodkiewki zimną wodą, żeby były rumiane i wyglądały zdrowo. Towar wystawiany ma być przecież reprezentacyjną próbką tego, co sklep ma do sprzedania. Ten wystawiany towar jest oczywiście narażony na kurz, słońce, mróz i nie zawsze nieszkodliwe dotknięcia klientów. Ulega przy tym przyspieszonemu starzeniu się, deformacjom, odbarwieniom i uszkodzeniom. Władze pionu handlowego wiedzą o tym doskonale i przewidują niebagatelne sumy na nieuniknioną przecenę takich towarów. Te sumy są i tak dziesięć razy mniejsze od kosztów reklamy, ponoszonych przez handel w krajach, gdzie klienta trzeba łowić, namawiać, prawie zmuszać do kupna towaru. Na naszym rynku reklama jest prawie że zbędna, natomiast przyzwoite traktowanie klienta obowiązuje tak samo, jak przyzwoite traktowanie się wzajemnie ludzi zawsze i wszędzie.

W dniu 3 maja w godzinach południowych zapytałem sprzedawczynię w naszym łódzkim domu towarowym „Centrum", czy znajdzie się jakaś koszulka polo lub inne podobne wdzianko na mój trochę większy od przeciętnego wzrost. O tej porze klientów nie było, była tylko przyjaciółka, z którą sprzedawczyni toczyła ponad ladą ożywioną rozmowę — nie ma! — odpowiedziała zwięźle na moje pytanie i rozmawiała dalej.

— Czy naprawdę nie ma, czy pani nie chce sprzedać? — zapytałem jeszcze, bo z daleka było widać co najmniej jedno takie wdzianko. Nie ma! — potwierdziła. — A to o tam? — A to jest. — A innych nie ma?

Okazało się, że było jeszcze kilka, ale tylko jedno z nich podobało mi się co do koloru. Otóż to jedno było strasznie, ale to strasznie brudne. Mógł je nosić dłuższy czas jakiś brudas, chociaż plomba przy zapięciu była nie naruszona, więc chyba nie. Może ktoś wycierał nim podłogę? Sprzedawczyni zdziwiona moim oburzeniem wyjaśniła, że po prostu jest to egzemplarz pokazowy. Dlatego taki szmatławy, że na pokaz. Oczywiście poparła ją natychmiast przyjaciółka — że przecież jak taka rzecz wisi, to musi się zabrudzić i oczywiście znalazła się natychmiast klientka, która bezinteresownie usiłowała podlizać się sprzedawczyni i oburzyła się na mnie, że śmiem się oburzać.

A najśmieszniejsze jest to, że ja kupiłem tę koszulkę i zapłaciłem tę normalną, wcale nie małą cenę. Co miałem zrobić, skoro od paru miesięcy nie mogłem znaleźć nic, co by mi pasowało rozmiarem i kolorem?

I to jest główna przyczyna, dla której można nie odpowiadać klientowi nic, albo rzucić mu przez ramię „nie ma" zamiast próbować mu dogodzić, albo chlapnąć na ladę byle co i powiedzieć rozbrajająco: ja tego nie zabrudziłam... Mówię „główna przyczyna", a nie „jedyna przyczyna". Dlatego główna, że obok niej działają pewnie inne, uwarunkowane osobistymi cechami ludzi z tamtej strony lady. Może jednak lepiej tego nie podkreślać? Przecież właśnie w „Centrum" bywaliśmy do niedawna załatwiani w sposób nasuwający same przyjemne wrażenia. Szkoda, że to się zaczyna chwiać.

ĆWIEK

Z GALERKI

EWA MIROWSKA

To w niej cenię — Napoleonowi oddana i Scenie.

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

GDZIE CI MĘŻCZYŹNI?

Bogdan Tuszyński, rozpoczynając transmisję ze startu do XXXII Wyścigu Pokoju, zapowiedział udział „wspaniałych chłopców na dwóch kółkach". Trudno przecież mówić o „wspaniałych chłopcach na szalejących rowerach", stąd może to niefortunne porównanie. Ale chłopcy mieli być bez wątpienia wspaniali. Wystartowali zresztą nieźle. W prologu pierwszy był Jan Jankiewicz, czwarty Krzysztof Sujka, a polska drużyna włożyła biękitne koszulki, których zresztą nie zdjęła i po pierwszym etapie, choć Polaków nie było wśród zwycięzców. A potem zaczęła się dobra passa Siergieja Suchoruczenkowa. Czy to zresztą można nazwać tylko dobrą passą? To raczej wspaniałe przygotowany kolarz do tegorocznego wyścigu. Jeśli już nawet nie odegra większej roli w dalszym ciągu XXXII Wyścigu Pokoju, to i tak zrobił swoje. Ale jeszcze nie raz o nim usłyszymy.

A nasi „wspaniali chłopcy na dwóch kółkach"? Po czterech etapach spadli na piąte miejsce i mieli 6 minut 56 sekund straty do drużyny radzieckiej. Miało być zupełnie inaczej. — „Nie boimy się ani gór, ani jazdy na czas, czy też finiszów na ulicach" — zapewniał przed wyścigiem trener Andrzej Trochanowski. — „Trochę gorzej jest z finiszami na stadionach" — zastrzegał się na wszelki wypadek, ale: — „dlatego w przypadku kończenia etapu na bieżni polscy kolarze będą starali się rozstrzygać na swoją korzyść finisz jeszcze przed wjazdem w bramę stadionu". Jak to wyglądało w praktyce, można było zobaczyć przed finiszem w Dubnicy, kiedy Jan Jankiewicz próbował samotnie coś zrobić dla polskiej drużyny i nawet mu się to udało, bo dwóch kolarzy spadło przed metą z rowerów.

Przywykliśmy już do tego, że mamy „wspaniałych chłopców", ale tylko do chwili, kiedy wystartują. O tych, którzy pojechali do Kolonii na mistrzostwa Europy w boksie pisano: „Chłopcy malowani — sami wybrani". Istotnie, byli to malowani bokserzy, tacy raczej niedzielni. — „Nie mam sobie nic do zarzucenia" — powiedział przed wyjazdem do Kolonii trener polskiej reprezentacji Czesław Ptak. Być może. Pogratulować dobrego samopoczucia. Tylko, że my — kibice — mamy wiele do zarzucenia. I mamy też nadzieję, że właściwi działacze związku bokserskiego też będą takiego samego zdania. — „Jestem przekonany, że nie zawiodę się na tej „dwunastce" — utrzymywał Czesław Ptak, ale tylko Henryk Średnicki uratował honor polskiego boksu. W 1977 roku mieliśmy trzech mistrzów Europy w boksie, a niekiedy bywało ich więcej. „Chłopcy malowani — sami wybrani" jakoś zawiedli. Czy tylko oni ponoszą za to winę?

W sporcie jak w życiu, zdarza się różnie. Raz odnosi się sukcesy, innym razem — przegrywa się. Taki już jest los sportowca. Musi on stale pamiętać, że inni też chcą zwyciężać i pracują nad tym. Kto więcej pracuje, ten lepsze osiąga wyniki. Ale jest to tak powszechna prawda, że wielu sportowców o niej zapomina, a bywają też tacy, którzy wolą o tym po prostu nie pamiętać. Na przykład piłkarze.

Sensacją stały się już decyzje opolskiej „Odry", która kilku piłkarzy odsunęła od gry, innym potrąciła pieniądze z wynagrodzenia, a to wszystko dlatego, że nie chciało się im grać. Nie ma w tym w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego, gdyż byliśmy już świadkami takich wypadków, kiedy piłkarze nazbyt wyraźnie demonstrowali swoją niechęć do gry. I to publicznie. Ale dość rzadko, albo prawie wcale, nie zdarza się, aby ukarano piłkarzy za niewywiązywanie się z ich obowiązków. Do tej pory więcej było słychać o nagrodach niż o karach za niespełnianie obowiązków.

Osłabiona „Odra", gdzie miejsca zawieszonych zajęli debiutanci, miała być łatwym kęsem dla „wspaniałych chłopców z ŁKS", ale tym razem im się nie chciało grać i dostali dwa do zera. Ciekawa jestem, czy Łódzki Klub Sportowy też zdobędzie się na to, aby wyciągnąć wnioski z takiej niechętnej postawy swoich podopiecznych piłkarzy?

W lidze popłaca średniactwo. Aby się tylko utrzymać w bezpiecznej strefie tabeli. O tytuły grają naiwni albo durni. Po co im ten kłopot? Z zagranicznymi drużynami trzeba naprawdę grać podczas, gdy w lidze wystarczy grę tylko markować. Proszę spojrzeć na rewiąta pozycja w tabeli. Żadnego zagrożenia. Spokojne życie „wspaniałych chłopców".

Ale i Widzew goniący lidera, nie jest w lepszej sytuacji: 11 zwycięstw, 10 remisów i 4 porażki. Samymi remisami tytułu mistrza Polski się nie zdobędzie. I nie jestem taka pewna, czy widzewskiemu zespołowi bardzo na tym zależy.

Wokół nas sami „wspaniali chłopcy" sami „malowani — wybrani", ale jak przychodzi do walki, to — niestety — coraz więcej zmęczonych życiem młodzieńców, którym nic się już nie chce. A gdzie ci prawdziwi mężczyźni? Gdzie?

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sa gan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony 652 44 sekretariat i red naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listono sze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1095. A-2.

Załącznik nr. 25(-)79

HASŁO NUMERU: PO ODEJŚCIU OD „ZAŁĄCZNIKA" REKLAMACJI NIE UWZGLĘDNIA SIĘ

Z ŻYCIA SFER

W „PRZEKROJU" z **Waldemarem Łysiakiem** o stosunkach między Meksykiem a Teksasem w XIX wieku polemizował **Edmund Tulko.** Polemiści pozostali przy swoich poglądach. Nie obyło się jednak bez złośliwości. Można się spodziewać dalszego ciągu sporu.

„MAM ZAMIAR" — powiedział **Andrzej Makowiecki** w wywiadzie dla „Głosu Robotniczego" — „wziąć się za tłumaczenia literatury hiszpańskiego obszaru językowego.". Życzymy powodzenia na nowej drodze życia.

NIE ZGODZIŁ SIĘ **Andrzej Łapicki** z opinią, że „Łapicki gra wciąż Łapickiego". Brak zgody wyraził na łamach „Sztandaru młodych", gdzie ochoczo przyparło go do muru aż dwoje „wywiadowców": Marta Sztokfisz i Bogdan Możdżyński. A czy to ładnie, w zespół na jednego?

NA NIEMO Kultura łódzka poniosła kolejną stratę. Do Pantomimy Wrocławskiej odszedł Jan Milewski — dotychczasowy szef działu organizacji widown, Teatru Nowego, anonimowy współtwórca powodzenia rozmaitych „Operetek", „Zemst" i „Fryderyków Wielkich", człowiek oddany sprawom teatru, przyjaciel wszystkich sympatyków tej placówki, a łódzkiej prasy kulturalnej w szczególności. Miał dla nas zawsze uśmiech i... bilet. Takim pozostanie w naszej pamięci.

GUSTAW OSTRZEGA! Gustaw Romanowski z „Głosu Robotniczego" doniósł w „Małym Głosie", iż posiada „syrenę", 28 kwietnia 1979 roku o godzinie 19 był na skrzyżowaniu ulicy Kilińskiego z Jaracza, gdzie potrącił go kierowca ciemnozielonego „fiata" 132 „uszkadzając istotnie" jego ulubioną „syrenę". Powiadomił też czytelników, że posiada telefon służbowy nr 621-20 oraz domowy nr 226-26. Ostrzegł poza tym kierowcę ciemnozielonego „fiata" 132, aby dobrowolnie zadzwonił do niego gdyż „leży to w jego własnym interesie", to znaczy w interesie owego kierowcy, jako że „numer rejestracyjny „fiata" został zapisany przez świadków".

Czekamy na następne istotne doniesienia z życia Gustawa Romanowskiego i jego „syreny". Oby były pomyślniejsze.

SKROMNOŚĆ — „To ja się nie mogłem nigdy oprzeć" (kobietom oczywiście) — wyznał Tadeusz Płuciński Janowi Piaseckiemu ze „Sztandaru Młodych". A wszyscy byli przekonani, że to one ulegały jego czarowi. Skromność więc to, czy... kokieteria?

MIESZKA W ŁODZI „Głos Robotniczy" z 3.V. rb. odnotował piórem H.R. kolumnę utworów pisarzy łódzkich, którą opublikował „Raboczyj Kraj" W łódzkiej gazecie znalazło się zdanie: „Jest także wiersz W. Kocznowa, Iwanowskiego pisarza, który wiele lat przepracował na Uniwersytecie Łódzkim".

Śpieszymy powiadomić, że Wasyl Kocznow nigdy nie mieszkał w Iwanowie i już choćby z tych względów nie może być uważany za pisarza iwanowskiego. Nikt też nie zwolnił go z pracy w Uniwersytecie Łódzkim, gdzie z powodzeniem pełni obowiązki lektora języka rosyjskiego.

Co się dzieje w podwarszawskich lasach?

— pyta z niepokojem „Express Wieczorny" i odpowiada listem jednego z czytelników: „Bijcie na alarm! — podwarszawskie lasy idą „pod siekierkę", a następnie pod budownictwo zwane letniskowym". Oj, nie tylko tną podwarszawskie lasy, nie tylko! Ale to też nie jest cała odpowiedź na pytanie. Dużo różnych rzeczy dzieje się w naszych lasach. Oj, dużo!

„Dobre to jest mamo"

— zapewnia swoich czytelników „Tygodnik Piotrkowski" i wyjaśnia, co jest dobre.

TO i TAMTO

„Gdy kłopot, co zrobić na drugie danie, podpowiadamy:

KOTLETY Z ZIEMNIAKÓW I JAJ".

Mniam, mniam. Silnika lecił

Być może

wśród uczestniczek XV Międzynarodowego Turnieju Szachowego Kobiet, jaki odbędzie się w Piotrkowie Trybunalskim więcej będzie kobiet. W Komitecie Organizacyjnym tego Turnieju na 16 osób naliczyliśmy tylko... trzy. Wstyd panowie, skąd u was taka zachłanność? A niech kobiety same zajmują się swoimi turniejami, skoro już muszą je mieć.

GDZIEŻ JEST TEN SILNIK?

Foto: R. Łucyszyn

DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

J. Bohdanowicz („Szpilki")

Mieczysław M. Szargan

WIECZÓR AUTORSKI

„Znanego literata gości dziś nasze środowisko!
— Przepraszam pana nazwisko?"

Z cyklu „PUDŁA"

NIE BĘBEN, A BUTRYM

W artykule „Disco show" pióra Mariana Butryma, a zamieszczonym w 19 numerze „RAZEM" (z 13 maja br.), czytamy m. in. że „dobrym pomysłem podnoszącym atrakcyjność utworu jest akompaniament dużej sekcji perkusistów, grającej na congach i bongosach; są już specjaliści, którzy całą tę sekcję potrafią zaprogramować na urządzeniach elektronicznych. Raz, że taniej, a dwa, że maszyna rzadko się myli i... nie fałszuje".

Oto jeszcze jeden przykład na dowód, że najłatwiej u nas pisać o rozrywce. Dyletanctwo rośnie w tej pisaninie jak na drożdżach. Podobnie z p. Butrymem. Gdyby bowiem przeszedł on choćby roczny kurs instrumentoznawstwa wiedziałby, że „congi i bongosy" to (tak samo jak wszystkie bębny z wyjątkiem kotłów symfonicznych) — instrumenty o nieokreślonej wysokości dźwięku.

Jeśli więc ktoś tutaj fałszuje, to nie bęben, a — Butrym.

(s)

BAJKI FILMOWE

Recenzentka „Głosu Robotniczego", Małgorzata Karbowiak, która przebywała na Biennale Sztuki dla Dzieci w Poznaniu, jak się przejęła swoją rolą, że zaczęła pisać... bajki. Za bajeczkę dla naiwnych należy bowiem uznać stwierdzenie, że filmy „Pogrzeb świerszcza" W. Fiwka i „Nauka latania" S. Idziaka „uznać należy za interesujące i ważne propozycje dla dzieci".

Informujemy czytelników „Głosu Robotniczego", że obie te pozycje filmowe, choć mówią o dzieciach, przeznaczone są dla dorosłych. Tekst Małgorzaty Karbowiak nosi tytuł „Zdziwienia (filmowe)". Nas dziwi najbardziej, że film „Pogrzeb świerszcza", zrealizowany przez łódzkiego reżysera w łódzkim Zespole „Profil", mający już dwie poważne nagrody krajowe i prezentowany z powodzeniem za granicą, do tej pory nie miał recenzji w łódzkiej prasie codziennej.

J. D.

CAŁY NARÓD BUDUJE DYSKOTEKI!

Co pewien czas któreś z pism młodzieżowych zaskakuje nas swym wyczuciem najbardziej ważkich problemów współczesności. Ostatnio **„RAZEM" (nr 19 z 13 maja)** zajęło się — i to na pięciu bitych kolumnach tzw. czołówki numeru — apologią dyskotek.

O tym jak palący to problem przekonuje dziennikarz — domorosły psycholog (z zacięciem pedagogicznym): „Dyskoteki, miejsce rozrywki i **ładowania akumulatorów samopoczucia** (podkreśl. nasze Sol.), są miejscem sprzyjającym powstawaniu swobodnych więzi społecznych: młodzież nie zintegruje się lepiej na zebraniu organizacyjnym, bo więzi nieformalne najlepiej rozkwitają w klimacie luzu i spontaniczności, w atmosferze relaksu i poczuciu wspólnoty odpoczynku..."

Na stronie poprzedniej czytamy wszakże z niejakim zdumieniem coś akurat odwrotnego! Inny dziennikarz stwierdza bowiem, że do niebezpieczeństw jakie niesie ze sobą zabawa w dyskotece, należy „zanik potrzeby kontaktu z ludźmi". W dyskotece „każdy tańczy jak chce" — pisze ów dziennikarz — a więc „wszyscy są razem, a właściwie osobno". I konkluzja: „chyba nigdy dramatyczne zawołanie o samotności w tłumie nie brzmiało tak prawdziwie jak właśnie w dyskotekach".

No więc jak to jest, proszę kochanego „RAZEM": „integracja" czy „samotność", „swobodne więzi społeczne" czy „zanik potrzeby kontaktu z ludźmi"? Zdaje się bowiem, że panowie dziennikarze — nie ustaliwszy wcześniej wspólnej płaszczyzny obrony — robią swym czytelnikom — delikatnie mówiąc — wodę z mózgu.

Co wcale nie zmienia faktu, że całym ciałem jesteśmy za dyskotekami. Bo mają świętą rację panowie z „RAZEM", gdy mówią, że „w ogóle to w kraju robi się wszystko z myślą o młodych, ale akurat dyskotek nie za wiele". „RAZEM" apeluje: „przede wszystkim zadbajmy o to, aby w każdej mieścinie, w każdym osiedlu zorganizować dyskoteki". My apel ten zastępujemy innym:

CAŁY NARÓD BUDUJE DYSKOTEKI!

(sol.)

Pisane specjalnie dla „Załącznika"

RICHARD O'BRADO

LIMERYKI

Kate, łatorośl Johna Getza,
spędziła młodość na plecach —
lecz los się okazał srogi
i musiała wstać na nogi,
gdy już nikt się nie zalecał...

• • •

Liz ze stanu Nowy Meksyk
nie za bardzo była sexy
i dlatego naturalnie
bardzo czuła się fatalnie
i wpadła w spore kompleksy.

• • •

Pewien facet raz z Iowa
dostał potężnego fiola,
ale nikt nie spostrzegł tego,
każdy mówił mu „kolego" —
wszyscy tacy byli zgoła...

Przełożył: RYSZARD DOROBA

WŁAŚCIWA REAKCJA

Specjalny wysłannik „Dziennika Popularnego" udał się do Skierniewic, gdzie w restauracji „Pod pieczarką" stwierdził niezbicie, że filiżanka czerwonego barszczyku kosztuje tyle samo, co kieliszek koniaku Napoleon Imperial, czyli 30 złotych. Fakt ten poddał druzgocącej krytyce.

Co na to WSS Społem w Skierniewicach? Podnosi cenę koniaku!

Jednocześnie w piśmie do „DP" wyjaśnia, że jak kogoś nie stać na jadanie i picie „Pod pieczarką", to w Skierniewicach są inne, gorsze i tańsze knajpy.

Co na to „DP"?

„Nie o to nam chodziło..." — stwierdza z żalem gazeta.

A czego spodziewaliście się koledzy? Że WSS Społem obniży cenę barszczyku?

ZE SPORTU CIEKAWOSTKA

W tegorocznym Wyścigu Pokoju kolarze jeżdżą nie tylko na rowerach, ale także autobusami i samolotami. Jak tak dalej pójdzie, to rowery w ogóle przestaną być potrzebne.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 5.

Marioika szła przed siebie, podnosząc coraz to inną nogę i stawiając ją z powrotem na ziemi, zalanej betonem. Co by tu jeszcze zalać? — zastanawiały się co kwartał różne komisje. Gdybyśmy mieli jakieś boisko, albo co — och, jakby się lało! Potem stanęłyby bramki z betonu, po bokach — też betonowe — kosze, w kącie słupki z betonu do siatkówki. Czyściutko, równiutko, trochę stłuczki szklanej i miotany wichrem „Przegląd sportowy". Tymczasem na działkach jeszcze nie ogrodzonych grano w tysiąca, pachniało śledziem i „Sportami". Czasami któryś z grających wstawał i szedł trochę popracować przy budowie — i tak aż do godziny szczytu, kiedy wszyscy jak jeden spotykali się przy przystanku.

Jeszcze niedawno był to żółty przystanek PKS, a teraz — proszę: czerwony z literą „A" jak wół. Autobus wprawdzie przyjeżdża rzadziej i żadne godziny go nie obowiązują, za to płaci się raz na dziesięć, kiedy zdarzy się wyjątkowy luz i starsza pani czeka, patrząc wsiadającym na ręce. Ochotniczka. Cały jej patriotyzm zaczyna się i kończy na sumiennym płaceniu za tramwaje i autobusy. Oczywiście ulgowo.

— Nawet taką gazetę sprzed tygodnia porywa wiatr. A ja? A mnie?

Ze wszystkich stron dolatywało ujadanie psa i ryk krowy. Oczywiście to był ten sam pies i ta sama krowa, tyle, że powielona przez głośniki w zamieszkałych od niedawna willach: szły „Jeziorany". Na niektórych trasach wylegiwały się też prawdziwe psy, ale to były psy zmotoryzowane, prestiżowe. Miały rodowody z pieczęciami i nie wolno im było zawierać między sobą znajomości. Pan Kituś szukał narzeczonego dla swojej dalmatynki aż w Oliwie, tam się hoduje nutrie i psy są najwyższej marki. Dzieci nie było widać.

— Dzień dobry, pani Marioiko. Gdzieś pani idzie, co? — z kiosku Ruchu wychyliła się pani Rózia. Też ją coś napadło, żeby angażować się w taki głupi interes. Nadział dostaje mały, ledwie wystarczy na tych pięć czy osiem tedzek. Prawdziwi klienci przyjeżdżają z miasta już z gazetami, papierosów mają w domu pełne biurka z palonej sosny, z kryształową płytą na blacie.

— No! — odpowiedziała dziewczyna zawadiacko. — „Kulisy" są?

— Gdzie, pani, dzisiaj? Dzisiaj pani pęczka pietruszki nie dostanie...

— A „Ekspress"?

— Złociutka, nie dają. Wypiszę sto, to nadzielą pięć.

— To proszę lokomotywę. Dwieście? A z tysiąca pani wyda bo nie mam drobnych?

— Będzie. — Pani Rózia sięga po nakręcaną lokomotywę i podaje ją wraz z „Kulisami" i „Ekspressem". — Gdzieś pani idzie, co?

— No!...

Znów Japończycy porwali z Paragwaju kanadyjski samolot. W Hamburgu nie zidentyfikowani sprawcy trzymają w windzie dwie piękne dziewczyny jako zakładniczki, żądając miliarda dolarów okupu. Postawiono na nogi policję całej Europy, nie zdołano jednak dotąd natrafić na ślad windy. A tu stryjna Ignacego Zmelonka skrzykuje zwyczajne głupie kury, bo tak sobie zastrzegła w umowie — i razem z panią Rózią z Ruchu ani pomyśli, że nad głową Marioli

dalszy ciąg nastąpi.